

SARAMAGO JOSE

BEZMIAR SAMOTNOŚCI

I. OBRZEK SPLOTU SŁONECZNEGO

Kiedy w kilka dni później Anton L. zaczął rozpamiętywać całą sprawę — przez pierwsze dni nie miał na to czasu zajęty dziwowaniem się i urządzaniem sobie jakos tego nowego życia — przypomniał sobie, że w nocy z 25 na 26 czerwca na krótko się obudził. Nie spojrział wtedy na zegarek. Przez szczelinę w zasłonie wciskała się uderzająco jasna, mdła i lekko żółtawa poświata, jakby za oknem była śnieżna noc. Anton L. pamiętał, że obudził się tylko na krótką chwilę, zbyt krótką, by zebrać siły na sprawdzenie, która godzina, wystarczająco jednak długą, by pomyśleć: „Śnieżyca”, i zaraz zaprzeczyć sobie w myślach: „No nie, nie w czerwcu”. Potem widocznie znowu zasnął.

Owa jasna, lekko żółtawa, mdła poświata, to było jedyne, co tej nocy z 25 na 26 czerwca zwróciło uwagę Antona L., jedyne, co mógł uznać za jakiś ślad, kiedy szukał potem wytłumaczenia. Nie na wiele się to oczywiście zdało.

26 czerwca przypadał we wtorek. Zanim jeszcze zadzwonił budzik nastawiony na wpół do siódmej, Antona L. obudziło szczekanie psów z werandy naprzeciwko. Mieszkająca tam rodzina miała dwa psy, małego w kolorze kielbasianym, ze szczecinią nad ślepiami, i większego, cętkowanego, o spiczastym pysku. Z faktu, że po obudzeniu huczało mu w głowie, Anton L. wywnioskował, że psy szczekają od dość dawna. Wstał i rozsunął zasłony. Okno jego sublokatorskiego pokoju nie wychodziło bezpośrednio na dwór, ale na werandę, podobną do tej, na której szczekały psy. Weranda pod oknem pokoju Antona L. od początku, kiedy się tu sprowadził, pełna była bezużytecznych gratów, starych zakurzonych sprzętów i rupieci. Zona pana Hommera, u którego Anton L. podnajmował pokój, czyniła od czasu do czasu, przez dzień lub dwa, rozpaczliwie wysiłki, by uprzątnąć tę werandę. Działo się tak, gdy jej mąż któryś raz z rzędu prawil kazanie o czystości i porządku. Ponieważ jednak, ze strachu przed mężem, bała się wyrzucić jakikolwiek, choćby najbardziej bezużyteczny przedmiot, jej wysiłki prawie zawsze były daremne. Od pewnego czasu — mówiąc dokładniej od jesieni zeszłego roku, kiedy to pan Hommer przeszedł na emeryturę — doszedł jeszcze jeden element utrudniający pani Hommer zadanie, mianowicie pan Hommer zaczął na werandzie hodować w terrarium legwana. Trudno powiedzieć, kogo pani Hommer bała się bardziej, legwana czy swojego męża.

Szyby werandy były na wpół ślepe i brudne. Przez jedną z bardziej przezroczystych Anton L. patrzył na werandę naprzeciwko. Większy z dwóch psów stanął na tylnych łapach, przednimi opierając się o parapet okna. Zaraz potem zniknął. Szczekanie przeszło w skowyt.

W tym momencie zadzwonił budzik. Anton L. wziął przybory toaletowe i poszedł do łazienki. W jego pokoju nie było umywalki. Anton L. zastrzegł sobie używalność łazienki i korzystał z niej według ściśle ustalonego planu, jaki z chwilą podpisania umowy o wynajęcie pokoju wręczył mu na piśmie pan Hommer.

Plan był pedantyczny, ale nie małostkowy. Anton L. nie korzystał nawet ze wszystkiego, co mu przysługiwało, z tym, że trzeba brać poprawkę na osobliwy stosunek Antona L. do spraw higieny. Anton L. był, jeśli można to tak określić, czystościomaniakiem okresowym. W dłuższych odstępach czasu, trwających nieraz do pół roku, nie krótszych jednak niż cztery tygodnie, Anton L. odczuwał przemożną potrzebę zabiegów toaletowych. Całe weekendy, a nawet po kilka dni urlopu spędził w łaźniach (w tych okresach wybujałego pędu do czystości łazienka Hommerów nie mogła oczywiście zaspokoić jego potrzeb), płał się w wannach, brał kąpiele parowe, solankowe, mineralne, masujące i prysznic; poddawał się masażom, robił sobie manicure i pedicure, siedział w saunie, szorował się szczotką ryżową i ogórecznikiem, robił sobie „rękawice aloesowe”, studiował w kąpieli rozpadające się po pewnym czasie od wilgoci prospekty o medycznych nowościach w dziedzinie higieny, poddawał się kuracjom wzmacniającym włosy, kazał sobie robić okłady, a czasem nawet lewatywy przeczyszczające. Kiedy mijał okres higienicznych ekscesów, Anton L. ograniczał się, jak wspomniano, nierzadko przez pół roku, do minimalnej toalety, polegającej na pobieżnym umyciu zębów, goleniu się i zmoczeniu wodą koniuszków palców. W tych okresach Anton L. nie zmieniał także bielizny, co sprawiało, że, co tu ukrywać, stopniowo zaczynał cuchnąć, zwłaszcza że nie zmieniał też wtedy bielizny na noc.

Zarówno z posady w banku (przed czterema laty), jak i w biurze podróży (przed dwoma laty) Antona L. zwolniono ze względu na zapach, jaki wydzielał. (Z pracy w wydawnictwie Anton L. zwolnił się z innych powodów, o których będzie jeszcze mowa.) Banku nie było mu szkoda, ale w biurze podróży chętnie nadal by pracował. Z tego powodu próbował wstydliwie wyjaśnić szefowi, jak przyjemne, a nawet kojące, jest noszenie

nieświeżej bielizny. Tłumaczył, że z czasem bielizna tak miło przylega do ciała i zyskuje taką miękkość, o jakiej w przypadku czystej bielizny nie ma co marzyć. Taka bielizna zlewa się w jedno z człowiekiem, a człowiek z nią. Daje to człowiekowi uczucie, jak u- trzymywał Anton L., że nie może mu się stać nic złego. Szef nie okazał zrozumienia.

Od dwóch lat Anton L. pracował w urzędzie skarbowym. Interesanci przychodzą tam niechętnie, nawet jeśli zajmujący się > ich sprawą urzędnik pachnie ambrawą. Ze swoim szefem Anton L. widywał się niezmiernie rzadko, toteż nie drażnił jego powonienia. Od czasu do czasu protestował. któryś z kolegów z pokoju. Jeśli protestował wystarczająco intensywnie i uparcie, przenoszono jego lub Antona L. do innego pokoju. Antonowi L. było to obojętne; nie szukał kontaktów z kolegami biurowymi, ponieważ (nie bez racji, trzeba zaznaczyć) uważał ich za stojących duchowo niżej od siebie.

Później, kiedy Anton L. znalazł nieco czasu, by rzecz całą przemyśleć, a było to mniej więcej w piątek lub sobotę, powiedział do siebie: kto wie, czy to nie ten zapach uratował mnie przed katastrofą, kto wie.

W mieszkaniu panowała cisza. Nie było to niepokojące, ale o tej wczesnej porze dziwne. Normalnie pani Hommer wstawała wcześniej niż Anton L. i uwijała się jak fryga po całym miesz- I kaniu (z wyłączeniem oczywiście pokoju sublokatora), wykonując

jakieś zagadkowe czynności. Czy to ciągle uwijanie się, prowadzące do zatarcia się w pamięci osoby patrzącej wizerunku tej kobiety nikomu nie było dane widzieć jej inaczej, jak w „poruszonym” obrazie — czy to uwijanie się było cechą wrodzoną? Czy może pani Hommer uwijała się tak, by stanowić trudniejszy cel dla męzowskiego gniewu? Ale było to oczywiście nadaremne, gdyż fale dźwiękowe, niosące polecenia zurzędzającego Hommera, docierały również do uwijającej się. Od momentu przejścia na emeryturę pan Hommer miał zwyczaj dość długo wylegiwać się w łóżku, ale umiał — także z łóżka zmuszać żonę do uwijania się jak w ukropie. Kiedy pan Hommer, urzędnik w stanie spoczynku, podnosił się z leża, by (inaczej nie da się tego określić) oddać hołd swemu układowi trawiennemu, gorączkowa krzątanina jego żony wznosiła się do tego stopnia przez to pani Hommer ponownie nabierała cech cielesności — że powstawał dźwięk przypominający niemal brzęczenie osy. Następowало to z żelazną regularnością tuż przed wpół do ósmej, kiedy (w dni robocze) Anton L. właśnie szykował się do wyjścia. Pan Hommer wynurzał się wtedy z małżeńskiej sypialni w tureckim szlafroku przewiazanym złocistym sznurem, wywijał jego opatrzonym chwaścikiem końcem i ze zdumieniem w głosie — jednakowym każdego ranka — jak gdyby spotkanie było zupełnym dziełem przypadku, mówił: Ach, toż to pan L.!, dodając również każdego ranka miękkim barytonem światowca i ze znaczącym przymrużeniem oka: Idę się wys-powiadać.

Bliższe szczegóły pobytu pana Hommera w toalecie nie były oczywiście Antonowi L. znane. S-powiedź trwała długo. Z obserwacji poczynionych w dni wolne od pracy Anton L. wiedział, że pan Hommer — który ważył się zarówno przed jak i po — w zamyśleniu wracał z gazetą do łóżka i że przedtem, jeszcze gdy siedział w toalecie, musiał dostać miseczkę z podgrzaną wodą selcerską.

— Gdzie się podziała stara? — pomyślał zdziwiony Anton L. Nie wyobrażał sobie, żeby mogła zaspać. Jeszcze nigdy jej się to nie zdarzyło. Może jest chora? Ale jeszcze nigdy nie chorowała. Przy tej okazji Anton L. próbował sobie wyobrazić śmierć pani Hommer. Nie do pomyslenia była wizja inna niż następująca: Pewnego dnia pani Hommer wybiegnie z mieszkania, pośpie szy schodami na dół skacząc po trzy stopnie naraz, jak mały wietrzyk pomknie na cmentarz, tam wyminie dwóch zdębiałych grabarzy, wskoczy do otwartej przypadkowo trumny i zamknie ją nad swoją głową jak muszlę. Tylko w ten sposób mogłaby się uchronić przed łamiącym barierę śmierci gniewem, jaki ogarnąłby wówczas jej małżonka. Bó kto by mu podgrzewał wodę selcerską?

Kiedy krótko po szóstej czterdzieści pięć Anton L. opuścił ją- I zienkę i ponownie przeszedł przez korytarz, nadal nie słyszał ani I nie widział pani Hommer.

Anton L. ubrał się. Między godziną siódmą a ósmą trzydzieści, jak informowała umowa podnajmu, miał prawo do czajnika gorącej wody. Również w tym przypadku Anton L. nie wykorzystywał w pełni tego, co mu przysługiwało. Wsypał do szklanki dwie łyżeczki rozpuszczalnej kawy i zaniósł ją do kuchni. W mieszkaniu nadal nie było żadnego ruchu. Anton L. postawił na I gazie czajnik, bardzo stary element wyposażenia kuchni Homme- rów, będący szesnastokątnym (a więc niby okrągłym, ale jednak nie całkiem) naczyniem z chropowatego ze starości metalu. Anton L. umiał sobie poradzić także bez pani Hommer.

Kiedy woda grzała się na kuchence, Anton L. wyszedł na dostępną od strony kuchni werandę. Psy z werandy naprzeciwko skowyczały jeszcze żałośniej niż przedtem. Był-rzeński, słoneczny dzień. Legwan w terrarium patrzył po stycznej, o włos mijając spojrzeniem głowę Antona. Było to piękne, dorodne zwierzę. Tylko powierzchowny obserwator mógłby określić jego barwę słowem „zielony”. Podczas kiedy woda w szesnastokątnym czajniku puszczała pierwsze bąbelki, Anton L. przyglądał się legwanowi w promieniach porannego słońca. Jego łeb mienił się wszelkimi możliwymi odmianami zieleni, zupełnie jak wilgotny od rosy las mieszany w lecie, poczynając od barwy prawie żółtej do prawie niebieskiej. Legwan wabił się Sonia. Początkowo nazywał się Ernest, dopóki jakiś znawca legwanów nie zwrócił panu Hom- merowi uwagi, że to samiczka.

— Może Hommerowie gdzieś pojechali? W jakąś podróż? — zastanawiał się Anton L. Przez cały czas od kiedy tu mieszkał, Hommerowie ani razu. nie wyjeżdżali. Ciągle mówili, że nie mogą wyjechać ze względu na córkę. Zresztą, gdyby wyjechali, kto

by się zajął legwanem? Zostawiliby przynajmniej jakąś kartkę dla Antona. Ale wczoraj Anton L. poszedł spać po Hommerach. Było rzeczą w najwyższym stopniu nieprawdopodobną, żeby Hommerowie wstali potem po kryjomu i wyjechali. Można też oczywiście wyjechać wcześniej rano, na przykład o piątej. Ale wtedy, zwłaszcza kiedy wyjeżdżają osoby, tak jak Hommerowie, niena- wykłe do podróży, nie sposób uniknąć hałasu i zamieszania. Anton L. na pewno by to usłyszał.

Zagotowała się woda. Anton L. zalał wrzątkiem kawę w szklance. Szklanka pękła. Gorąca woda — a może to już była kawa? — chlusnęła na lewe kolano Antona L. i pociekła w dół po nodze. Zmoczona, wilgotna nogawka przykleiła się do łydki. Anton L. zdjął — w kuchni! — spodnie. Stojąc w lekko przyżółconych gaciach pomyślał: Co za szczęście, że nie ma Hommerów. Pan Hommer był wprawdzie, jak sam często zaznaczał, wolnomyślicielem, ale wysoko cenił moralność. Pan Hommer nigdy by nie dopuścił, żeby pani Hommer zobaczyła w gaciach jego, swojego własnego męża, a co dopiero sublokatora. Niewykluczone, że pan Hommer natychmiast wyrzuciłby z domu zarówno żonę, jak i sublokatora.

Anton L. pobiegł do łazienki (zgodnie z umową przysługiwał mu tam jeden haczyk, o ręczniki musiał już zadbać sam), wytarł się, potem poszedł do swojego pokoju i założył inne spodnie. Spojrzał na zegarek: było osiemnaście po siódmej. Jeśli nie zrezygnuje z kawy, spóźni się do biura.

— Ani mi się śni zrezygnować z kawy — pomyślał Anton L. W tym momencie po raz pierwszy przemknęła mu przez głowę myśl, że może jest chory.

Anton L. nie miał już więcej własnych szklanek. Wrócił do kuchni. W mieszkaniu nadal panowała cisza.

— Musieli rzeczywiście wyjechać — pomyślał. Od razu nabrał odwagi. Wziął sobie z szafki Hommerów filiżankę, ponownie wsypał kawę (z własnych zapasów) i nastawił wodę.

Kiedy woda się gotowała, Anton L. wytarł podłogę. Potem zalał kawę wrzątkiem i usiadł przy kuchennym stole. Kolejny akt odwagi, bo to mu nie przysługiwało.

— Przecież poszli spać przede mną — pomyślał. Wczoraj wieczorem siedział w dużym pokoju Homjnerów. Oczywiście to też

mu nie przysługiwało. Został tam zaproszony. Pan Hommer lubił oglądać telewizję w czyimś towarzystwie, ponieważ miał zwyczaj wyjaśniać to, co dzieje się na ekranie — nie komentować, ale właśnie wyjaśniać, tak jakby pozostali oglądający nic nie widzieli. Było to niezwykle denerwujące, ale Anton L. nigdy nie zaprotestował. Co najwyżej zdobywał się czasem na odrzucenie zaproszenia na telewizję, gęsto się przy tym tłumacząc i przepaszając, ale i to nie częściej niż raz w tygodniu. Anton L. bał się pana Hommera. Anton L., który lubił analizować siebie, stwierdził to pewnego dnia z niesmakiem: tak, wyraźnie bał się pana Hommera. Ale dlaczego? Do tego jeszcze w swojej autoanalizie nie doszedł. Pan Hommer natomiast zdecydowanie zapałał do niego sympatią. Nie sposób było nie dostrzec, że traktował sublokatora o wiele lepiej niż własną żonę.

Wczoraj wieczorem oglądali kolejny odcinek długiego serialu, pokazującego zmienne koleje losu dość mocno rozgałęzionej angielskiej rodziny. Pan Hommer cenił ten serial nade wszystko. Przed laty oglądał go już w programie pierwszym, później w programie trzecim, a teraz z satysfakcją śledził powtórzenie w telewizji austriackiej, którą w domu Hommerów odbierano dzięki silnej antenie dachowej. Powiązania rodzinne bohaterów angielskiego serialu były tak pogmatwane, że na początku i na końcu każdego odcinka, a czasami nawet w trakcie, pokazywano tablicę genealogiczną. Co trzy, cztery odcinki nadawano osobny program, w którym specjaliści od genealogii wyjaśniali komplikujące się rodzinne związki. Pan Hommer nabył również broszurę z tablicami genealogicznymi, wydaną przezornie przez stację telewizyjną, kiedy- serial szedł po raz pierwszy.

Wczorajszego wieczora wnuczka najstarszego członka rodu poślubiła kuzyna trzeciego stopnia. Stryj owego kuzyna miał romans z żoną własnego brata, która była z kolei siostrzenicą seniora rodu, który wyzionął ducha, zaraz w pierwszym odcinku. Brat obecnej głowy rodu dowiedział się o romansie, ale splajtował i na razie nie mógł zbadać sprawy do końca. Syn brata zamordował swoją żonę czy siostrę — wszystko działo się dosyć szybko i Anton L. nie mógł się za bardzo połapać — a siostra wspomnianej na początku wnuczki uciekła z nauczycielem gry na fortepianie. Nauczyciel (a może stryj bankrut, to również nie było

jasne) spłodził nieślubne dziecko z pewną księżną. Nie spokrewniony z rodziną — i dlatego nie uwzględniono go w tablicach genealogicznych — był często występujący butler, który najczęściej miał przy sobie srebrny dzbanek do herbaty oraz tacę.

Po zakończeniu odcinka pan Hommer, który miał Już na sobie turecki szlafrok przepasany złotym sznurem, jak zwykle nie pytając gościa, czy ma ochotę obejrzeć coś jeszcze, wyłączył telewizor i poszedł na wieczorną s-powiedź. S-powiedź wieczorna, w odróżnieniu od porannej, południowej i popołudniowej nie miała ściśle ustalonej pory i odbywała się po zakończeniu interesującego pana Hommera programu. Wydało się Antonowi L. wysoce nieprawdopodobne, żeby po wieczornej s-powiedzi pan Hommer (ponownie się ubrał i wyjechał).

Pani Hommer jak zawsze, tak i wczorajszego wieczoru wpadała chwilami do pokoju, omiatając z kurzu rąbkami fartucha a to wazę, a to stojak lampy czy poręcz fotela i popatrując rias ekran telewizora — jest raczej wykluczone, aby w tych warunkach mogła pojąć cokolwiek z zagmatwanych stosunków rodzinnych — później podgrzała wodę selcerską, by wreszcie, krótko potem, gdy położył się jej mąż, również smyrnąć do łóżka. (Anton L. wywnioskował to z tego, że już jej nie słyszał).

Córka Hommerów w ogóle pokazywała się rzadko. Wiązało się to z jej chorobą. Córka Hommerów nazywała się Marianna i miała nie dające się niczym zwalczyć uczulenie na wszelką odzież. Pan Hommer umieścił w umowie z sublokatozem klauzulę, że nie będzie on zgłaszał zastrzeżeń z powodu permanentnej nagoci córki gospodarzy, ani też nie będzie tego wykorzystywał dla podsycecia własnej żądzy. Marianna oczywiście nigdy nie wychodziła z domu, w miarę możliwości starano się, żeby nie opuszczała swojego pokoju. Nie zawsze jednak udawało się tego uniknąć. Początkowo Anton L. spotykał ją czasem na korytarzu. Ponieważ nie okazywał przy tym ani oburzenia, ani pożądlivych uczuć, pan Hommer stopniowo przestał się go krępować (Marianna nie krępowała się od samego początku). Już od dość dawna zezwalano zatem Mariannie dwa, trzy razy w tygodniu na oglądanie telewizji. Siadała wówczas nago na kanapie i Anton L., korzystając z tego, że pan Hommer gapi się w ekran, sam gapił się na jego nieco pulchną, ale przecież wcale niebrzydka córkę. Jest

sprawą oczywistą, że w tej sytuacji wiele szczegółów skomplikowanej sytuacji rodzinnej bohaterów serialu uszło jego uwagi.

Wczoraj wieczorem Marianny nie było. Czyżby nagle alergja ustąpiła, powiedzmy o piątej rano, i Hommerowie z tej radości, i aby wykorzystać być może chwilową tylko poprawę stanu zdrowia córki, spontanicznie wyruszyli na spacer?

Było pięć po wpół do ósmej, Anton L. skończył pić kawę. Więcej na śniadanie nie jadał. Zaczynał być głodny dopiero koło dziesiątej. O tej porze regularnie kupował w kantynie bułkę z kielbasą albo z serem, a do tego szklankę soku jabłkowego. To znaczy, kupował w prowizorycznym stoisku, prowadzonym przez sprzedawczynię z kantyny w suterenie. Właściwą kantynę otwierano dopiero o wpół do dwunastej.

Anton L. ponownie wyszedł na werandę. Przez ostatnią godzinę legwan Sonia ani drgnął. Anton L, zbliżył się do biegnącego po stycznej spojrzenia Soni i zaczął się zwierzęciu przyglądać. Cienki jak ostrze noża fałd skóry o niebywałych rozmiarach zwisał z podbródka legwana aż do jego, względnie j e j, Soni, łap. Za uszami, to znaczy w miejscu, gdzie u normalnego zwierzęcia powinny być uszy, pulsowała mała tarczka. Dziesięć po wpół do ósmej. Gdyby Anton L. wyszedł z domu w tej chwili, nie spóźniłby się aż tak bardzo, aby zwrócić to uwagę przełożonego.

Anton L. był także okresowym hipochondrykiem. W nieregularnych odstępach czasu nawiedzały go wyimaginowane choroby. Okresy hipochondrii nie pokrywały się z okresami szału toaletowego, niekiedy się jednak nakładały. Kiedy Anton L. wchodził w okres chorób, każdy chłodny, a także każdy ciepły powiew był dla niego niebezpieczny. Potrafił na przykład dostać niewidocznej podskórnej wysypki od określonego rodzaju warzyw albo kurczów krążka międzykręgowego od zbyt* ciasnych w pasie spodni. Pojawiała się konieczność, starannej pielęgnacji błon śluzowych w różnych miejscach. Szczególnie dotkliwie i uparcie nękał go obrzęk splotu słonecznego, schorzenie, które po przestudiowaniu licznych publikacji popularnomedycznych, zwłaszcza zaś „Medycyny astrologicznej”, Anton L. sprokurował sobie z kilku innych chorób. Swoje schorzenia Anton L. zwalczał środkami medycyny naturalnej, jak na przykład naciągając na nogi po dwie pary skarpet, albo zamykając wszelkie otwarte

okna, a otwierając zamknięte, czy też odkręcając zakręcone, a zakręcając odkręcone zawory w kaloryferach, przede wszystkim jednak reagując oburzeniem, kiedy inni nie dostrzegali jego cierpień. Oczywiście najmocniej odczuwały to osoby mające nieszczęście kontaktować się w tym czasie z Antonem L. Najbardziej cierpiał kolega pracujący z nim w pokoju. Ponifeważ zaślepiona medycyna akademicka nie uznawała bądź z rzadka tylko uznawała choroby Antona L. najczęściej musiał on, z powodu braku zwolnienia, nadal chodzić do pracy. Kolejni koledzy z pokoju, którzy, jak wspomniano, często się zmieniali, z czasem uciekali się do różnych metod ustosunkowywania się do chorób Antona L., o których tenże Anton L. z dużym samozaparciem rozprawiał. Niektórzy udawali, że nie słyszą i ignorowali jego opowieści. Inni stroili sobie żarty, a jeden nawet, co na serio rozwścieczyło Antona L., posunął się tak daleko, że się „zaraził”, też dostał podskórnej wysypki i obrzęku splotu słonecznego, a nawet przeszedł samego Antona L., dostając „polipa na nerwach”.

Prawie natychmiast po wstaniu z łóżka Anton L. wyczuł groźne pomruki swojego splotu słonecznego. Obecnie, za piętnaście ósma, zaczynał nabierać pewności, że znowu jest chory.

— Nie idę dzisiaj do pracy — powiedział do siebie. (Jeden dzień można było opuścić bez zwolnienia) — Zadzwonię do nich.

Telefon stał w dużym pokoju. Na wszelki wypadek Anton L. zapukał. Nic, cisza. Wszedł do środka. Zasłony były jeszcze zaciągnięte. Wszedłszy do pokoju bez zaproszenia, Anton L. nie miał już odwagi rozsunąć zasłon, zdecydował się więc zapalić światło. Nic z tego. Pstryknął kilka razy wyłącznikiem, ale światło się nie zapaliło. Wobec tego jednak rozsunął zasłony. Telefon stał na biurku, z którego pan Hommer rzadko tylko korzystał. (Rocznie pan Hommer pisał jedną, może dwie karty kondolencyjne, poza tym nic.) Biurko nabył pan Hommer w urzędzie skarbowym, kiedy zmieniano wysłużone sprzęty, ponieważ on również pracował w tym urzędzie. (Dzięki temu Anton L. wynajął sublokatorski pokój u Hommerów. Z drugiej strony dlatego też pan Hommer oszczędził od swojej zasady wynajmowania pokoju wyłącznie kobietom.) Na wielkim, ciężkim i ciemnym biurku stał tylko telefon. Obok leżał cieniutki zeszytek — tablice genealogiczne angielskiej rodziny z serialu.

Numer urzędu skarbowego Anton L. znał na pamięć. Podniósł słuchawkę. Nie było żadnego sygnału. Anton L. przycisnął kilkakrotnie widełki — nic. Mimo to nakręcił numer biura. Połączenia nie było.

— Musiało się to przytrafić akurat mnie, choremu człowiekowi, który czuje narastający obrzęk splotu słonecznego. — Anton L. odłożył słuchawkę z powrotem na widełki. Niewykluczone, że awaria telefonu łączy się z brakiem prądu. Była prawie ósma. Anton L. nie mógł już zmienić zdania i pójść do pracy. Musiał zejść do budki. Sięgnął po sznurek od zasłon, by je z powrotem porządnie zaciągnąć i znieruchomił. Jego spojrzenie padło na drugie drzwi w tym pokoju, te, przez które nie wchodził. Były to drzwi do pokoju Marianny. Podeszedł do nich ostrożnie, zapukał, ale nikt mu nie odpowiedział. Nigdy w tym pokoju nie był. Powoli nacisnął klamkę. W środku było ciemno, ale naprzeciwko drzwi dostrzegł zarys łóżka. Wszedł. Nie było nikogo. W łóżku najwyraźniej ktoś spał, ale teraz było puste.

— A więc jednak — pomyślał Anton L. — Poszli na spacer. A może co noc wychodzili na spacer z nagą córką, w trosce, żeby jednak łyknęła nieco świeżego powietrza? Może dzisiaj zablądziła? Nie, pan Hommer nigdy by nie zablądził. Może zapędzili się za daleko, tak że nie zdążyliby już wrócić przed świtem i teraz przez cały dzień muszą ukrywać Mariannę w jakichś zaroślach nad rzeką, i w związku z tym pan Hommer dobre pół godziny temu musiał się wys-powiadać na dworze, bez podgrzewanej wody selcerskiej, nawet bez zimnej...? A może zdarzyło się, że jakiś policjant przydybał wszystkich troje i zaarrestował za obrazę moralności? Anton L. prawie się z tego ucieszył.

Anton L. wrócił do swojego pokoju, wciągnął na nogi drugą parę skarpetek i wyszedł z mieszkania. Na drugim piętrze, w mieszkaniu właścicielki domu, szczekała Irma. Irma, tłusty, mysi w kolorze owczarek z żółtawo parchatymi plackami na skórze, słysząc podchodzącego Antona zaczęła skakać całym ciężarem na drzwi wejściowe.

— W takim razie dzisiaj nie podgląda — pomyślał Anton L. Właścicielka domu, pani Schwarzenbock, miała zwyczaj szpiegować przez judasza w porach większego nasilenia ruchu na klat

ce schodowej. Jej gosposia, karlica, podglądała równocześnie przez znajdującą się niżej szparę do wrzucania listów.

Kiedy Anton L. wyszedł na ulicę, przywitał go piekielny rwetes. We wszystkich okolicznych mieszkaniach czekały psy.

— Nigdy nie słyszałem tylu psów naraz... Co im się stało?

Budka telefoniczna stała niedaleko domu, w parku, w którym

być może ukrywali się teraz państwo Hommerowie. Anton L. wszedł do budki. Podniósł słuchawkę T wrzucił do otworu dwie dziesięciofenigówki. Również ten telefon był głuchy. Obie monety wypadły z powrotem.

— Bardzo dziwne.— pomyślał Antón L.

Dopiero kiedy był już z powrotem w mieszkaniu, uderzyło go, że, w czasie tej krótkiej drogi przez ruchliwą zazwyczaj ulicę, nie spotkał żywej duszy.

II. KOT NA MURZE SZPITALA KLARYSEK

Nie spotkał nikogo.

Anton L. siedział w swoim pokoju na łóżku. Jedną parę skarpetek zdążył zdjąć.

— To było kwadrans po ósmej — pomyślał. — Jeśli kwadrans po ósmej nie ma nikogo na ulicy...

Psy na sąsiedniej werandzie szalały, Antonowi L. wydawało się, że słyszy też ochryple, tłuste szczekanie Army z drugiego piętra. Ciepło rzeźkiego poranka wsączało się na werandę i pośrednio przez szyby okienne do pokoju. W sumie nastrój był zupełnie przyjemny.

— Kwadrans po ósmej ktoś musi być na ulicy. Nie ma takiej sytuacji, żeby na ulicy nie było nikogo, chyba że...

O skłonności Antona L. do autonalizy była już mowa. Później, kiedy miał czas i ochotę na rozpamiętywanie tych pierwszych godzin, przypomniał sobie te myśli, jakie przyszły mu do głowy, kiedy siedział na łóżku ściągnawszy jedną z dwu par skarpetek. Przypomniał sobie ten — zupełnie przyjemny — nastrój, a także i to, że od strony ulicy zaczął się zbliżać olbrzymi czarny robak, niewidoczny, a przecież czarny robak, który pochłonął ca-^

ły dobry nastrój, bo tam, na ulicy, nie było nikogo w porze dnia, kiedy ktoś musiał tam być, chyba że...

Anton L. pamiętał również to „chyba że”, ale nie potrafił powiedzieć, jakie miało być zakończenie zdania.

Piętnaście po ósmej było już wprawdzie po tym, co w ruchu ulicznym zwykło się nazywać godziną szczytu, ale w normalne dni robocze przed południem zawsze panował na tej ulicy ożywiony ruch, już choćby dlatego, że kursowały po niej tramwaje aż trzech linii. Sytuacja, żeby na ulicy nie było nic, ani jednego samochodu, ciężarówki czy człowieka, nie zdarzała się nigdy... chyba że...

To, że nie wpadł oo razu w panikę, miało według Antona L. dwie przyczyny: jedną ogólną i jedną konkretną.

Katastrofa takich rozmiarów przekracza zdolność pojmowania człowieka. Umysł broni się przed przyjęciem jej do wiadomości. Dopóki to możliwe, człowiek szuka niewinnych wyjaśnień. Każdy, kto obdarzony jest pewną zręcznością, potrafi błyskawicznym ruchem ściągnąć obrus z nakrytego stołu tak, że zastawa nawet nie zadrży. Tak to mniej więcej wygląda. Albo jeszcze lepiej, tak jak w tej opowieści, o nader precyzyjnym chińskim kacie, który z szybkością błyskawicy spuszcza na kark skazańca ostry jak brzytwa miecz. Skazaniec, który w ogóle nic nie poczuł, patrzy na niego pytająco. Proszę skinąć głową — mówi kat.

Cios został zadany, tyle że Anton L. jeszcze nie skinął głową.

A potem, jak przypomniał sobie później Anton L., głównym jego zmartwieniem były mimo wszystko wykręty, jakich będzie musiał użyć, tłumacząc się w biurze ze spóźnienia, bo nie było innego wyjścia: chcąc nie chcąc Anton L. musiał stawić się w pracy razem ze swoim obrzmiałym splotem słonecznym. Jego bezpośredni przełożony, radca podatkowy Melf, którego Anton L. uważał za wyjątkowego głupca, na pewno się nie powstrzyma od dwuznacznych uszczypliwości. No bo sytuacja byłaby wysoce niezręczna: pracownik przychodzi, żeby powiedzieć, że nie może przyjść. Próba objaśnienia panu radcy Melfowi, co to jest obrzęk splotu słonecznego, byłaby przedsięwzięciem beznadziejnym. Anton L. już raz próbował. Nie pozostawało mu nic innego, jak po

prostu stawić się do pracy usprawiedliwiając spóźnienie poranną niedyspozycją, pokonaną przez obowiązkowość. Zakuty łeb pana Melfa i tak nie pozwoliłby mu w to uwierzyć. A może przed południem go nie będzie? Może jest na naradzie albo gdzieś poza^ budynkiem? Jeśli by jędzowata pani Kittelmann przekazała mu informację o spóźnieniu Antona L. dopiero po południu, nie byłoby tak źle. Radca podatkowy Melf zastałby wówczas Antona L. w wirze czynności urzędowych, tak że niewiele mógłby mu powiedzieć. (Pani Kittelmann sama była hipochondryczką, z tym, że permanentną. Nie mogła znieść myśli, że ktoś jest chory bardziej od niej. Słyszając o chorobie tej czy innej osoby, machała pogardliwie ręką, mówiąc: Żeby ktoś wiedział, jak ja się źle czuję. Nawet kiedy niespodziewanie umarł lubiany przez wszystkich goniec Nörpel, który jeszcze dosłownie dzień przedtem, pogodny jak zawsze, taskał z pokoju do pokoju sterty akt, pani Kittelmann natychmiast stwierdziła: Ja też czułam się dziś w nocy fatalnie. Zrozumiałe, że musiało burzyć krew pani Kittelmann, 'kiedy Anton L. okresowo nie okazywał współczucia dla jej cierpień, a nawet przeciwstawiał im swój obrzmiały splot słoneczny).

Tak więc-przez cały kwadrans między godziną ósmą piętnaście a wpół do dziewiątej Anton L. miotał się po mieszkaniu w tłumionej panice — czarny robak wsysający jasny dzień — idącej o lepsze ze strachem przed radcą podatkowym Melfem.

Ponownie — tym razem wszedł do pokoju bez pukania — spróbował zadzwonić do biura. Telefon nadal nie działał. Wówczas zuchwale — nie sposób użyć innego słowa — otworzył drzwi sypialni Hommerów. W pokoju nie było nikogo. Anton L. odkrył (w obecnej sytuacji nie zrobiło to na nim wrażenia), że małżeńskie łóżko Hommerów nie stoją obok siebie, a prostopadłe do siebie, tworząc odwróconą literę T. Kreskę pionową stanowiło łóżko pana Hommera, łóżko pani Hommer stało w nogach łóżka męża. Na łóżku, czy raczej w łóżku pana Hommera, przykryta jak człowiek leżała piżama w brązowo-zielone paski, rękawy spoczywały na kółdrze. Anton L. nie miał głowy, żeby się zastanowić nad tą zupełnie nieoczekiwaną u kogoś takiego jak Hommer skłonnością do żartów. Wyszedł na klatkę schodową i zaczął dzwonić do drzwi sąsiadów, najpierw tych z mieszkania naprzeciwko, do którego należała weranda ze szczekającymi psami. Dzwonek nie działał. Anton L. spróbował więc zadzwonić do środkowego mieszkania. Mieszkała tam bardzo stara pani razem z córką, również starszą już panią, i dwiema wnuczkami. Ładna była zwłaszcza młodsza z wnuczek. Od dłuższego czasu Anton L. przypuszczał, że ona się w nim kocha. W jaskrawej sprzeczności z tym przypuszczeniem stał fakt, że kompletnie nie zwracała na niego uwagi. Zupełnie niedawno, ledwie parę tygodni temu, Anton L. spotkał Eliane, tak nazywała się wnuczka, w tramwaju. Był wówczas w końcowej fazie okresu wzmożonej podatności na choroby i opowiadał Eliane o swoich obrzękach splotu słonecznego. Obiektywnie rzecz biorąc, panna Eliane nie wyglądała na zainteresowaną schorzeniami Antona L. Anton L. tego nie zauważył. W tym też mniej więcej czasie pojawił się pewien młody człowiek, z którym panna Eliane zaczęła się dość często spotykać. Anton L. uznał to za przekorę nieszczęśliwie w nim, w Antonie L., zakochanej dziewczyny. Dzwonek przy drzwiach Eli- ny także nie działał. Notabene w tym mieszkaniu także był pies, dziwaczny jamnik o imieniu Hexi, który był tak bezkształtnie tłusty, że sylwetką z lekka przypominał wieloryba.

W tej sytuacji Anton L. zaczął stukać do wszystkich drzwi. Żadnej reakcji. -Tylko kiedy zapukał do drzwi Eliany, usłyszał, jak jamnik-wieloryb dopełził do drzwi i, wyczerpany, raz jeden sapnął. Żadnego więcej dźwięku z siebie nie wydał, przynajmniej przez ten czas, kiedy Anton L. nasłuchiwał. Niewykluczone, że usłyszawszy pukanie, ze strachu zdechł.

Anton L. wrócił do swojego pokoju, ponownie naciągnął drugą parę skarpet i udał się w drogę do urzędu.

— Na pewno byli jacyś ludzie na ulicy — wmawiał sobie przez cały czas — po prostu ich przeoczyłem. W końcu są takie chwile, nawet całe minuty, że ulicą nie przejedzie żaden tramwaj czy samochód; wszystko na mocy jakichś niezbadanych konfiguracji ruchu ulicznego. A jednak musiał przyznać przed samym sobą, że kiedy po raz drugi próbował dzwonić z pokoju Hommerów, świadomie unikał patrzenia przez okno wychodzące właśnie na ulicę. Dlaczego? Z obawy, że jego straszne przywidzenie się potwierdzi.

— Nic się nie stało — powtarzał sobie — absolutnie nic. Ta perswazja podziałała na krótko, niemniej w stopniu wystarczają

cym, aby obraz patrzącego surowym wzrokiem radcy Melfa wyparł czarnego robaka i aby ponownie odezwał się obrzątek splotu słonecznego, co skłoniło Antona L. do wciągnięcia z powrotem drugiej pary skarpet.

Na ulicy nadal jednak nie było nikogo[^]

— Wojna! — przemknęło Antonowi L. przez głowę.

Ta myśl nie wzięła się nie wiadomo skąd. Anton L. dość dobrze zapamiętał takie ulice, których pustka przygniatała jak głąz. Pod koniec ostatniej wojny Amerykanie zaczęli bombardować miasta również w dzień. Pewnego razu Anton L. wymknął się podczas takiego bombardowania ze schronu i wyszedł na ulicę. Matka zresztą prawie zaraz go stamtąd zabrała, bo wychodzenie z piwnicy było nie tylko zabronione, ale naprawdę Niebezpieczne, lecz w ten sposób Anton L. zobaczył "ulicę wyludnioną w biały dzień.

Anton L. nasłuchiwał. Poza szczekaniem psów nic nie było słyhać. Rozejrzył się wokoło; wszystkie bramy były pozamykane, żaluzje w oknach wystawowych opuszczone.

— Nie ma wątpliwości: wojna!»

Anton L. ruszył biegiem. Biegł w stronę urzędu skarbowego. Dlaczego akurat tam, nie potrafił powiedzieć. Miał uczucie, że j musi.

Do urzędu nie było daleko. Anton L. musiał dojść ulicą, na której mieszkał, do placu, od niego odchodziła boczna uliczka, tam właśnie był urząd. Biegiem zajmowało to pięć minut. Już biegnąc Anton L. spojrzął na wielki zegar umieszczony nad sklepem zegarmistrzowskim. Wskazywał prawie wpół do drugiej.

— To niemożliwe...

W tym momencie zegar na wieży neogotyckiego kościoła, stojącego na placu, do którego biegł Anton L., zaczął wybijać za kwadrans dziewiątą.

— Prąd! — pomyślał Anton L. — Jak jest wojna, wyłączają prąd. Zegar nad sklepem był na prąd, dlatego stanął. Natomiast zegar na wieży miał zwykły napęd mechaniczny.

Kiedy Anton L. przecinał duży plac, drogę przebiegła mu przepiórka.

— A Hommerowie nic mi nie powiedzieli. Typowe. Założę się, że nawet o mnie nie pomyśleli. Nie tracili na to czasu, po prostu mnie zostawili i nawet nie zadali sobie trudu, żeby mnie ostrzec.

Czy było może słyhać wycie syren? Nie, nic takiego sobie nie przypominał. A może tylko on nic nie słyszał? Albo słyszał, tylko wrażenie akustyczne uległo transformacji na wrażenie optyczne, tak że zamiast słyszeć wycie syren, zobaczył mdłą, żółtawą poświatę? Czy coś takiego było możliwe? (Swego czasu, w klubie Bundtrocka, intelektualnym kółku, do którego niegdyś należał, całe godziny spędzano dyskutując tego rodzaju kwestie).

Z trudem łapiąc oddech, Anton L. dopadł głównego wejścia urzędu skarbowego.

■— Jeśli jest wojna — pomyślał — Melf nic mi nie może zrobić. Powinien się cieszyć, że w ogóle przyszedłem.

Również drzwi wejściowe urzędu skarbowego były zamknięte.

— Dziwne, że wczoraj, w wiadomościach wieczornych przed serialem ani słowa nie pisnęli o zbliżającej się wojnie — pomyślał Anton L. — Czyżby wtedy panował jeszcze pokój? Może dopiero w wiadomościach o 23.00...? Ale w takim razie, skąd wiedzieli Hommerowie? Tak bez syren?

Wyjaśnienie, że powodem może być wybuch wojny, znacznie straciło na prawdopodobieństwie. Czarny robak wojny był prawie niczym wobec o wiele większego robaka nieznannej katastrofy, który właśnie wychynął znad krawędzi duszy Antona L. Mimo to — czy może raczej właśnie dlatego Anton L. kurczowo trzymał się wersji o wojnie; przyczyną była też zupełnie zwariowana myśl, jaka zakiełkowała w jego głowie: jego koledzy biurowi i Melf na pewno zabarykadowali się w urzędzie.

Anton L. szarpał ciężką klamkę z kutego metalu. Miał wprawdzie klucz do pokoju służbowego, ale jako pracownik niższej, rangi (nawet nie samodzielny urzędnik!), nie miał oczywiście klucza od wejścia. (Nie dotyczyło to wyłącznie Antona L., przypuszczalnie ani radca Melf, ani nawet sam dyrektor dr Chod- dol nie mieli takich kluczy, miał je tylko administrator).

Anton L. dostrzegł teraz to, czego nie zauważył nigdy dotąd: przy wejściu do urzędu był dzwonek. Anton L. zadzwonił. Żadnej reakcji, nie usłyszał nawet dźwięku dzwonka. Wtedy sobie przypomniał, że przecież nie ma prądu.

Anton L. zaczął się pocić.

— Że też musiało się to stać akurat, kiedy zaczyna mi dokuczać splot słoneczny... — pomyślał.

Zastanowił się, czy przypadkiem (nie zdjęć jednej pary skarpet, ale najpierw pobiegł na drugą stronę gniachu; z tyłu były jeszcze jedne małe drzwi, nie do użytku ogólnego.

Chmara małych ptaszków polatywała z drzewa na drzewo. Na murze ogrodu szpitala klarysek siedział kot. Blask słońca sprawiał, że rozległy plac odcinał się jaskrawo od mrocznej, cienistej masy otaczających go domów. Czerwony kościół pośrodku stał jak na tacy. Rzeński poranek ustępował miejsca ciepłemu przedpołudniu, zapowiadając rychły upał. Kot siedział w cieniu drzewa wyrastającego ponad mur.

Opuszczanie gmachu urzędu w czasie pracy było oczywiście wzbronione. Wymknięcie się głównym wejściem było zresztą i tak niemożliwe ze względu na nieużytego portiera, siedzącego za szybą. Pewnego dnia jeden z kolegów z działu wyrównał z tytułu podatku obrotowego odkrył przypadkiem, że klucz od jego pokoju pasuje do tych małych drzwi z tyłu gmachu. Musiał potem otwierać je zaraz po przyjeździe do pracy i zamykać przed jej zakończeniem, żeby się nie wydało. Od tego czasu, jeśli komuś znudziły się zawsze nieco wilgotne bułki, które oferowała na drugie śniadanie portierka, w każdej chwili mógł wymknąć się przez zakazane tylne drzwi do piekarza Ulricha i przynieść sobie precele, kawałek keksa czy nadziewane różki.

Tak jak można się tego było spodziewać, drzwi z tyłu gmachu były zamknięte. Anton L. tylko parę razy szarpnął za klamkę. Był zdyszany i lepił się od potu. (Oprócz drugiej pary skarpet nałożył jeszcze przezornie, poza marynarką, wełnianą kamizelkę). ■ - f ■

— Niemożliwe przecież, żeby dzisiaj była niedziela — pomyślał Anton L. — Chyba że — wczoraj, a więc kiedy po raz ostatni kładłem się spać, był poniedziałek — chyba, że przespałem cały tydzień. A to raczej niemożliwe. Może jest jakieś święto? Nie — Boże Ciało było w zeszłym tygodniu. Wniebowstąpienie i Zielone Świątki były jeszcze dawniej. Czy były jeszcze jakieś inne święta? Może państwowe? Czyżby zmarł nagle kanclerz? Wtedy wywieszono by flagi opuszczone do połowy masztu.

Anton L. pobiegł z powrotem do głównego wejścia. Kot nadal siedział na murze szpitala klarysek. Zegar na wieży wybił Wpół do dziesiątej.

— Cholerna kamizelka — pomyślał Anton L. (W innej sytuacji za swoje spocenie winiłby splot słoneczny, a nie wełnianą kamizelkę). Do głowy przyszedł mu awanturniczy jak na urzędnika pomysł... Już nie myślał, myśli same gnały mu chaotycznie przez głowę.

— Muszę się dostać do budynku.

Mimo to pobiegł w stronę kościoła.

— Jeśli dziś jest niedziela, to o wpół do dziesiątej będzie msza. W kościele muszą być jacyś ludzie. Na wolnej przestrzeni wokół kościoła prażyło słońce. Anton L. zalewał się potem. Obiegł kościół dokoła, próbował wszystkich wejść, także drzwi do zakrystii; wszystko było pozamykane.

— Oni też się zabarykadowali.

Anton L. usiadł na schodach w cieniu portyku. Dyszał ciężko.

— Kościół zawsze był dla ludzi azylem. Na pewno ukryli tam kobiety i dzieci, a kto wie, może i chorych. Zdjął buty, potem dodatkową parę skarpet, nałożył buty z powrotem, a skarpety wsadził w kieszeń marynarki. Oddech nieco mu się uspokoił. Kiedy zdjął też wełnianą kamizelkę, od razu poczuł się lepiej.

— W każdym razie, na pewno nie jest niedziela.

Jego spojrzenie padło na gmach urzędu skarbowego. ^v

W pokojach od południa, jak prawie wszystkie pokoje zawalonych stertami akt pod sam sufit, było w lecie gorąco nie do zniesienia. Któregoś dnia radzie zakładowej udało się przeforsować sprawę zainstalowania w tych pokojach rolet, lnianych płacht w kolorze pomarańczowym, podciąganych i opuszczanych na specjalnych zaczepach.

Taki upał, a żadna z rolet nie jest opuszczona!

Anton L. podniósł się. Awanturnicza myśl zaświtała mu znowu.

—• Czemu nie opuszczają rolet?

Ponownie pobiegł do głównego wejścia gmachu. Chyba żaden z pracowników tego urzędu nie wpadł dotąd na pomysł, żeby wspinać się po fasadzie budynku. Przy wejściu do gmachu wisiała skrzynka pocztowa.

Korzystając z występu w murze Anton L. wdrapał się na skrzynkę, a stamtąd podciągnął się na gzymsie

do pierwszego okna parteru. (Był to stary budynek użyteczności publicznej, zbudowany w czasach, kiedy gmachy urzędów przypominały twierdze. Parter był bardzo wysoki). Pierwsze okno od bramy należało do głównej kancelarii.

Oblewając się potem po trudach wspinaczki, Anton L. przycisnął twarz do odbijającej promienie słońca szyby: pomieszczenie było puste.

— W kancelarii zawsze są ludzie, zawsze.

— Może dziś jest jakaś wycieczka zakładowa?

Nie, nie przypominał sobie, żeby czytał jakiś odnośny okólnik. Istniała wprawdzie możliwość, że go przeoczył, albo że okólnik nie dotarł do wszystkich pokoi, lecz taką wycieczkę poprzedzała zawsze gorączkowa aktywność rady zakładowej, która w żaden sposób nie mogłaby ujść jego uwagi. Zawsze też zbierano składki, bo fundusze, jakie przeznaczał na ten cel ich macierzysty urząd, nigdy nie były wystarczające. Zbiórkę przeprowadzała niezmiennie pani Kittelmann. Z pewnością nie omieszkałaby oskubać Antona L., jego przede wszystkim. Nie — zresztą nawet w przypadku wycieczki zakładowej, główna kancelaria nadal była czynna; musiało tak być, bo inaczej ludzie mieliby wymówkę, że chcieli przynieść oświadczenia podatkowe, ale urząd skarbowy był zamknięty. Na coś takiego ludzie wpadają bardzo szybko.

Duży ptak o wąskich skrzydłach oderwał się od neogotyckiego ażuru na szczycie wieży. Ptak zaczął wolno krążyć wokół iglicy. Dołączył do niego drugi.

— Wyglądają na sokoły⁴ — pomyślał Anton L. Wzdrygnął się gwałtownie.

Skarpety nieprzyjemnie wypychały kieszeń marynarki. Anton L. przysiadł na ławce na skraju ocienionego chodnika, biegnącego po obrzeżach placu, i ponownie zaczął naciągać je na nogi. Zdjął obydwie buty i właśnie zabierał się do nakładania lewej, kiedy w jednym z domów po drugiej stronie placu rozległo się głośne szczekanie psa. Anton L. podniósł głowę i spojrzał w tamtym kierunku. Szczekanie miało w sobie coś histerycznego. Psy szczekają tak tylko wtedy, gdy je ktoś maltretuje. Po chwili rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Z okna na parterze jednego z domów, rozbijając szybę, wyskoczył duży pies. Za nim drugi, mniejszy. Z dużą szybkością przebiegły obok Antona L. i zniknęły za kościołem.

Antona L. zalała fala potu.

—¹ No i doczekałeś się. Nie żyjesz. Urtiarłeś. Prawdopodobnie w nocy. To twoje ciągle gadanie o obrzęku splotu słonecznego. I masz, właśnie na to umarłeś. Wszystko jasne. Ta mdła poświata w nocy, to była...

Anton L. ściągnął założoną do połowy lewą skarpetę i wsunął nogi w buty.

— ...to była śmierć. A to, co widzisz, to jest życie po śmierci. Nikogo nie widzę i nikt nie widzi mnie. To nieprawda, że sobie tu chodzę. Prawdopodobnie leżę, to znaczy moje zwłoki leżą w łóżku, może zaraz przyjdą mnie zabrać? Starego Hommera pewnie ciarki przechodzą. Dobrze mu tak. Pewnie jest taki przerażony, że przeprowadzi się do innego mieszkania.

Położył skarpety na ławce i poszedł.

— Pewnie po śmierci wszystko zostaje tak, jak człowiek to ostatni raz widział. Nie, ostatnim razem urząd skarbowy wyglądał inaczej. Wieża kościelna też, wczoraj o wpół do piątej. To musi być coś innego, bo zegar na wieży ciągle przecież chodzi. No i nigdy nie widziałem, żeby przez ten plac przebiegała przepiórka. Czy to raj, czy może...? Jak na piekło, to... piekło musiałoby być trochę mniej przyjemne. Nigdy nie wierzyłem, że piekło istnieje. A może potem będzie już inaczej? Może tak jest tylko na początku, przez pierwsze godziny po śmierci? Czy pani Kittelmann znowu powie, że tej nocy też czuła się fatalnie?

Anton L. wracał swoją zwykłą trasą do domu.

— Albo dostałem szmergła. Dziś w nocy zwariowałem. Szczególny rodzaj obłędu, polegający na niepostrzeganiu innych ludzi. Przez ulicę przebiega przepiórka. Coś takiego może być tylko urojeniem szaleńca. Nie widzę nikogo, za to wszyscy widzą mnie. Dobrze, że tam pod kościołem nie ściągnąłem z siebie spodni. Ale w takim razie, dlaczego nie udało mi się dostać do urzędu? Chyba jednak naprawdę nie żyję...

Zaczęło padać. Anton L. przebiegł na drugą stronę ulicy, ale zaraz wrócił. Zaczął się dobijać do wszystkich bram, drzwi sklepów. Wszystkie były zamknięte. Pod sklepem piekarniczym w

poblizu domu, w którym mieszkał, z kosza na śmieci, przymocowanego do słupka, na którym wisiała tabliczka z nazwą ulicy, wyjął pustą butelkę po piwie. Zamachnął się i z całej siły cisnął butelką w szybę wystawy. Butelka rozprysła się na sto kawałków. Szyba pękła, ale nie rozbiła się. Anton L. ponownie przebiegł na drugą stronę ulicy. Nie znalazł więcej butelek, w innych, koszach na śmieci też żadnej nie było. Za to jedna z płyt chodnikowych przed domem nr 4 (Anton h. mieszkał pod numerem 2) była obluzowana. Anton L. zauważył to, kiedy na nią nastąpił. Gdy nadepnął jeden koniec płyty, drugi uniósł się w górę. Mógł tam wsadzić rękę i wyjąć ją. Z płytą chodnikową w rękach pobiegł z powrotem do sklepu piekarniczego. Wziął zamach i rzucił. Tym razem szyba się rozbiła. Duże odłamki spadały jak łuski i rozpryskiwały się o ziemię. Płyta też spadła na chodnik. Anton L. podniósł ją i rzucił w następną witrynę, należącą do kwaciarni. Ta szyba również się rozbiła. Tym razem płyta chodnikowa wpadła do środka.

Anton L. ciężko dyszał. Przytrzymał się znaku drogowego. Gdzie się podziła jego wełniana kamizelka? Zostawił ją na schodach pod kościołem. Zaczęło w nim kielkować podejrzenie, podejrzenie, które dręczyło go już w dzieciństwie...

— Nie umarłem ani nie oszalałem — pomyślał. — Oni się pochowali. Wszyscy po kryjomu uciekli i pochowali się.

W dzieciństwie miał takie podejrzenie — skrajnie egocentryczny obraz świata że tak naprawdę, to świata nie ma, że dorośli, że w ogóle wszyscy tylko go przed nim — i Antonem L. — odgrywają. Jego podejrzenie opierało się na fakcie, że tak często można spotkać podobnych do siebie ludzi. Oni nie są do siebie podobni, przypuszczał mały Anton L., to jedni i ci sami, tylko odgrywają różne role. Matki również nie wyłączał z kręgu podejrzeń, bynajmniej; właśnie ona dostarczyła mu dowodów, potwierdzających słuszność podejrzenia. Któregoś razu mały Anton wygarnął jej prosto w oczy, co o niej myśli. Matka roześmiała się i starała się go uspokoić. Anton L. odebrał to jako wykręt. Kiedyś spotkał mężczyznę wyglądającego jota w jotę jak jego zmarły dziadek. Było to w czasie adwentu. Matka zabrała go na kiermasz przedświąteczny, dosyć wtedy żaloszny. W końcu była wojna. Staruszek popatrzył na małego Antona L. i zaraz szybko odwrócił głowę. Tym się zdradził — pomyślał wówczas Anton L. Podejrzenie to powracało przez cały okres dzieciństwa, a nawet potem, już w okresie młodzieńczym. Powodowało, że był nieufny.

Anton L. przeszedł przez ulicę tuż obok dziury po płycie chodnikowej przed domem nr 4. Pojedyncze psy nadal ujadły w domach. Anton L. właśnie zamierzał otworzyć kluczem drzwi wejściowe pod numerem 2, kiedy nagle poczuł głód, który właściwie powinien się odezwać już pół godziny temu. Popatrzył na zegarek. Była jedenasta.

— No, przynajmniej coś mi jednak zostawili — pomyślał. Wrócił do sklepu z pieczywem i ostrożnie powymyślał kawałki szyby, sterczące u dołu z ramy okna wystawowego. W witrynie nie było co oglądać. Piekarz stara się sprzedać całą dzienną produkcję, także towar z wystawy — Anton L. wszedł przez okno do sklepu. Półki również były prawie puste. Tylko na jednej leżały bochenki chleba. W koszu było trochę bułek, prawdopodobnie wczorajszych. Anton L. poszperał pod ladą i wyjął stertę plastikowych toreb. Wziął jedną i zapakował do niej bułki. Były ledwie miękkawe. Kiedy właśnie zabierał się do wyjścia przez witrynę, przyszedł mu do głowy pomysł. Odłożył torbę i poszedł na zaplecze sklepu. Znalazł tam długą żerdź z deską na końcu, rodzaj szufli, której piekarze używają do wyjmowania chlebów z pieca. Wziął szufłę ze sobą i zbił nią szybę w drzwiach sklepu nabałowego pani Pregler. Z lodówki, która jeszcze nie zdążyła się rozmrozić, zabrał kostkę masła.

Po drugiej stronie ulicy były delikatesy. Anton L. był zmuszony nie tylko rozbić szybę, ale także rozgiąć zasunięte kraty. Zabrał stamtąd puszkę sardynek, słoik korniszonów i sporo pokrojonej w plasterki kielbasy. Wszystko to włożył do drugiej torby. Ale zostało w niej jeszcze trochę miejsca. Anton L. wziął sobie jeszcze nadkrojoną gotowaną szynkę, słoik miodu, jedno salami, jeden trójkątny serek, jeszcze jedno salami, odstawił z powrotem miód i zamiast tego wziął butelkę francuskiego czerwonego wina. Druga butelka już się do torby nie zmieściła. Musiał ją włożyć do kieszeni marynarki. Teraz z kolei nie mógł się przecisnąć przez kraty. Rozejrzał się po sklepie. Spostrzegł niezamknięte drzwi do kantorka. Tam znalazł klucze. Jeden z kluczy pasował do krat, które nie dały się jednak rozsunać, bo były pocięte. Ale drugi

klucz pasował do tylnego wyjścia przez kantorek, prowadzącego na klatkę schodową. Trzecim kluczem Anton L. otworzył bramę domu. Dzierżąc obie torby w dłoniach, Anton L. wyszedł z bramy na ulicę. Zamknął bramę na klucz — dziwne, pomyślał sobie zaraz, po co ja ją zamykam? — i włożył klucze do kieszeni. Piekarska szufla dalej stała oparta o ścianę obok zdemolowanych drzwi sklepu.

III. TANGO BUTLERA

Anton L. był też w pewnym sensie okresowym pijakiem, a raczej: był okresowym pijakiem dwukrotnie. Niewykluczone, że chodziło w tym wypadku o większy cykl w obrębie małego cyklu; Anton L. żył jeszcze zbyt krótko, aby można było wykryć jakieś prawidłowości w obrębie jego życiowych okresów. Anton L. miał za sobą dwa okresy występowania periodycznych pijaństw, jeden między osiemnastym a dwudziestym drugim rokiem życia (zaczął na krótko przed maturą; przerwanie studiów na wydziale ekonomii wiązało się z przykrymi, nigdy nie wyjaśnionymi do końca wydarzeniami w trakcie, mówiąc językiem muzycznym, stretto okresu pijackiego, kiedy to „mokre” odcinki życia Antona L. przechodziły jeden w drugi w sposób płynny), drugi zakończył się tuż przed podjęciem przez Antona L. pracy w urzędzie skarbowym. Pan Hommer nigdy się o tym nie dowiedział, w przeciwnym bowiem razie Anton L. w żadnym wypadku nie dostałby pracy w tym urzędzie, a już na pewno nie zostałby sublokaterem u pana Hommera. Pan Hommer • nie stronił od szklaneczki piwa. Zdarzało mu się otworzyć wieczorem przy telewizji butelkę wina. Anton L. zawsze dostawał swoją szklaneczkę piwa czy kieliszek win, i, kiedy wraz z panem Hommerem śledził losy wspomnianej angielskiej rodziny. Pan Hommer jednak nie ścierpiałby oczywiście pod swoim dachem pijaka. Notabene żonie i córce w ogóle zabraniał spożywania alkoholu. Uważał, że alkohol jest dla organizmu kobiety szkodliwy, „a poza tym”, powiedział kiedyś, „wystarczy już, jak Marianna siedzi tu, z nami golusienka jak ją pan Bóg stworzył; gdyby do tego trzymała w dłoni kieliszek szampana — byłoby to cokolwiek bachiczne”. Słowo „bachiczny” pan Hommer znał z innego ulubionego serialu. Anton L. go nie oglądał, bo serial szedł po południu. Pan Hommer czasem opowiadał wieczorem fragmenty. Sądząc z tych opowieści, bohaterowie serialu stanowili grupę oczywistych łobuzów (było ich chyba trzech), sami Francuzi, którzy żyli nie wiadomo z czego, ale dziwnym zbiegiem okoliczności potrafili wzbudzić sympatię u widzów. Jak zawsze wszystko zależy od okoliczności. Coś, -co w zwyczajnej relacji wygląda na łobuzerstwo, w barwnej opowieści sprawia wrażenie bohaterstwa czynu.

Pierwszy okres pijaństw skończył się dlatego, że Antonowi L. przestał smakować alkohol. W tym czasie próbował już wszystkiego, począwszy od chińskiej wódki ryżowej a na* greckim ouzo kończąc. Mimo najlepszej woli z jego strony, nic mu nie smakowało. Ponieważ nie musiał się przed nikim popisywać konsumpcją alkoholu ~ jego jedyny kompan od kieliszka, też maturzysta i późniejszy przyjaciel ze studiów odpadł już wcześniej — Anton L. mógł sobie szczerze powiedzieć, że bardziej smakuje mu maślanka. Pozostawało to ponadto w związku z zachodzącymi w nim zmianami, których sygnałem było wystąpienie amoku higienicznego i okresu hipochondrii.

Drugi okres pijacki skończył się wraz z nawróceniem się Antona L. na jogizm. W dość krótkim czasie, czego, biorąc pod uwagę jego dosyć słabowitą konstytucję fizyczną, nikt się po nim nie spodziewał, doszedł do takiego mistrzostwa w staniu na głowie przy odrzuceniu wszelkich myśli, że kierownik klubu jogi z zazdrości wykluczył go z szeregów. Było to dla Antona L. nawet wygodne, ponieważ jego fascynacja jogą zdążyła już osłabnąć, co było też o tyle korzystne, że pan Hommer przypuszczalnie uznałby stanie na głowie również za coś „bachicznego”. Mimo wszystko jednak przerwany bądź co bądź gwałtem drugi okres pijacki nie odnowił się. Anton L. spokojnie mógł wypić szklanek piwa czy kieliszek wina, którymi wieczorem częstował go pan Hommer. Najwyraźniej w przypadku Antona L. chodziło o jakieś duże cykle, których zewnętrzne oznaki, jak tajemnicze komety na czas jakiś pojawiały się w jego życiu i kiedyś tam mogły pojawić się znowu, ale niekoniecznie..

Kiedy Anton L. z dwiema plastikowymi torbami w rękach,

z kieszenią marynarki obciążoną butelką francuskiego wina wdrapał się na drugie piętro (budynek był stary i nie miał windy), psy nadal szczekały. Trudno powiedzieć, że szczekały, były jak oszalałe. Irma z drugiego piętra szarżowała na drzwi od mieszkania, że aż huk szedł na całą klatkę schodową. Dwa psy z trzeciego piętra zachowywały się podobnie. (Tylko dziwaczny jamnik Hexi był cicho, bo prawdopodobnie zdechł).

Anton L. nie lubił psów. Teraz było już jasne, czemu psy tak szalały. Nie było po prostu ich właścicieli. Zwierzęta — w wyniku tresury bojące się cięgów za załatwienie się w mieszkaniu — cierpiały nieopisane katusze od wzdętych pęcherzy, poza tym były głodne. Anton L. tak bardzo nie lubił psów, że nawet nie było mu ich żal, ale hałas go drażnił. Postanowił je uwolnić. Musiał to zrobić oczywiście ostrożnie, bo rozszalała Irma, silne bydlę, głupia jak to .pies, mogła nawet rzucić się na swego wybawcę.

Anton L. wszedł więc najpierw na górę i w kuchni Hommerów odciął spory kawał gotowanej szynki. Następnie wziął duży, przypominający prawie rzeźnicki topór tasak, który znalazł wśród kuchennych przyborów i z łatwością, jakiej się nie spodziewał, rozbił nim drzwi mieszkania zaginionej pani Schwarzenbock. Pies wystrzelił na klatkę, porwał szynkę, którą rzucił mu Anton L. i popędził schodami w dół.

Ponieważ drzwi były już otwarte, Anton L. wszedł do środka. Znał przecież grubą, starą panią Schwarzenbock, która będąc niemal łysa miała za to prawie normalne wąsy i bez przerwy chodziła w brudnym fartuchu w kwiaty, a na nogach miała zrolowane do kostek pończochy i podarte papucie. Jej gospoś, karlica, była jeszcze ciut brudniejsza od swojej pani. Nietrudno więc było sobie wyobrazić, jak musi wyglądać mieszkanie. Ale mieszkanie przeszło najsmielsze oczekiwania. Anton L. nie miał pojęcia, że pani Schwarzenbock zbiera stare gazety. Całe góry pożółkłych gazet leżały poukładane pod ścianami, piętrzyły się na meblach, w niektórych pokojach stykając się nawet wierzchołkami, tak że mieszkanie sprawiało wrażenie labiryntu tuneli. Nieopisany odór bił przez otwarte teraz drzwi. Stojący w głębi, w perspektywie tunelu przedmiot, Anton L. wziął początkowo za skrzynię na węgiel. Było to jednak łóżko. Ponieważ oprócz niego w całym mieszkaniu nie było innego pośłania, z konieczności należało przyjąć, że sypiała w nim pani Schwarzenbock z gospośią i z psem. Anton L. zatkał sobie nos i pchnął na oścież okno. Obawiał się, że w przeciwnym razie uwięziony w tych pomieszczeniach smród mógłby sfermentować i w krótkim czasie dom wyleciałby w powietrze.

Kiedy później Anton L. włamał się także do mieszkania, w którym były wspomniane poprzednio dwa psy — w rękę miał nowy kawałek szynki — stwierdził, że większy pies śpi smacznie w kuchni. Zdążył ją już całą zapaskudzić i pożreć mniejszego psa. Żeby zapobiec ewentualnemu późniejszemu hałasowi, Anton L. profilaktycznie zatłukł śpiącego psa tasakiem. W samym mieszkaniu nie było nic szczególnego.

Czy to z powodu odoru z mieszkania pani Schwarzenbock, czy może dlatego, że głód sam się na razie uciszył, bo minęła jego zwykła pora, Anton L. nie miał już ochoty na jedzenie. Za to chciało mu się pić. Rozsiadł się w dużym pokoju Hommerów — czy należałoby już powiedzieć „świętej pamięci” Hommerów? — bez skrępowania zdjął z nóg buty i pozostała parę skarpet i otworzył butelkę ozdobnym korkociągiem pana Hommera. Z wolna, Anton L. miał wrażenie jakby tak z góry i nieco z ukosa, wsączało się weń wspomnienie wielu wspaniałych chwil, jakie przeżył w trakcie obydwu okresów alkoholicznych. Przyszło mu do głowy, że wspinał się oto na kolejny, wyższy poziom. W ogóle od chwili, kiedy zaczął samodzielnie myśleć, obserwował u siebie stały rozwój. Z tego powodu nie tylko czuł się duchowo wyższy od niemal wszystkich ludzi, czuł się wyższy także od dawnego Antona L. Często aż kręcił z niesmakiem głową przypominając sobie, jakim to zaślepionym karłem był jeszcze przed laty, przed kilkoma miesiącami czy nawet tydzień temu. Toteż jak z wysokiego szczytu spoglądał na owe dwie prowincje swego życia, przez które płynęły rzeki piwa i wina. Około godziny trzeciej otworzył drugą butelkę. O wpół do piątej ona również była już pusta. Anton L. pamiętał, że pan Hommer trzyma w komodzie butelkę koniaku. Oszczędził sobie chodzenia po zakrwawiony psią juchą tasak czy ewentualnego szukania klucza. Jeden cios ciężkim fotelem i komoda rozpadła się. Były w niej dwie butelki koniaku, jedna napoczęta, druga jeszcze nie otwierana.

Anton L. zdjął spodnie i obwiązał je wokół stojącej lampy, co wywołało u niego paroksyzmy śmiechu. Po opróżnieniu napoczętej butelki, pośród wielu myśli dotyczących teraźniejszości i przeszłości znalazła się też myśl o legwanie Soni.

— Biedny zwierzak -r- pomyślał Anton L.

Nie mógł się zdecydować, czy zarznąć legwana, czy go nakarmić. Zdecydował się go nakarmić. Czym się żywią legwany? Anton L. nie mógł sobie przypomnieć, czym pan Hommer karmił swojego. Poszedł do kuchni. Tam zdjął najpierw gatki i włożył je do lodówki. Potem odkroił plasterk gotowanej szynki. Sonia wzgardziła nim. Anton L. wybaczył legwanowi ten kaprys i rozpakował trójkątny serek. Położył go na stole, przytrzymał lewą ręką, zamknął jedno oko, wycelował i trafił nożem we własny palec.

~ I tak przyniosę sobie nowy ser —? pomyślał i wrzucił cały do terrarium. Sonia najpierw się przestraszyła i uciekła za kamień. Kiedy jednak Anton L. zachowywał się przez chwilę spokojnie, ' legwan wylazł z ukrycia, obwąchał zakrwawiony ser i zaczął go jeść.

— Grzeczna dziewczynka ;-r powiedział Anton L.

Wrócił do dużego pokoju. Wieczorne słońce kładło się na meblach czerwonym refleksem. Anton L. opadł na wielki fotel, ulubiony fotel pana Hommera z gładkiej, brązowej skóry. Przestraszył się, kiedy chłodna skóra dotknęła jego nagich pośladków, ale w tym momencie otworzyły się drzwi do pokoju Marianny. Osobą, która z niego wyszła, nie była Marianna, ale pani Reguła Weckmeier.

Pani Weckmeier była bezsporną gwiazdą wśród żeńskiej części pracowników urzędu skarbowego. Była' inspektorem podatkowym. Wyglądała na wszystko, tylko nie na inspektora' podatkowego. Miała rude, kręcone włosy i nosiła najkrótsze spódniczki i najbardziej obcisłe spodnie w całym urzędzie. W czasie przedostatniej wycieczki pracowniczej miała na sobie wyjątkowo krótką sukienkę, związaną na karku szarfą. Podczas pikniku nad strumieniem główny dowcipniś w biurze, pan Haselpointner, pociągnął za tę szarfę. Sukienka rozjechała się na boki i przez krótką chwilę wszyscy mogli zobaczyć, że pani Weckmeier nie miała na. sobie nic, ale tak naprawdę nic więcej. Pani Weckmeier wymie-r'

rzyła wprawdzie Haselpointnerowi siarczasty policzek, ale poza tym śmiała się razem z innymi.

Chodziły czasem słuchy, że pani Weckmeier mieszka w jakiejś anarchistycznej komunie. Pewnego razu w jednym z magazynów dla panów pojawiła się seria fotografii przedstawiających we wszystkich możliwych pozach nagą dziewczynę co najmniej zdumiewająco podobną do pani Weckmeier. Magazyn krążył oczywiście po całym urzędzie. Pani Weckmeier zaprzeczała, jakoby pozowała do tych zdjęć. Pani Kittelmann, żywiąca, jak można się domyślać, głęboką nieufność do * tak ekscentrycznej koleżanki, twierdziła, że wszczęła pewne kroki, które w rezultacie upewniły ją ostatecznie, że to jednak pani Weckmeier była tą modelką. Niemniej nawet pani Kittelmann nie mogła zaprzeczyć, że pani Weckmeier, chociaż niejednokrotnie zdarzało się jej spóźnić do pracy i w sposób bezczelny oraz uszczypliwy odzywać się do przełożonych, była solidną pracownicą. Tymże argumentem posłużył się też dyrektor urzędu, dr Choddol, kiedy pani Kittelmann zdała mu relację ze swojego śledztwa w sprawie aktów i zasugerowała wszczęcie postępowania dyscyplinarnego. Żadnego \ postępowania nie wszczęto. W związku z tym pani Kittelmann wysunęła przypuszczenie, że coś łączy dr. Choddola z panią Weckmeier. Również i w tej sprawie wszczęła śledztwo, ale bez rezultatu.

Męża pani Weckmeier nie miała albo już nie miała.

Anton L. przypuszczał, że pani Weckmeier potajemnie się w nim kocha. Pozostawało to w pewnej sprzeczności z faktem, że rudowłosa pani inspektor strzelała wprawdzie oczami do wszystkich mężczyzn w biurze — oczywiście tych zajmujących wyższe stanowiska — na Antona L. jednak nie zwracała najmniejszej uwagi.

Pani Reguła Weckmeier dla przyjaciół „Myszka” — weszła do dużego pokoju. Miała na sobie długą do ziemi spódnicę z zielonego aksamitu i czarną bluzkę. Anton L. usiłował otworzyć drugą butelkę koniaku. Udało mu się co prawda ?djąc z szyjki staniolowy kapturek, ale nie mógł znaleźć ozdobnego korkociągu pana Hommera. „Myszka” włączyła telewizor. Butler rozgałęzionej angielskiej rodziny grał tango na kontrabasie. (W młodości, na krótko przed pierwszym cyklem alkoholiznym, Anton L. miał

okres fascynacji tańcem towarzyskim; namiętność ta nigdy jeszcze w jego życiu nie powróciła, należała więc zapewne do bardzo rozciągniętego w czasie cyklu. Obok fokstrota właśnie tango było mocną stroną Antona L.)

Trudność, jaką nastęczało Antonowi L. znalezienie ozdobnego korkociągu, tłumaczy poniekąd okoliczność, że szukał go na stoliku po omacku, ani na moment nie spuszczał oczu z „Myszki”. A „Myszka” tańczyła w miejscu z uniesionymi w górę rękoma, mlaskając językiem w ekscytującym rytmie podawanym przez butlera. Anton L. rozbił szyjkę butelki o kant stolika. (Szkłana tafla blatu również pękła na kawałki). Strumień koniaku bryz- nął na obnażone kolana Antona. „Myszka” zaczęła się obracać, nie, wężowym ruchem skręcała ciało to w jedną, to w drugą stronę mlaszcząc przy tym rytmicznie językiem. Drugi butler przyłączył się do kontrbasu cykając kastanietami. „Myszka” miała na sobie długą do „ziemi suknię z zielonego aksamitu, ale była bez bluzki. Jej alabastrowe piersi rozsadzały czarny koronkowy gorset, sprężynując w ekscytującym rytmie.

Anton L. rozlał koniak do dwóch kieliszków. Jeden upadł mu na ziemię. Wziął następny. Napelnił oba. Wyglądało na to, że zdążył już jeden wypić. Trzeci butler dołączył grając na harfie. „Myszka” miała na sobie czarny koronkowy gorset i pas ze złotych monet. Do pokoju wszedł pan Hommer przygrywając na organkach. Anton L. próbował go udusić skórzaną poduszką z kanapy. „Myszka” miała już na sobie tylko pas ze złotych monet. Antonowi udało się powalić pana Hommera na podłogę, ale ten trzymał go za nogi. Anton L. jeszcze raz napelnił oba kieliszki. Butelka wysliznęła mu się z rąk. Czwarty butler zdjął „Myszce” pas. „Myszka” grała na tamburynie zasłaniając nim podbrzusze, a kiedy się odwracała, błyskawicznie zasłaniała nim pośladki. Anton L. czuł straszliwy żar wstępujący w jego lędźwie, ale pan Hommer nadal trzymał go za nogi. „Myszka” pozbyła się tambu- rynu. Anton L. próbował dopaść „Myszki” nie zważając na uwieszonoego u swoich nóg pana Hommera. Kilka razy niemal mu się udało. Sądząc po włosach łonowych, rudość „Myszki” była naturalna. Butlerzy opletli „Myszke” skórzanymi rzemieniami. Skrępowane ciało „Myszki” podrygiwało w diabolicznym rytmie. Anton L. miał wrażenie, że zaraz eksploduje. Anton L. eksplodował.

Była noc. Anton L. leżał w swoim łóżku. Na dworze czekały psy. Anton L. ostrożnie obmacał głowę. Chciał zapalić światło, ale nie było prądu. Miał na sobie podkoszulek, koszulę i marynarkę. Od lewej stopy w górę promieniował ból. Anton L. sięgnął ręką: duży palec u lewej nogi był lepki. Mgły kłębiły się po odległych prowincjach pamięci. Dwa wielkie ptaki okrążyły mroczną wieżę, na której szczycie siedział Anton L. trzymając się za duży palec u nogi. Anton L. wstał i poszedł do ubikacji. Okno ubikacji wychodziło na wschód. Poranne słońce obudziło Antona L. Spuścił wodę. Jeszcze leciała.

— Aha — pomyślał Anton L. — woda jeszcze jest, prądu już nie ma.

IV. CZY ATOMY SIĘ ZUŻYWAJĄ?

Zegarek Antona L. stanął. Zegar kuchenny Hommerów był na prąd, więc stał od dawna. Anton L. szukał po całym mieszkaniu, aż w sypialni znalazł zegarek pana Hommera. Leżał w łóżku, na lewym rękawie piżamy. Też nie chodził. (Zegar w kuchni pokazywał prawie wpół do drugiej, zegarek pana Hommera za pięć piątą, a zegarek Antona L. stanął o jedenastej dwadzieścia dwie). Nie było tak źle. Sądząc po słońcu musiało być późne popołudnie, problem tylko w tym, którego dnia? W okresach delirium wielokrotnie się zdarzało, że Anton L. przespał, czy mówiąc dokładniej, delirycznie przeskoczył jakiś dzień, a raz to nawet dwa dni. Ale wtedy byli jeszcze inni ludzie, między innymi tacy, którzy produkowali gazety. Po gazetach można się było zorientować i człowiek znowu wiedział, jaki to dzień. Wprawdzie jeden dzień się straciło, ale ileż to niepotrzebnych rzeczy robi się często w dnie, których się nie przesypia.

— Wczoraj — zastanawiał się Anton L. — to znaczy ostatniego dnia, jaki pamiętam, był wtorek. W takim razie dzisiaj jest środa albo czwartek, 27 albo 28, jeśli nie przespałem dwóch dni, albo trzech... nie. Na pewno nie więcej niż jeden. Tylko...

Anton L. miał nieprzyjemne uczucie, przykro ciężące, paraliżujące go uczucie, że już nigdy się nie dowie, jaki jest naprawdę dzień. Teraz zrozumiał, czemu Robinson prowadził na tej

swojej wyspie tak dokładny kalendarz. Ale Robinson miał dobrze, nie brakowało mu żadnego dnia. •

— Ktoś znający się na astronomii mógłby przypuszczalnie dojść, czy dziś jest 27 czy 28 — pomyślał Anton L.

Kiedyś — w okresie uprawiania jogi — interesował się wprawdzie astrologią, ale na poważnej astronomii kompletnie się nie znał. Podeszedł do drzwi — złudna nadzieja, gazety oczywiście nie było. Pod drzwiami dopadł go głód. Głód jak lew skoczył z trzewi Antona L. w jego psyche i jednym ciosem łapy rozbił w puch wszelkie inne myśli. Nawet zakładając, że dziś była dopiero środa, Anton L. od trzydziestu sześciu godzin nie miał nic w ustach.

Torba z bułkami nadal stała w kuchni. Anton L. pomacał jedną: chyba jednak jest czwartek. Ale bułki nadawały się jeszcze do zjedzenia. Rozkroił sześć z nich na połówki, posmarował bardzo już miękkim masłem i nakroił na nie salami. (Oczywiście innym nożem, nie tasakiem). Lodówka nie działała. Przeżuwając bułki Anton L. wpadł na świetny pomysł, żeby położyć masło do zlewu i puścić zimną wodę. Zjadłszy sześć bułek zagryzł je połową korniszonów ze słoika i popił octem. Miał wrażenie, że mu to świetnie zrobiło na żołądek. Potem zjadł może czterocen- tymetrowej długości kawałek salami bez pieczywa, potem jesz- sze dwucentymetrowy, też bez niczego.

— Jeśli zdarzyło się coś takiego... pomyślał Anton L. i wyszedł na werandę. Sonia uniosła głowę i spojrzała po stycznej tuż obok Antona L., tym razem po drugiej stronie jego głowy. Z sera nic już nie zostało. §9 ...że wskutek jakichś niewyjaśnionych dla mnie okoliczności zostałem na świecie sam jeden, to data zależy chyba ode mnie. W ogóle jest sprawą wątpliwą, czy upływ czasu następuje inaczej, jak tylko poprzez postrzeganie tego upływu. Ciała niebieskie są w ruchu, to prawda — niektóre powstają, inne rozpadają się. Ale z czego powstają? Na co się rozpadają? Na atomy. Atomy się nie zużywają. Kiedy człowiek nie zwraca na to uwagi» wszystko trwa w spoczynku, bez czasu. A człowiek — to ja.

— Wprawdzie go zjadł, a raczej zjadła, i nie widać, żeby jej to zaszkodziło, ale tak na dłuższą metę... — Anton L. przypomniał sobie niejasno, że pan Hommer karmił legwana bananami i sałatą. — Może go jednak zarznąć? Albo wypuścić? Nie przeżyje.

w tych szerokościach nie przeżyje. Skoro zjadła taki kawałek sera, jakiś czas pewnie wytrzyma. Zobaczę, czy uda mi się wystarać

0 banany.

— A może atomy się jednak zużywają? Osobliwe, że fizyka, w której wszystko jest dokładnie uporządkowane, tak blisko sąsiaduje z dziedziną tak mglistą jak filozofia, gdzie każdy myśli, co mu się chce. „

Anton L. dał legwanowi wody. Przyszło mu „to na myśl, kiedy zobaczył podstawkę do kwiatów, która służyła legwanowi za korytko.

— ■ Wiesz co? — powiedział Anton L. do Soni — Nie będziesz żyła jak pies.

Wziął ze ślubnego serwisu Hommerów porcelanową czarkę ze złożonym brzegiem i wzorem w kwiatki, napemnił ją wodą i wstawił do terrarium. Legwan docenił gustowny wzorek, a może po serze dręczyło go pragnienie. Rzucił się do picia z szybkością, jakiej nikt by się po nim nie spodziewał.

Duży pokój wyglądał jak pobojuwisko. Anton L. stwierdził też obrażenia u siebie: po jednym skaleczeniu na palcu lewej ręki

1 lewej nogi. Na obu ranach zrobiły się już strupy. Szklany blat stolika był rozbity. Ulubiony skórzany fotel pana Hommera leżał przewrócony i śmierdział koniakiem. Na dywanie widniały dwie koncentryczne plamy: duża, wydzielająca także zapach koniaku, i mniejsza, prawie czarna, pośrodku której poszczerbionym, ostrym końcem ku górze leżała szyjka od butelki.

— Aha — pomyślał Anton L. i kulejąc zrobił jeden krok. Brzuchata komoda rozpekła się jak korweta po trafieniu w burtę. Wśród pogruhotanych szczątków leżały kawałki fotela. Wokół stojącej lampy owinięte były spodnie Antona L. Po zielonej aksamitnej sukni pani Weckmeier, czarnej bluzce i koronkowym gorsieciu nie było śladu.

— Niewykluczone jednak — pomyślał Anton L. — że teraz śnię, a tamto wczoraj, względnie przedwczoraj, było naprawdę. Przyznaję, to mało prawdopodobne, żeby pani Weckmeier tu przyszła, tańczyła i... — tu westchnął — Ale jeszcze mniej prawdopodobne jest to, że wszyscy nagle zniknęli w jednej chwili, wszyscy oprócz mnie.

Anton L. podniósł skórzaną poduszkę. Przypomniał sobie ten

magazyn dla panów: — To była jednak ona — pomyślał. Teraz był tego pewien.

Rzucił poduszkę z powrotem na podłogę, odpiął spodnie z lampy. Wszystko inne zostawił tak, jak było.
V. W „MONTE CHRISTO”

Anton L. wyszedł na ulicę. Żar był jak w piecu. Sto metrów dalej ulica rozmywała się w powodzi drgających rozbłysków, wśród których rozróżnić można było tylko tory tramwajowe, ponieważ jeszcze silniej odbijały promienie słońca; ciągnęły się w dal niby rozżarzone do białości wstęgi, aż wreszcie i one gubiły się w palącym blasku letniego popołudnia.

Ulica, przy której mieszkał Anton L. była brzydka. Stare kamienice czynszowe sprzed początku wieku w kilku miejscach przedzielone były domami zbudowanymi po wojnie. One też były brzydkie, może nawet brzydsze od tych całkiem starych, ponie*waż pozorna funkcjonalność, z jaką je zaprojektowano, bardzo szybko ukazała swoje prawdziwe oblicze, mianowicie obskurność. A jednak te łuszczące się fasady, w których w letni dzień, tak piękny jak dzisiejszy, drzemało odbicie przyjemnego, gorącego powietrza, a chciałoby się wręcz powiedzieć i nieba, miały w sobie jakąś majestatyczną swojskość. Ktoś, kto tu mieszkał i nie miał zbyt wygórowanych wymagań, mógł w przysłowiowych domowych kapciach załatwić wszystko, czego trzeba do życia porządному mieszkańcowi przedmieścia, a nawet zażyć niewinnych rozrywek.

Anton L. znał tę swojskość. Na niego, stojącego z boku, nie urodzonego tutaj ani tu nie wzrastającego, oddziaływała ona -o wiele silniej, odbierał ją bardziej świadomie, a przez jej samozadowolenie niekiedy nawet jako coś nieprzyjemnego. Ta właśnie swojskość spłynęła na Antona L., oblepiła go w jednej sekundzie, gdy tylko wyszedł z bramy; osaczyła go jak żar tego letniego dnia. W tym samym momencie Anton L. uświadomił sobie, że jest to tylko wspomnienie majestatycznej swojskości, że za, czy nad tą ulicą czai się zagadkowa katastrofa, jakieś tajemnicze nieszczęście.

' — Ten spokój — pomyślał Anton L. — to zwyczajny spokój niedzielnego popołudnia. Czemu nie może to być niedzielne popołudnie?

Serce ścisnęło mu coś jak tęsknota.

— Dlaczego musiało się to zdarzyć właśnie mnie?

Gnany uporczywym poczuciem obowiązku, którego najmniej by się po sobie spodziewał, Anton L. właściwie miał zamiar ponownie udać się do urzędu. Teraz jednak przyszło mu do głowy, że może jeszcze nie wszystko stracone, że to, co nie mogło się zdarzyć, może naprawdę się nie zdarzyć, przy czym wymyślił jeszcze jedno wyjaśnienie, którego się nawet przestraszył, a mianowicie, że tylko ta dzielnica jest wyludniona, a w pozostałych częściach miasta dni płynęły jak dawniej. Może tu groziło jakieś niebezpieczeństwo, od paru dni zagrażała jakaś eksplozja, trzęsienie ziemi, może wykryto ulatnianie się trujących gazów albo jakieś pęknięcie podłoża i ewakuowano wszystkich mieszkańców dzielnicy czy nawet wszystkich dzielnic po tej stronie rzeki i tylko o nim zapomniano. Po panu Hommerze można się było spodziewać, że pomyśli tylko o sobie i co najwyżej o swojej córce, zostawiając sublokatora własnemu losowi. Żonę też by pewnie zostawił na łasce losu, gdyby miał taką możliwość, ale ona pewnie zawinęła się razem z nim.

Tak więc Anton L. szybko zawrócił w przeciwną stronę. Dom nr 2 był ostatnim domem przed mostem. Po drugiej stronie mostu zaczynały się ulice należące do obrzeży śródmieścia.

Ledwie Anton L. przekroczył most, natychmiast pojął bezsensowność czy też bezzasadność swoich przypuszczeń (czy obaw). Tak po jednej* jak i po drugiej stronie nie było żywej duszy. Do tego wszystkie przecznice odchodzące od ulicy, przy której mieszkał Anton L., były pełne zaparkowanych samochodów. (Na jego ulicy był zakaz parkowania, który policja skrupulatnie egzekwowała). W tej dzielnicy, w której więcej ludzi mieszkało niż pracowało, boczne uliczki zawsze były wieczorami pełne zaparkowanych samochodów. Nawet gdyby w przypadku zarządzanej przez policję ewakuacji ludzie mieli porzucić cały dobytek — na pewno nie zostawiliby samochodów. Teoria Antona L. o pojawieniu się pęknięcia w ziemi czy niespodziewanym odkryciu składu amunicji z czasów ostatniej wojny była błędna, to można

było poznać na pierwszy rzut oka, nawet bez widowiska, którego świadkiem stał się Anton L. po drugiej stronie mostu.

Kiedy był oddalony o kilka kroków od restauracji przy moście, z ogródka wypadła sfora psów. Było tam cztery, pięć większych psów i kilka małych. Psy, które w ogródku siedziały zupełnie cicho, po wypadnięciu na ulicę zaczęły wściekle ujadać. Anton L. szarpnął się w tył, ale psy nie zwracały na niego uwagi, tylko nerwowo szczeptały w kierunku drzew rosnących przy moście na stoku schodzącym do rzeki. Anton L. ostrożnie cofnął się jeszcze parę kroków na most. W tym momencie spomiędzy drzew wychynęła druga grupa psów. Jeden z psów pierwszej grupy — wcale nie ten największy — wyrwał się do przodu, rzucił się w stronę przeciwników, wyhamował mniej więcej pośrodku między obu grupami, szczeptał kilkakrotnie ze szczególną zajadłością, po czym wrócił do swoich, ustawiając się całkiem z tyłu. Najwidoczniej jego odwaga wyczerpała się na tym śmiałym wypadzie. W momencie kiedy rzucił się do przodu, jego grupa postąpiła dokładnie o jeden krok w tym samym co i on kierunku. Psy z naprzeciwka natychmiast zaczęły wściekle ujadać.

Z drzew poderwały się ptaki. Jakiś szpic w oknie na drugim piętrze stojącego nieco z boku domu, podniecony skrzeczał ochryple z parapetu. Trudno było poznać, czyją trzyma stronę.

W kilka sekund po samotnym wypadzie psa z ~ patrząc od strony Antona L. — prawej grupy, lewa grupa w zwartym szyku wykonała dwa skoki do przodu i jeden do tyłu. W prawej grupie zapanował chaos, jakiś pies chciał się już rzucić do ucieczki, ale szeregi jeszcze tym razem się utrzymały. Psy nadal wysoko dzierżyły sztandar hałasu, może nawet wyżej niż dotąd. Żaden z nich nie odważył się jednak powtórzyć śmiałego wypadu, fronty były zbyt blisko siebie. Zaczęła się -wojna pozycyjna.

Rozpoczęła ją grupa z lewej, kiedy większe psy obnażywszy zęby położyły łby na ziemi wyprężając za to w górę zady. Te z prawej natychmiast poszły w ich ślady, ale efekt był już oczywiście nie ten sam. Ujadanie przeszło w powarkiwanie i zgrzytanie zębami, z którego tu i ówdzie jak płomień wystrzelały por jedynce szczeptańca. Tylko wychodzący ze skóry szpic w oknie na drugim piętrze skrzeczał ochryple z dawną zajadłością. Nagle psy z lewej, z warkotem wyższym o pół tonu, ze zdumie wającą szybkością podsunęły się w prawo prawie pod same pyski przeciwników. Nie spuszczać ich z oka natychmiast odsunęły się z powrotem. Ale już nie tak całkiem na poprzednią linię.

Po widocznym wahaniu, psy z prawej powtórzyły ten sam manewr, powróciły jednak dokładnie na swoje pozycje nie zyskując pola. Działo się tak przy wtórze bezustannego warkotu jeszcze kilka razy, zupełnie jakby przesuwały między sobą jakąś niewidzialną piłkę. Psy z lewej grupy zaczynały właśnie — z mordami przy ziemi — nerwowo przebierać tylnymi łapami, kiedy jakiś szary pudel z prawej nie wytrzymał i rzucił się do ucieczki. Sprężenie się zjezonych karków po lewej, salwa szczeptańca z prawej — ale już prawy front zaczyna się chwiać, drugi, trzeci pies rzuca się do ucieczki, zaczynają uciekać wszystkie. Jak spuszczone ze smyczy wystrzeliły za nimi psy z lewej i rzuciły się, mordując, na bezładną gromadę uciekających. Jeden dog i dwa boksery masakrowały co bardziej powolne jamniki. Szary pudel wyleciał w powietrze, został pochwycony i rozszarpany. Szybsze psy pokonanej grupy biegły wzdłuż rzeki, zwycięzcy gnali za nimi. Brązowy spaniel, który przedtem z całą pewnością należał do prawej grupy, nie okazując podejrzanie przesadnej gorliwości przyłączył się do prześladowców. Ujadanie cichło w oddali. Szpic, który straciwszy z pola widzenia przebieg wydarzeń usiłował wyrzeć z za rogu, wyszedł za daleko na gzyms i spadł w dół, roztrzaskując się o chodnik. Nad pobojuwiskiem krążyły już wrony.

Kiedy szczeptańca oddaliło się wystarczająco, Anton L. ostrożnie ruszył naprzód. Jakkolwiek widok rozszalałych, prawdopodobnie na wpół zagłodzonych psów, które z powrotem przemieniły się w to, czym niegdyś były, w dzikie bestie, był zaiste przerażający, Anton L. mógł się tylko cieszyć z tego okrutnego spektaklu, ponieważ było to ostrzeżenie. Wkrótce miał sobie o nim przypomnieć.

Pod słupem ogłoszeniowym na ulicy, prowadzącej od mostu do centrum miasta, stał rozbity samochód. Widocznie przy pełnej szybkości najechał na niego. W samochodzie nie było nikogo. Na fotelu kierowcy leżał smok, a na siedzeniu obok zwitek cienkiej jak pajęczyna tkaniny o barwie szmaragdowej. — Jeśli to była suknia — pomyślał Anton L. — to żałuję, że nigdy nie spotkałem tej damy.

Na podłodze samochodu stały buty, po lewej męskie, po prawej damskie (również szmaragdowe).

Zanim Anton L. całkowicie otworzył uchylone w wyniku wstrząsu drzwi auta, musiał najpierw przezwyciężyć barierę oneśmielenia. Miał takie uczucie, jakby te ubrania były zwłokami.

— Bzdura — pomyślał. Nie było ich przecież czuć, tyle że zwój szmaragdowej materii pachniał delikatną perfumą.

— Diorissima — pomyślał Anton L. Miał bardzo wyczulony węch, a Dagmara przez jakiś czas używała takich właśnie perfum.

Wyciągnął smoking. W środku była koszula, w niej bielizna.

Dokładnie tak, jak miał to na sobie — pomyślał. Włożył smoking z powrotem. Z kieszeni kamizelki wypadł jakiś zwitek: dwa banknoty stumarkowe. Anton L. wsunął je tam, skąd wypadły. Podniósł szmaragdową pajęczynę. Wypadły z niej dwa kawałki jeszcze delikatniejszej materii: para mieniących się złociście rajstop i niezwykle cienkie dessous z ornamentami w kwiaty.

— Szkoda — jeszcze raz pomyślał Anton L. — że nigdy nie spotkałem tej damy.

Na siedzeniu leżał gruby złoty naszyjnik... Anton L. wsunął dłoń w tkaninę sukni. Materia skrzyła się. Wyraźnie widać było przez nią barwę skóry na dłoni.

— No, jak sobie tak wyobrażę... — Anton L. rozpostarł tkaninę. Przez moment woń perfum była bardziej intensywna. — Dagmarze by nie pasowała. Nie była najszczęśliwsza. Czy Dagmara też... czy ona też by tu była, gdybyśmy się pobrali?

Anton L. trzymał skrzącą się, przezrystą tkaninę w dłoniach i prawie zdecydował się wsadzić ją do kieszeni, w końcu jednak wrzucił ją * powrotem do rozbitego samochodu. Suknia zwinęła się na siedzeniu jak wężowa skórka.

— Wężu! — przemknęło Antonowi jj przez głowę. Do wężu czuł takie obrzydzenie, że nie mógł nawet patrzeć na ich zdjęcie w encyklopedii. — Miejmy nadzieję, że wężę się nie pojawią.

Żałował, że nie wziął z domu tasaka, chociaż kiedy sobie wyobraził, że musiałby rozsiekać węża z tak bliska, zrobiło mu się prawie niedobrze.

Ale to nie węża miał spotkać.

Idąc w stronę miasta niewiele widział samochodów, które nie byłyby porządnie zaparkowane na skraju ulicy. Jakiś wóz stał na jezdni na środku Medeastrasse. Nieco dalej, prawie przy samej wystawie sklepu wikliniarskiego, stał policyjny radiowóz. Reflektory obu pojazdów pały się jeszcze słabo. Kiedyś Anton L. — pod drobnomieszczańskim, jak później mówił, wpływem Dagmary — brał lekcje jazdy samochodem. Wprawdzie nigdy nie uzyskał prawa jazdy (jak można było właściwie oczekiwać, narzeczeństwo z Dagmarą rozpadło się, ale nie z powodu prawa jazdy), ale mniej więcej pamiętał główne zasady prowadzenia pojazdów. Obszedł pierwszy samochód dookoła i zajął do środka. Na przednim siedzeniu wisiał szary garnitur.

— Tamci dwoje byli w teatrze, a potem pewnie w jakimś barze r— pomyślał — ale czego ten facet szukał tu w środku nocy w szarym garniturze?

Z pewnym trudem udało mu się po kilku próbach otworzyć bagażnik, w środku był zapasowy kanister, łopata, pęk rzemieni i rakieta tenisowa. Anton L. zatrzaskał bagażnik z powrotem. Następnie, teraz już zupełnie obojętnie i ze zwykłą pogardą dla niemal wszystkich, głównie zaś nie znanych mu bliżej ludzi, Anton L. wyrzucił na ulicę szary garnitur wraz z całą bielizną, jaka w nim była. Potem usiadł na miejscu kierowcy. Kluczyki były w stacyjce. Anton L. spróbował zapalić. Silnik obrócił się tylko raz leniwie i na tym koniec.

Kierowca zdematerializował się podczas jazdy, a więc puścił gaz, samochód toczył się jeszcze siłą bezwładu, a silnik zgasł, ponieważ bieg był nadal wrzucony. Zapłon pozostał włączony, światła również, bo przecież była noc. A zatem akumulator jest na wyczerpaniu. Tamten samochód z kierowcą w smokingu i pasażerką w wężowej skórcie musiał jechać z niedozwoloną szybkością i miał jeszcze wystarczający impet, by uderzyć w słup. Radiowóz pewnie też gnał jak szalony, ale prawdopodobnie na wprost. Dlatego zdążył się jeszcze zatrzymać tuż przed szybą wystawy. Anton L. podszedł do radiowozu. Czuł potrzebę dokończenia dzieła. Wyjął z radiowozu żelazny łom — do czego im łom? — i cisnął nim w witrynę sklepu z wikliną. Ułożone na wystawie towary rozsypały się ha wszystkie strony, zawałiła

się ułożona zapewne z dużym mozołem piramida ozdobnych świec.

Radiowóz również nie chciał zapalić. Przyczyna pewnie ta sama: wyczerpany akumulator. Ale przy mundurach leżały dwa pistolety. Anton L. pomyślał o węzach i o psach i zabrał oba. Wziął też latarkę. Obok sklepu z wikliną była na wpół otwarta brama. Anton zajrzał do środka; mroczna sień z łuszczącą się olejną farbą na ścianach prowadziła do wyłożonej kafelkami klatki schodowej i dalej na tylne podwórko. Anton L. wyszedł z powrotem na ulicę. Już niedługo, mimo pistoletów, to podwórko miało się stać dla niego ratunkiem. /

Dwie przecznice dalej stał narożny dom, którego cały parter od frontu pomalowany był na kolor jaskrawoczerwony. Nad wejściem widniał napis „Hrabia Monte Christo”. Drzwi były otwarte. W ozdobionej błyskotkami gablocie wisiały zdjęcia częściowo nagich, a częściowo prawie nagich tancerek.

— Jeśli katastrofa zastała je w trakcie występów — pomyślał Anton L. — to nic po nich nie zostało, co najwyżej tych parę piór, które miały na głowie, albo złoty ząb.

Anton L. wszedł do środka. W nozdrza uderzył go osobliwy zapach. Wyłożone czerwonym aksamitem schody prowadziły w dół. Na schodach półmrok. Na dole wejście do lokalu zamykała ciężka aksamitna kotara.

Lokal nie był Antonowi L. nie znany. Tu właśnie zakończył się jubileusz biura podróży KUHLMANN.

— Do czego to zdolny jest człowiek, żeby tylko wywinąć się od płacenia — przypomniał sobie Anton L. Od pierwszej chwili było widać, że pan Kiihlmann, szef przedsiębiorstwa, to kutwa, wystarczyło spojrzeć. Anton L., mimo iż w gruncie rzeczy interesowały go wyłącznie własne cierpienia i problemy, miał oko wyczulone na wady innych (obserwował je tylko, nigdy nie ganił), co stanowiło osobliwą, nie rzucającą się w oczy składową jego pogardy dla ludzi. Zaraz pierwszego dnia rozpoznał w Kiihlmannie sknerę, mimo iż ten dokładał starań i to, co trzeba mu przyznać, skutecznie, by uchodzić za „człowieka z gestem”. Pan Kiihlmann był wysokiego wzrostu, miał siwe włosy, nadzwyczaj dużą twarz i osobliwie niewielki nos. Pochodził z Berlina i ogromnie lubił mówić, mimo iż nie najlepiej to robił. Zasoń

myśli miał ograniczony, toteż jego upodobanie do mówienia z konieczności znajdowało ujście w kilku zaledwie tematach, co z kolei sprawiało, że bardzo często się powtarzał. Duża część jego oracji składała się ze zwrotów w rodzaju „nieprawdaż”, „że tak powiem”, „co to ja chciałem powiedzieć” i temu podobnych. O ile już w mówieniu nie był najlepszy, do słuchania był wręcz niezdolny. Pan Kiihlmann dokładał starań, by wzbudzić i podtrzymać w swoim otoczeniu trojaki wrazenie, dotyczące własnej osoby, a mianowicie chciał uchodzić za człowieka poważnego

i porządnego oraz imponować innym. Człowiek poważny — no cóż, jest to pojęcie równie bogate w odcienie, co jego przeciwieństwo. Pan Kiihlmann był chyba poważny w potocznym rozumieniu tego słowa już choćby dlatego, że był zbyt skąpy, aby pozwolić sobie na bycie niepoważnym. Porządny pan Kiihlmannowi powiodło się w interesach, biuro podróży prosperowało wybornie, on sam żył w dobrobycie, ale jeśli tak przyjrzeć się bliżej, trudno było nie dostrzec, że jest jednak ciamajdą. Oczywiście pan Kiihlmann potrafił „porządnie” gadać i „porządnie” gadać o porządności, a przyjęło się uważać, że ten, kto porządnie gada, sam jest porządny. Co się tyczy imponowania innym, to Anton L. miał raz z panem Kiihlmannem zdumiewającą przygodę. Pan Kiihlmann wiozł go kiedyś swoim samochodem w sprawach służbowych. W pewnym momencie skręcił w lewo w miejscu, w którym skręcać w lewo nie wolno. Tak się złożyło, że zobaczył to policjant. Zagwizdał i pokazał panu Kiihlmannowi, żeby zjechał na bok. Policjant był małym, pękatym człowieczkiem z nader zabawną żółtawą bródką. Pan Kiihlmann natychmiast wysiadł z samochodu, przyjął imponującą postawę i zarzucił policjanta mnóstwem zdań w rodzaju: „każdemu może się zdarzyć”, „niechże pan nie będzie...”, „wie pan, z kim pan rozmawia?”

— Wiem — odrzekł policjant [j z Prusakiem, który skręcił w lewo tam, gdzie nie wolno.

Anton L., który w tym czasie nie miał jeszcze okazji przejrzeć całej struktury osobowości pana Kiihlmanna, sądził, że teraz pan Kiihlmann rozedrze małego policjanta na sztuki. Zaszło jednak coś zupełnie innego. Pan Kiihlmann zrejterował; wykrzywił twarz w uśmiechu — miał wielkie usta i brakowało mu paru zębów — i zajął się intensywnie samochodem. Otwierał i zamy

kał bagażnik oraz maskę, podłubał coś śrubokrętem w silniku, grzebał w skrzynce z narzędziami, a kiedy policjant zaczął wy- pisywać mandat, oświadczył, że ma coś do załatwienia w domu obok (co z pewnością nie było prawdą) i zniknął w bramie. Anton L. przyjął mandat, położył go panu Kuhlmannowi na kierownicy i powiedział do policjanta, że nie wydaje mu się, aby pan Kuhlmann zapłacił, prędzej umrze.

Po chwili pan Kuhlmann wyrzwał czujnie z bramy. Upewniwszy się, że policjant sobie poszedł, zasiadł z powrotem za kierownicą. Jego powaga oraz zdolność imponowania były nieco nadwerężone. Pan Kuhlmann uśmiechał się krzywo. Oto podwładny był świadkiem żenującego incydentu. W obecnym stuleciu pan Kuhlmann nie miał takich możliwości jak niegdyś Gessler *, przynajmniej nie w tym kraju. Nie pozostało mu nic innego, jak — mówiąc językiem psychoanalizy — wyprzeć całą tę sprawę ze świadomości. Dobrze pół godziny przetykał upokorzenie. Potem jego powaga wróciła do pełnej formy. Przestał się krzywo uśmiechać.

Od tej chwili Anton L. żywił podejrzenie, iż pan Kuhlmann nie tylko był zbyt skąpy, aby wypełnić tak widoczne w krzywym uśmiechu luki w uzębieniu, ale również zbyt na to tchórzliwy.

Mandatu, bardzo łagodnego zresztą, ledwie parę marek, pan Kuhlmann nie zapłacił. Wniósł niezliczoną ilość obszernych zażaleń, wskazał na wszelkie możliwe przyczyny usprawiedliwiające jego wykroczenie, na koniec powołał się na swój zły stan zdrowia (przy czym zdrów był jak rzadko, brakowało mu tylko tych paru zębów) oraz opłakaną sytuację finansową. Anton L. nie dowiedział się już, czy pan Kuhlmann postawił w końcu na swoim, ponieważ złożył wymówienie i przeniósł się do biura podróży SANTIANSER.

Później Anton L. spotkał kiedyś pana Kiihlmana w mieście. W pracy pan Kuhlmann nosił zawsze bardzo poważne i imponujące garnitury. Było jednak ogólnie wiadomo, że pan Kiihlmann nie potrafi się zdobyć na to, żeby cokolwiek, nawet najbardziej zużytego, wyrzucić. Kiedy Anton L. spotkał pana Kiihlmana, ten wyszedł widocznie w sprawach niezawodowych, ponieważ miał na sobie całkowicie wytarty płaszcz nieprzemakalny oraz kapelusz, który mógłby być symbolem skąpstwa w dowolnej komedii. Anton L. pozdrowił pana Kiihlmana. Ten nie odwzajemnił powitania.

Całe biuro, było zdumione, kiedy pan Kuhlmann wydał przyjęcie z okazji jubileuszu firmy. Przez wiele dni zajmował się tropieniem tanich gatunków szampana, ponieważ otwarte, by tak rzec, skąpstwo i wydzielanie trunków byłoby zaprzeczeniem poważnej i imponującej wspaniałomyślności, której dowody zamierzał tego dnia złożyć pan Kuhlmann. Szampan miał się łać strumieniami, ale musiał to być ten najtańszy. Z kolei jednak nie mógł to być któryś z powszechnie znanych tanich gatunków szampana — pan Kuhlmann miał twarde orzech do zgryzienia, ponieważ w swoim skąpstwie nie był tak poniekąd odświeżająco szczery jak stary bankier von Speckh (późniejszy szef Antona L.), który potrafił jechać czterdzieści kilometrów do fryzjera tylko dlatego, że tam było o dziesięć fenigów taniej.

W przyjęciu uczestniczyła także pani Kuhlmann. Biedna ta kobieta rzadko kiedy się gdzieś pojawiała. Widać było po niej, że kiedyś była żywa i zadbana, ale jest całkiem stłamszona przez męża, który wszystko wie lepiej. Ona nigdy nie przestała uważać pana Kiihlmana za postać imponującą. Obecnie była już prawie ślepa i na wpół głucha, a to prawdopodobnie od ciągłego wpatrywania się w promieniejącego małżonka oraz od nieustających potoków jego wymowy. Po niedługim czasie panią Kuhlmann odstawiono do domu. Wówczas najstarszy z pracowników biura podróży, prokurent Klipp, który wstawił się już nieco wskutek czerpania ze strumieni szampana, zaproponował, żeby może tak naprawdę raz a dobrze poszaleć, i poinformował obecnych, że całkiem niedaleko znajduje się grzeszny lokal o nazwie „Monte Christo”.

Panu Kuhlmannowi niezręcznie było się wylamać, ale od tej chwili toczyła się w nim ciężka walka. Dla Antona L., który wówczas prawie wcale nie pił, było jasne, że jeśli przyjdzie co do czego, to hamowane skąpstwo pana Kiihlmana z pewnością weźmie górę. Nikt jednak nie przypuszczał, że stary kutwa sięgnie aż do takich środków.

Nie był to koniec tygodnia i „Monte Christo” świecił pustkami. Kelner wskazał nowo przybyłym (sześciu panów, dwie panie) stół we wnętrzu. Prokurent Klipp z miejsca zamówił trzy butelki szampana — panu Kiihlmannowi zrobiło się od razu nieswojo — a kiedy je podano, natychmiast wznosił toast na cześć „hojnego fundatora”. Pan Kiihlmann ostatnim wysiłkiem zmusił się do kwaśnego uśmiechu.

Występy pań artystek były raczej średnie. Widząc niewielu gości jedna po drugiej beznamiętnie zdejmowały stroje, zdobywając się co najwyżej na smętne wywijanie biustonoszem. Najwidoczniej była to obsada rezerwowa. Prokurent Klipp twierdził nawet, że w jednej z rozebranych pań poznaje szatniarkę.

— W każdym razie widać, że mają kilkunastoletnie doświadczenie w striptizie — powiedział.

Kiedy prokurent Klipp zamówił dla wszystkich whisky z wodą sodową, nie pozostawiając przy tym najmniejszych wątpliwości, że i to idzie na rachunek „hojnego fundatora”, panu Kiihlmannowi o mały włos nie wypadł jeden z nielicznych zębów trzonowych. Powiało od niego lodowatym chłodem, czego jednak nikt w towarzystwie oprócz Antona L. nie zauważył, ponieważ wszyscy byli już pijani.

Klipp opowiadał dowcipy. Wszyscy się śmiali, tylko pan Kiihlmann milczał jak zakłęty. To, że od momentu, kiedy tu weszli, nie odezwał się prawie słowem, powinno być dla nich ostrzeżeniem. Następnie Klipp oświadczył, że musi dołączyć do roznegliżowanych pań. (Właśnie prezentowały numer zatytułowany „Kulig w Petersburgu”). Ogólny wybuch wesołości. Klipp udał, że mówi poważnie. Powstrzymano go ze śmiechem. Wówczas podniósł się pan Kiihlmann, żółtozielony na twarzy, odrzucił wszelką powagę, wspiął się na podium striptizerek i zaczął z nimi skakać w rytm „Kuligu w Petersburgu”. Panie podniosły wrzask i uciekły. Zespół muzyczny nie zorientował się od razu i grał dalej. Dwóch kelnerów ściągnęło pana Kiihlmanna z podium. Pan Kiihlmann zaczął zdejmować spodnie. Wtedy wyrzucono go z lokalu.

Horrendalny rachunek został podzielony między pozostałych. Nawet prokurent Klipp momentalnie wytrzeźwiał zobaczywszy tę astronomiczną sumę. Kilkoro z obecnych, wśród nich Anton L. nie miało przy sobie pieniędzy na zapłacenie swojej części. Musieli odpracować dług w kuchni „Monte Christo”.

— Stary sknera — powiedział prokurent Klipp — Ale jakoś to sobie na nim odbijemy w robocie.

Ostatnimi gośćmi (gośćmi?) opuszczającymi lokal były niedobitki personelu biura podróży Kt)HLMANN. Panie o wieloletnim doświadczeniu w striptizie, odziane teraz w smutne prochowce, zatrzymywały taksówkę. Nikt, kto by je teraz zobaczył, nie chciałby widzieć ich w neglizżu. Anton L. obawiał się, że portier, który również zamienił swoją kapiącą od złota liberię na zwykłe paletko, pożegna ich z szyderczą uprzejmością. Portier w ogóle ich nie pożegnał. Uniósł tylko ciężką czerwoną kotarę, bynajmniej nie z uprzejmości, ale z obawy o kosztowny atlas.

Przed atlasową kotarą leżała kapiąca od złota liberia. Anton L. zapalił latarkę i oświetlił kupkę odzieży. Czy to był jeszcze ten sam portier? Czapka potoczyła się w kąt. Prawdopodobnie od dawna był już inny. W tej branży zmiany są częste.

Anton L. odchylił zasłonę i zaświecił w głąb lokalu. Ze środka buchnął odór gnijącego mięsa. Jakiś cień uniósł się w górę. Anton L. oświetlił paszczę pełną straszliwych zębów, jak mu się wydało, wysoko nad swoją głową. Jak mógł najszybciej pognał schodami na górę. Niedźwiedź zaryczał przerażająco. Na szczęście bestia zaplątała się w atlasową kotarę. Anton L. zdążył wbiec na górę. Chciał zatrzaskać drzwi, ale były zablokowane, a on nie mógł się zorientować jak. Anton L. rzucił się przed siebie. Rozgniewany niedźwiedź potrafi być szybki. Latarka go przestraszyła. Wygramolił się na ulicę i wyprostował na całą wysokość. Był większy od drzwi lokalu. Anton L. gnał, co sił w nogach. Niedźwiedź opadł z powrotem na cztery łapy i puścił się w pogoń za Antonem L. Pozornie ociężęły kłus niedźwiedzia był zdradliwy. Zwierzę zbliżało się coraz bardziej. Kawalek żelaznego łańcucha, zwisający z jednej z tylnych łap, ciągnął się po chodniku. Niedźwiedź był już bardzo blisko, kiedy Anton L. dopadł wreszcie na wpół uchylonej bramy. Wbiegł i zatrzaskał ją za sobą. Niedźwiedź walnął w bramę cielskiem, że aż w sieni zadudniło. Anton L. pobiegł na tylne podwórko, zamknął drugą bramę i ucie

kał dalej. Podwórko przegradzał mur. Pod nim stały pojemniki na śmieci. Anton "L. wskoczył na pojemniki i przerzucił ciało przez mur. Po drugiej stronie był ogród, za ogrodem tylne fasady następnego szeregu domów. Niedźwiedzia nie było już słychać. Anton L. nadal biegł. Zbił szybę w jednym z mieszkań na parterze i przez okno wskoczył do środka. Przeszedł przez mieszkanie i wyrztał przez okno od ulicy. Była to Wassertrager-Stras- se. Jeśli niedźwiedź nie pobiegł dalej, dzieli go od niego teraz dwa zakręty ulic. Anton L. wyjął oba pistolety. Usiadł w rzeźbionym fotelu i próbował trochę odetchnąć.

Na dębowym kredensie pod szklanym kloszem stał zegar. Zegar nie chodził. Nad kredensem wisiał obraz, przedstawiający ryczącego jelenia na tle zimowego krajobrazu. Na małym stoliku leżał stos czasopism z krzyżówkami. Na taborecie stał fikus. Anton L. podniósł się z fotela. Biegł tak szybko, że nie mógł teraz usiedzieć na miejscu. Poszedł do kuchni, nabrał wody i podlał fikusa.

— Dzięki temu uschnie jeden dzień później — pomyślał.

Potem próbował strzelać z pistoletów. Nie wiedział, że najpierw trzeba je zarepetować, toteż nie udało mu się oddać strzału. (Celował w zegar pod kloszem). Schował pistolety z powrotem; postanowił wypróbować je w spokoju w domu. Ponowne spojrzenie przez okno upewniło go, że niedźwiedź nadal nie pojawił się w okolicy.

W zamku przy drzwiach mieszkania tkwił klucz, przy którym wisiał cały pęk innych kluczy. Anton L. otworzył drzwi i zabrał klucze ze sobą. Na mosiężnej tabliczce przymocowanej do drzwi widniało nazwisko „Saalegger”. Sądząc z mieszkania, państwo Saaleggerowie musieli być ludźmi starymi. Na pewno nie jeździli na rowerach, ale może inni lokatorzy tak. Drzwi do piwnicy były zamknięte, ale jeden z kluczy pasował do zamka. W piwnicy był schowek, a w nim trzy rowery. Jeden z nich, nowoczesna pomarańczowa damka na małych kółkach, nie był zamknięty na kłódkę. Anton L. wyniósł rower na górę, jeszcze raz wyrztał ostrożnie na ulicę i szybko pojechał do domu. Jechał nadkładając drogi, żeby być jak najdalej od niedźwiedziej jaskini.

VI. WIECZÓR I NOC

Kiedy wielki strach już minął, dał o sobie znać strach subtel- niejszy: na moście, poza zasięgiem niedźwiedzia, kiedy Anton L. miał już przed oczami wizję bezpiecznego schronienia w domu Hommerów, zaczęła go dręczyć myśl o zbliżającej się nocy.

Dawała się odegnąć z łatwością, ponieważ było dopiero późne popołudnie, a dni należały w tym okresie do najdłuższych w roku. Ale słońce chyliło się z wolna ku zachodowi i w końcu coraz częściej zaczynał sobie uświadamiać, że noc jednak nieuchronnie nadejdzie i będzie wtedy zupełnie sam.

Wszystkie czynności, jakimi zajmował się Anton L. późnym popołudniem i wczesnym wieczorem, pomagały mu jakoś o tym zapomnieć — ale im bliżej wieczora, tym węższo stawała się pajęczyna zajęć i począł przez nią przeziierać strach. Jeśli zaczyna się myśleć: nie wolno mi o tym myśleć, to sprawa jest przegrana.

Anton L. nie oddalał się już zbyt od domu. (Przypomnił sobie, że czytał w gazecie coś na temat niewielkiego cyrku, dającego występy gdzieś pod miastem. Niedźwiedź, ciągnący za sobą resztki łańcucha, był na pewno, stamtąd. Cyrk nazywał się „La- forte”). Na początek Anton L. jeszcze raz wypróbował na werandzie swoje pistolety. (Czuł się do tego stopnia sam, że zaczynał myśleć w ten sposób). Z dużą przyjemnością pozftucał z werandy Hommerów sporą ilość zakurzonych, pogiętych, poobijanych i przeżartych rdzą emaliowanych wiader, cynkowych szaflików i kamionkowych garnków. Odbijający się szerokim echem łomot — rupiecie spadały z trzeciego piętra — dawał wyobrażenie o tym, jak wielka panowała wokół cisza. Z rzadka tylko dochodziło z jakiegoś podwórka szczekanie psa. Prawdopodobnie psy, którym nie udało się wydostać, zdążyły już pozdychać. Kiedy z głuchym, tęnym hukiem rozbiły się kamionkowe garnki, dwa podwórka dalej wzbilo się w powietrze kilka kruków. (Za to Sonia przez cały czas ani drgnęła.)

Anton L. odkrył pod stertą gratów dość wygodną ławę. Była to kombinacja ławy i skrzyni. Anton L. podniósł wieko (będące zarazem siedzeniem). Skrzynię wypełniało coś, co przypominało starą ubrania. W powietrze uniosła się chmara moli. Anton L. chwycił garść ubrań i wyrzucił przez okno. Ciekawa sprawa: spa

dając, stare łachmany ciągnęły za sobą ogon kurzu jak kometa. Tłumok walnął o ziemię detonując w obłoku pyłu. Spodobało się to Antonowi L. (nie myślał wtedy o nadchodzącej nocy). Cisnął następny kłęb ubrań. Znów potężna detonacja*kurzu. Anton L. cisnął trzeci kłęb...

Przypomniał sobie, jak" to przeprowadzał się kiedyś ten stary sknera, pan Kiihlmann. Było to w czasie, kiedy Anton L. u niego pracował. (Przenosiny dotyczyły prywatnego mieszkania Kiihlmanna, a nie biura). Oczywiście pan Kiihlmann był zbyt wielkim dusigroszem, żeby zlecić to jakiejś firmie przewozowej. Po prostu wynajął ciężarówkę — a może nawet udało mu się ją wypożyczyć za darmo — i na zmianę odkomenderowywał pracowników swojego biura (biuro musiało być oczywiście czynne przez cały czas) do przewożenia mebli. Na każdego wypadały dwa dni, Antonowi L. dostał się pierwszy i ostatni. Pan Kiihlmann miał potworną ilość rzeczy, w porównaniu z tym zawartość werandy Hommerów to była betka. Przeprowadzka ciągnęła się ponad dwa tygodnie. Pan Klipp, prokurent, który wściekał się na te pozaob- wiązkowe zajęcia (ale nie odważył się powiedzieć tego głośno) przyznał się później potajemnie, że umyślnie upuścił krzesło na jakiś obraz. Obraz przedstawiał dosyć poważnego wieśniaka, rzucającego ziarno w brunatny zagon. Pan Kiihlmann podobno omal się nie rozplakał widząc rozdarcie w poprzek wieśniaka, ale prokurent Klipp tak sprytnie to załatwił, że Kiihlmann nie był pewien, czy to nie on sam był sprawcą tego nieszczęścia. Jak opowiadał Klipp, pan Kiihlmann skleił potem obraz od spodu leuko- plastem. W czasie dwutygodniowej przeprowadzki zdarzyło się raz oberwanie chmury. Zarówno w starym jak i w nowym mieszkaniu Kiihlmanna pod gołym niebem stała niezliczona ilość kanap, toaletek, stojaków na parasole, szafek kuchennych i nocnych oraz przeróżnych mebli nieznanego przeznaczenia. Że strachu o te graty oraz z zapалу organizatorskiego i mądrzenia się, pan Kiihlmann mało nie umarł. Podobno malowany na kolor bladezielony dogotowywacz, prawie antyk, oraz górna szuflada komody, której marmurowy blat został jeszcze pod starym mieszkaniem, były po brzegi pełne deszczówki. Obydwa meble tak podobno napęczniały, że, jak relacjonował prokurent Klipp, nawet pan Kiihlmann zaczął się zastanawiać, czy ich nie wyrzucić.

W końcu jednak i tak je zatrzymał. Zdaniem pana Klippa Kiihlmann per saldo jeszcze na tej przeprowadzce skorzystał, ponieważ lokatorzy domu, z którego się wyprowadzał, nocą potajemnie dokładali do przygotowanych przez niego do transportu gratów swoje stare rupiecie. Kiihlmann zabrał wszystko jak leci. Na koniec w nowym mieszkaniu nie było prawie na nic miejsca. Podobno trzy kanapy trzeba było postawić na sztorc jedna przy drugiej.

Ostatniego dnia, kiedy wypadł drugi dyżur Antona L., opróżniano strych w starym mieszkaniu Kiihlmanna. Zważywszy rodzaj rzeczy, do których posiadania z konieczności musiał przyznać się pan Kiihlmann, trudno było mu zachować opinię człowieka poważnego. Gdyby był tylko posiadaczem tych rzeczy... ale ponieważ zabierał je ze sobą i to do tego w obecności swoich pracowników, toczyła się w nim straszliwa walka pomiędzy chęcią zachowania twarzy a skąpstwem. Jak zwykle zwyciężyło skąpstwo.

Dom, w którym mieszkał Kiihlmann, był dwupiętrowy. Strych mieścił się więc niejako na trzecim piętrze. Znajdowało się tam, co następuje: kilka starych rowerów; dwie pary nart i trzy narty pojedyncze; siedemnaście butów; para butów do konnej jazdy, bez podeszew; około dwustu pustych słoików do wekowania; oprawiony w ramki dokument, w którym gauleiter okręgu Warthe potwierdzał dzielne postęпки pana Kiihlmanna w kraju; cztery obrazy w ramach, sześć obrazów bez ram, trzy ramy bez obrazów; gitara; fotel; dwie pary drzwi; segregator z korespondencją (Anton L. czytał te pisma w'ubikacji. Korespondencja była z roku 1944 i chodziło w niej o to, żeby wybronić Kiihlmanna przed grożącym mu powołaniem do armii i spowodować w miejsce tego wysłanie na pobyt wypoczynkowy do Szwajcarii. Argumenty pokrywały się częściowo z tymi, których pan Kiihlmann użył wobec policji w sprawie o mandat za niedozwolony skręt w lewo); kilka abażurów; powiązane w pakiety karty pocztowe; stojak na parasole; kilka starych piecyków typu „koza"; „Mein Kampf" Hitlera; pęk papierowych kołnierzyków oraz gdzieś około dwóch lub trzech kompletów silnie zakurzonych mebli. Anton L. przez cały dzień taszczył te rzeczy razem z kolegami trzy piętra w dół. Kiedy przyszła kolej na materace, któryś z nich zapro

ponował, żeby dla ułatwienia zrzucić je przez okno strychu. Jeden zrzucił z góry, dwóch odbierało na dole. Materace dwadzieścia lat przeleżały na strychu. Kiedy uderzały o ziemię, również następowała eksplozja kurzu. W pewnym momencie pan Kuhlmann, który zawsze wszystko wiedział lepiej i do wszystkiego musiał się wtrącić, znalazł się dokładnie na linii lotu materaca. Uwaga! — krzyknął Anton L. W tym samym momencie żałował, że to zrobił, ale okrzyk i tak nic nie pomógł. Materac spadł panu Kuhlmannowi prosto na głowę, rzucił go na kolana i zamknął się nad nim po obu stronach... wszystko zakrył kurz... Pan Kuhlmann wyglądał potem jak wielka szara mysz.

W porównaniu z tamtą, graciarnia Hommerów na werandzie była skromna. Anton L. zrzucił na dół jeszcze parę kłębów odzieży, potem usiadł na ławie-skrzyni i zaczął wypróbowywać jeden z pistoletów. Za każdym razem celował w werandę naprzeciwko, gdzie przedtem były dwa psy, ale nie udało mu się wystrzelić. Odłożył pistolety na ławę.

Jego duszą zaczęła teraz targać myśl o zbliżającej się nocy. Słońce opuściło się już za dachy domów. Jeden z moli zabłąkał się do kratki Soni przez któryś z licznych otworków wentylacyjnych. Legwan capnął go w mgnieniu oka.

— Muszę jej coś przynieść — przyszło Antonowi L. do głowy — poza tym kawałkiem sera nic nie jadła.

Anton L. wziął ze sobą tasak łęgij nie umiejąc się obchodzić z pistoletami, nie miał na razie lepszej broni — i poszedł do delikatesów, do których włamał się we wtorek. Otworzył sobie kluczem. Chmara szczurów śmignęła na ulicę przez rozbitą szybę w drzwiach, kiedy Anton L. wszedł do sklepu od zaplecza. W nozdrza uderzył go mdły odór rozkładu. Otworzył wszystkie okna i drzwi. Właściwie chciał wziąć tylko produkty na dziś wieczór, ale kiedy zobaczył tyle szczurów, postanowił zrobić zapasy. Wymagało to sporej pracy, ale odsuwało strach. W podwórzu Anton L. znalazł ręczny wózek. Załadował go puszkami konserw i słoikami i potoczył pod dom numer dwa. Czterokrotnie wchodził obciążony na górę, zanim przeniósł wszystko. Potem załadował następny transport. Obrócił tak sześć razy. W mieszkaniu towary piętrzyły się na korytarzu. Anton L. postanowił je posegregować i umieścić w łazience, najchłodniejszym pomieszczeniu w całym mieszkaniu.

— Czy oni wrócą... oni... inni ludzie? — Anton L. przywołał się ostro i logicznie do porządku i uznał za rzecz naturalną, że w nocy z 25 na 26 czerwca w jednej chwili zniknęli wszyscy ludzie na całym świecie, i że został tylko on — Anton L. Musiało zatem istnieć jakieś nieznanne dotąd prawo natury, na mocy którego istoty ludzkie w pewnych warunkach ulegają desubstancjalizacji. Było to okrutne prawo natury, lecz — o ile Anton L. nie oszalał ani nie przeżywał tego we śnie — było faktem, a z tego wypływał z kolei wniosek, że równie dobrze może istnieć prawo odwrotne, na mocy którego wszyscy ludzie nagle z powrotem się pojawią...

Anton L. postanowił jako tako uprzątnąć duży pokój. Musiał przyznać sam przed sobą, że w tym przypadku postąpił haniebnie. To, że pozrzucił z werandy stare garnki i inne rupiecie, powinno Hommerów tylko cieszyć; za to zaopiekował się Sonią... Sonia! Przez to wożenie żywności znowu o niej zapomniał. Nie brał sera, bo wszystkie sery roiły się od robaków. Otworzył słoik z drobnymi, apetycznie obranymi ziemniaczkami. Były to prawdziwie luksusowe ziemniaczki, a poza tym jedyny produkt w całym sklepie nie zakonserwowany octem czy olejem. Wyjął największy ziemniak i wrzucił do terrarium Soni. Sonia zwróciła głowę w stronę ziemniaka i patrzyła na niego dokładnie po stycznej.

— Może go zje — pomyślał Anton L. — a jak nie będzie chciała, to przyniosę jej ser; a nuż lubi robaki.

Wrócił do dużego pokoju. Pozbierał odłamki szklanego blatu stolika i wsypał do drewnianej misy, o brzegach ozdobionych rzeźbionymi kłosami. Wśród kłosów, również wycięty w drewnie, widniał napis ułożony z topornych liter: „Chleba powszedniego daj nam. Panie”.

Zrobił się wieczór. Myśl o nocy nie dawała się już wyprzeć. Wkrótce zapadnie noc. Najdalej za dwie godziny będzie już noc. Anton L. czuł się tak, jakby nieodwołalnie zbliżał się termin jego egzekucji. Postawił misę z „chlebem powszednim”, w której były teraz tylko okruchy szkła, na biurku obok programu tele

wizyjnego. Pokój wypełniały szare cienie. Już przy ostatnich nawrotach wózkiem Anton L. widział, że niebo od zachodu zaczyna się zaciągać. Mimo to upał był wprost nie do wytrzymania. Anton L. zdjął koszulę. Miał uczucie, jakby jego podkoszulek nasiąkał miodem. Strach wyzwała procesy redukcyjne. Psychika poddaje jeden po drugim obszary dorosłości, przechodzi rozwój wsteczny, na koniec broni już tylko zasadniczego rdzenia ludzkiej istoty, wykształconego już wtedy, gdy dany osobnik był jeszcze dzieckiem.

Pismo dla widzów poświęcało na każdy dzień programu dwie strony. Otwarte było na poniedziałku, 25 czerwca. Dzisiaj była środa albo czwartek. Anton L. z trudem rozróżniał litery w zapadającym zmroku: czwartek 28 czerwca był ostatnim dniem uwzględnionym w tym numerze, dalsze miały być już w następnym. Anton L. spojrzął na zegarek. Nastawił go mniej więcej według słońca. Zegarek pokazywał godzinę dziewiątą, ale było chyba trochę wcześniej. W pierwszym programie „Potomkowie Proroka. Izrael stary czy młody? Próba dokumentacji problemu”. W drugim „Drzewo wisielców”, amerykański film z 1953 roku z Gary Cooperem w roli głównej. Pan Hommer na pewno by go nie oglądał. Nie uznawał Gary Coopera. W trzecim „Elita. Dyskusje i problemy”. Pan Hommer na pewno przełączyłby na program austriacki, ale tu też szło „Drzewo wisielców”. Może zresztą zdecydowałby się obejrzeć ten film? Anton L. włączył telewizor. Oczywiście aparat milczał.

Panował nieznośny upał. Anton L. pchnął na oścież okno. Powietrze na dworze było jeszcze gorętsze niż w pokoju. Nie czuło się najmniejszego powiewu. Niebo pociemniało. Anton L. był chłopcem, miał może dziesięć, a może jedenaście lat. Chciał gdzieś biec, tam, gdzie są ludzie — uciec stąd i dotrzeć bez tchu, ale przecież uratowany, tam, gdzie jest światło. i ludzie. Ale nigdzie nie było ludzi.

Wyszedł na werandę. Razem z pistoletami zostawił tam latarkę. Włączył ją. Silny strumień światła padł na Sonię, która oślepiona odskoczyła od kartofla. Anton L. zgasił latarkę. Jeśli zostar wi ją zapaloną przez całą noc, wyczerpią się baterie. Jeśli wów? czas naprawdę zaczęłoby się coś dziać, nie miałyby w ogóle świftr tła. Kto Wie, co za bestie porozłaziły się po mieście. Szkoda, że nie postarał się o świece. Fatalne niedopatrzienie. W sklepie z wikliną była cała piramida świec. Ale teraz niedźwiedz wyszedł już na łowy.

— Lepiej zamknę okno w dużym pokoju, kto wie...

Strach podszedł Antonowi L. do gardła. Pobiegł do dużego pokoju. Krzyknął z przerażenia, włosy zjeżyły mu się na głowie:, na parapecie siedział olbrzymi ptak. To tylko zasłona zahaczyła się o skrzydło okna. Powiał prawie niedostrzegalny wietrzyk. Anton L. oświetlił wszystkie zakamarki pokoju i dopiero wtedy wszedł i zamknął okno. Od razu poczuł się jak w gumowej celi. Z powrotem otworzył okno. To nie był wiatr, trudno to było nawet nazwać wiatrem; po prostu kleiste warstwy powietrza przesuwały się leniwie względem siebie.

— Żeby tak wrócili — pomyślał Anton L. — Nawet gdyby się mieli wściekać za ten bałagan w pokoju. Muszę iść po świece. Może będą jakieś w delikatesach.

Wybiegł z mieszkania, ale już na drugim piętrze przypomniał sobie stada psów. Z czeluści parteru i z góry, od strony zawsze wionącego niesamowitością strychu, napierały dwie mroczne ściany grozy. Anton L. bał się, że zaraz go zmiażdżą. Zapalił latarkę i uciekł z powrotem do mieszkania. Okiennice, które zostawił otwarte, stuknęły o ścianę. Anton L. postanowił uciec do łóżka, przykryć się z głową i spróbować przeczekać tę noc — ale byłaby to tylko pierwsza noc z tysiąca dalszych — a w łóżku jest wąż, w łóżku na pewno jest wąż, węże zawsze czyhają w łóżkach — tysiąc nocy to niespełna trzy latki. Trzydzieści lat, to dziesięć tysięcy nocy. Każda noc legnie potwornym głazem na poprzedniej, aż powstanie wieża Babel strachu — każda następna noc będzie gorsza — ta dzisiejsza jest najłagodniejsza...

Anton L. pobiegł na werandę, poświecił na ławę, wziął jeden z pistoletów, zaczął nim potrząsać, manipulował wszystkim, co się ruszało (tylko nie zarepetował), przyłożył lufę do skroni i pociągnął za spust. Huknęło straszliwie, ale na dworze — w tym samym momencie uderzył piorun. Po wielodniowym upale nad miastem rozszalała się potężna nawałnica. Wraz z pierwszym grzmiotem zaczął padać deszcz, najpierw ciężkimi, pojedynczymi kroplami, ale wkrótce potem lało już jak z cebra. Powietrze ochłodziło się. Anton L. był wyczerpany, jakby dźwigał kamienie

młyńskie. (W końcu wtaszczył do mieszkania cztery wózki żyw- f ności). W łóżku nie było węża. Anton L. zapadł w sen. Latarki"ii jednak nie wypuścił.

VII. SPADEK PO PFEIVESTLU

Anton L. nie miał własnego samochodu. Hommerowie, wiedział to na pewno, też nie mieli. O ile dobrze pamiętał, mieli samo- * chód Derendingerowie z pierwszego piętra. W tym domu były dwie rodziny o tym nazwisku. Starzy Derendingerowie mieszkali na czwartym i byli tu prawie tak samo długo jak Hommerowie. Stary pan Derendinger odwiedzał pana Hommera tylko od wielkiego dzwonu. Anton L. nie przypominał sobie, żeby pan Hommer poszedł kiedyś na górę do Derendingerów. Stary pan Derendinger był starszy od pana Hommera i wcześniej niż on poszedł •na emeryturę. Anton L. nie wiedział, kim był pan Derendinger z zawodu. Wiele lat temu, kiedy na pierwszym piętrze zwolniło się mieszkanie, od rodziny odłączyło się młodsze pokolenie Derendingerów. (Druga część młodszego pokolenia przeniosła się do domu, 'w którym był sklep delikatesowy, gdzie zrobił „zakupy” Anton L.) Młody Derendinger, który wcale nie był już taki młody, kiedy Anton L. zetknął się z całą tą historią, nie był jeszcze oczywiście na emeryturze, jakkolwiek trudno było powiedzieć, czym się właściwie zajmuje. Było to oczywiście do sprawdzenia, ale Anton L. się tym nie interesował. Prawdopodobnie Anton L. w ogóle by się nie zetknął z młodym Derendingerem, gdyby nie pewna specyficzna słabość tego ostatniego. Słabość ta dotyczyła sportu, ściślej piłki nożnej, a jeszcze ściślej bezpośredniego i pośredniego śledzenia meczów piłkarskich. „Skłonność” to oczywiście zbyt mało powiedziane. Dla młodego Derendingera poza piłką nożną nic nie istniało, dla niego świat składał się z piłki nożnej; jedynie piłka nożna nadawała życiu sens, świat miał dla niego strukturę gęstej siatki lokalnych, regionalnych, ogólnokrajowych oraz zagranicznych rozgrywek ligowych, klubowych i pucharom wych oraz najróżniejszych mistrzostw; nazwy takie jak Mediolan, Madryt, Warszawa, Cypr, Irlandia oznaczały dla niego wy" łącznie określone miejsca w kalendarzu rozgrywek międzynarodo* I

-- ...; ---

wych; części świata, gdzie nie grywano w piłkę nożną, jak Chiny czy Ameryka Północna, w ogóle dla niego nie istniały. Dla niego Bóg, o ile miałby się nad tym zastanowić, byłby duchową praistotą w formie piłki futbolowej. Wszystko to należało do sfery Derendingerowej namiętności. Miłością Derendingera była drużyna piłkarska o nazwie „Weiss-Blau” czyli „Biało-Niebiescy”. ' Trudno sobie wyobrazić uczucie bardziej wysublimowane, płynące z głębszych pokładów duszy. Zmysłowa ziemską miłość, miłość najzarliwszego patrioty do własnej ojczyzny, miłość artysty do sztuki są niczym wobec wszechobejmującej, płynącej z każdej komórki ciała, nieprzemijającej i niezłomnej miłości, jaką Derendinger żywił dla F.C. „Weiss-Blau”. Jak wspomniano Derendinger nie rozmyślał wprawdzie nad zagadnieniami teologii, ale kiedy wygrywała jego drużyna, wiedział, że Bóg istnieje. Drużyna F.C. „Weiss- Blau” nigdy nie przegrywała, co najwyżej zdarzały się niekorzystne warunki pogodowe, źle przygotowana płyta boiska, stronniczy sędziowie, wrogo nastawiona publiczność czy wreszcie nieszczęśliwy zbieg okoliczności, który odbierał Biało-Niebieskim zwycięstwo, nigdy jednak nie odebrał Derendingerowi wiary w jego drużynę. Derendinger, który bez chwili namysłu sprzedałby żonę i najmłodszych Derendingerów (było ich troje, a może nawet czworo, splodzonych przypuszczalnie w czasie letniej przerwy w rozgrywkach), jeśli to miało przynieść jakąś korzyść Biało-Nie- bieskim, na pewno bez mrugnięcia powieką, jak jakiś nowy święty Bartłomiej, dałby z siebie zedrzeć skórę i pozwolił usmażyć się w oleju za jedną jedyną, decydującą o wyniku meczu bramkę.

Jest rzeczą zrozumiałą, że taka wstrząsająca podstawami egzystencji namiętność musi znajdować też ujście na zewnątrz. Całkiem młodzi Derendingerowie płci męskiej od maleńkości towarzyszyli ojcu na stadionie. Młodemu Derendingerowi udało się wprawdzie zaszczepić najstarszemu z całkiem młodych Derendingerów namiętność do piłki nożnej, ale niestety, nie przejął on po ojcu miłości do F.C. „Weiss-Blau”. Najstarszy z najmłodszych Derendingerów, mniej więcej czternastolatek, zapalał miłością do miejscowego rywala Biało-Niebieskich, TSV „Deutsche Eiche”: Był to prywatny konflikt pokoleń rodziny Derendingerów, przybierający formy bolesne, a niekiedy prowadzący wręcz do ręki

czynów, zwłaszcza kiedy dochodziło do bezpośredniego starcia obu drużyn.

Młody Derendinger zjeździł pół świata. Niejednokrotnie bywał we wszystkich większych miastach niemieckich, poza tym w Wiedniu, w Zurychu, w większych miastach Włoch, w Barcelonie; w Glasgow, a nawet w Moskwie i w Meksyku, ale za każdym razem poszerzał swoje horyzonty wyłącznie o znajomość kolejnego stadionu. Gdyby mu ktoś powiedział, że są miasta o tej samej nazwie, co stadiony czy kluby piłkarskie, byłby zdumiony.

Wyobrazić sobie człowieka, który nie interesuje się piłką nożną, byłoby dla Derendingera niemożliwością. Czwarty wymiar także można sobie uzmysłowić tylko teoretycznie i to z wysiłkiem — nie sposób mieć jego zmysłowego wyobrażenia. Abstynent w sprawach piłki byłby dla Derendingera dziwolągami, istotą wymagowaną. Stąd też kobiety były dla niego dziwolągami, nawet jeśli dokładały starań, by polubić piłkę nożną, ponieważ zwyczajnie nie są one zdolne zapalać przepelniającą serce namiętnością do tego sportu. Derendinger to wyczuwał. Dla niego, tak jak dla surowego muzułmanina, kobiety były istotami pozbawionymi duszy, których wartość ograniczała się do względnie przyjemnej sfery płciowej oraz faktu, że umieją gotować. Kiedy jakiś mecz wygrali Biało-Niebiescy, Derendinger wskutek euforycznej reakcji emocjonalnej zasypywał swoje otoczenie relacjami z przebiegu spotkania, przy czym do otoczenia zaliczał się każdy, kto mu się nawinął pod rękę. Na tej właśnie zasadzie, krótko po wprowadzeniu się do sublokatorskiego pokoju u Hommerów, Anton L. zetknął się z całkowicie dlań obcym Derendingerem. Piłka nożna była namiętnością, która nigdy nie poruszała Antona L. W powojdziej zachwyty Derendinger nawet tego nie zauważył. A ponieważ w odpowiedzi na hymny pochwalne na cześć bohaterskich Biało-Niebieskich Anton L. tylko potakwał głową, Derendinger sklasyfikował go jako wtajemniczonego.¹

Anton L. przypomniał sobie, że zupełnie niedawno stary Derendinger opowiadał panu Hommerowi — było to na klatkę schodowej, Anton L. słyszał to przypadkowo — że jego syn sprawił sobie nowy samochód. Anton L. przypomniał sobie także/ że niedługo potem, w któreś sobotnie popołudnie widział młodego Derendingera, jak wszedł z całkiem młodym Derendingerem do czerwonego volkswagena. Mieli ze sobą najróżniejsze trąbki, klaksony i grzechotki, poza tym przytwierdzali do specjalnie w tym celu zamontowanego bagażnika na dachu samochodu jakieś osobliwe urządzenie. Składało się ono z dużego drewnianego krzyża, na którego wszystkich czterech ramionach umieszczone były całe baterie klaksonów. Urządzenie było w pełni zautomatyzowane, zasilane prądem, i umożliwiało wzmocnienie hałasu aż do natężenia, od którego mróz chodził po kościach. Całość wymyślił młody Derendinger i sam ją wykonał domowym sposobem przy niemałym nakładzie środków. Jak się dowiedział Anton L. za pośrednictwem starego Derendingera i pana Hommera, urządzenie zastosowano tylko raz. Do tego stopnia przewyższyło ono swoją mocą hałas czyniony przez wszystkich pozostałych kibiców, że jeden z piłkarzy dostał nerwowego kurczu łydki. Młody Derendinger otrzymał pisemny zakaz używania w przyszłości tego urządzenia. (Tej przyszłości już nie było. W dniu następnego meczu zarówno młody Derendinger jak i heros z kurczem w łydce i wszyscy inni bohaterowie zielonej murawy ulegli dematerializacji. Zielona murawa leżała osamotniona, chyba że pasą się już na niej bizona albo gazy, którym być może udało się uciec z zoo.)

Dom nie miał własnych garaży. Anton L. przypuszczał więc, że młody Derendinger zaparkował samochód na ulicy, gdzieś w pobliżu. Kluczyki leżą pewnie w mieszkaniu. Anton L. włamał się zatem do mieszkania Derendingerów młodszych. Nie zdziwiło go, że utrzymane było w zasadzie w kolorach białym i niebieskim, a ściany zdobiły po części naturalnej wielkości fotografie piłkarzy o węzlastych łydkach. Na jednym z kołków wieszaka na ubrania znalazł marynarkę Derendingera, a w jej kieszeni kluczyki od samochodu, na który po krótkich poszukiwaniach — Anton L. posuwał się bardzo ostrożnie, ale nie było widać żadnych dzikich zwierząt — natknął się w jednej z bocznych uliczek.

Jazda samochodem, nawet w sytuacji, kiedy Anton L. miał (przypuszczalnie) dla siebie całe miasto i nie musiał się obawiać innych uczestników ruchu, była omal największą z dotychczasowych przygód. Z instruktorami jazdy nie miał łatwego życia. Zmienił ich po kolei trzech. Pierwszy był zjawiskiem efemerycznym i Anton L. już go nie pamiętał. Drugi był gruboskórnym

chamem pozbawionym wszelkich manier, a trzeci niemotowatym szczurkiem. Całą złość, narastającą w nim pod wpływem chamstwa drugiego instruktora, Anton L. wyładował na trzecim. Ale pewnego pięknego dnia jego grubiaństwa, będące w gruncie rzeczy jedynie redystrybuowanymi (mówiąc językiem kancelaryjnymi: przechodnimi) grubiaństwami drugiego instruktora, okazały się niestrawne nawet dla niemotowatego szczurka. Zupełnie dla Antona L. niespodziewanie wpadł on we wściekłość i wyrzucił ucznia z samochodu. Stało się to na skrzyżowaniu, kiedy Anton L. uparcie obstawał przy wersji przepisów regulujących pierwszeństwo przejazdu znacznie odbiegającej od wersji podawanej przez instruktora i nawet na pojednawcze stwierdzenie tego ostatniego, że można uważać różnie, odpowiedział, że nie, że można uważać tylko tak jak on. Instruktor sapiąc z wściekłości wpełznął się na siedzenie kierowcy i odjechał. Anton L. został na ulicy w zupełnie nieznanym mu części miasta. Zaczęło padać. Nabawił się wtedy jednego z najgorszych obrzęków spłotu słonecznego w życiu. Ale i instruktor — po wyszczeniu pałej odwagi znowu niemotowaty szczurek — miał swoje kłopoty. Właściciel szkoły nauki jazdy nawrzeszczał na niego, że tak się nie postępuje z uczniami, że może to pociągnąć za sobą nieprzewidziane skutki, do odebrania koncesji włącznie; a poza tym Anton L., który wziął już 50 lekcji, a zanosilo się na dalsze 50, był dobrym klientem. Instruktor miał iść do Antona L., żeby go przeprosić. Anton L. nigdy się o tym nie dowiedział, ponieważ instruktor do niego nie dotarł. A po tak uwłaczającym jego godności potraktowaniu, Anton L. nie odważył się pokazać w szkole nauki jazdy. Tak więc jego prawo jazdy pozostało fragmentaryczne, ale to wystarczyło, aby zdołał ostrożnie wyprowadzić czerwonego volkswagena młodego Derendingera na jezdnię. (W każdym oknie samochodu dyndał klubowy proporczyk klubu F.C. „Weiss-Blau”, a z lusterka wstecznego zwisała mała siateczka z miniaturową piłeczką i parą miniaturowych butów piłkarskich). W pierwszej fazie wyprowadzania wozu nic się jeszcze nie stało, ale potem Anton L. zbyt gwałtownie nacisnął pedał gazu, a do tego ulica, w którą chciał skręcić, była zbyt wąska (względnie łuk, jaki zataczał samochód, zbyt szeroki) i Anton L. uderzył w błotnik jakiegoś dużego niebieskiego wozu. Czy zdematerializowane mole kuły Derendingera mogły się przewracać gdzieś w oddalonych wymiarach? Nie dlatego, żeby oszczędzić derendingerów błotniki, ale raczej dla całości własnej skóry i aby pojazd nadawał się jeszcze do użytku, Anton L. jechał teraz zdecydowanie ostrożnie i powoli, w pełni wykorzystując całą szerokość ulicy.

Burza i deszcz z ostatniej nocy ochłodziły powietrze. Chmury rozproszyły się po niebie, słońce stało jeszcze nisko. W wielkich trójkątach cienia na ulicach, biegnących z północy na południe, zalegały bloki chłodu, topniejąc z minuty na minutę. Ulicami biegnącymi ze wschodu na zachód mknęły delikatne strzały promieni lekko przymglonego słońca, ginąc w drzewach parków i alei. Drzew nie poruszało już żadne wspomnienie nocnej burzy, tylko wielkie krople spadały z liścia na liść, by wreszcie pacnąć na ziemię, na asfalt albo na żwir; wielkie, dobrotliwe krople, echo burzy, których dźwięk był zupełnie inny od dźwięków, jakie wydawały równie wielkie krople zwiastujące wczoraj wieczór zbliżanie się nawałnicy.

Na jednej z ulic wiatr przewrócił tablicę do naklejania plakatów. Nikt jej nie podniósł. Tu i ówdzie na chodnikach leżały potrzaskane dachówki. Nikt ich nie sprzątnął. Zawaliła się część rusztowania. Wielka płachta, uszyta z dużej ilości porozcinanych worków ó barwie szarego lnu, stanowiąca osłonę rusztowania, zwisała w strzępach aż na ulicę.

Anton L. widział trochę psów, najczęściej w stadach. Koty widywał z rzadka. Przypuszczalnie koty schroniły się w lasach. Jedna z ulic w centrum starego miasta była brukowana. W szczelinach pomiędzy kamieniami bruku widać było delikatny zielonkawy meszek.

— Więc to aż tak szybko? — pomyślał Anton L. — Racja, deszcz.

Nad rzeką, ale trochę dalej, napotkał stadko kóz. Były bardzo małe. Anton L. przypomniał sobie, że widział je kiedyś w zoo. Były to jakieś anatolijskie czy afrykańskie kozice. Jeśli chodzi o nie, to Anton L. nawet się cieszył, że udało im się uciec z zoo, gdzie wprawdzie z pewnością dobrze o nie dbano, ale za to przebywały na terenie leżącym nieco na uboczu, nie przy głównej trasie zwiedzania, tak że nikt na te drobne zwierzęta nie zwracał uwagi. Były brązowe z niemal czarną pręgą na

grzbiecie, nabite w sobie i obłe, prawie szersze niż dłuższe i wyższe, ale jednak niewiarygodnie zwinne. Eły wśród nich kilka całkiem malutkich, młodych o zupełnie jeszcze czarnej sierści ale też już nabitych w sobie; biegły obok matek ocierając się swoimi prężnymi ciałami o ich ciała. Kiedy Anton L. przejeżdżał obok, całe stadko zatrzymało się. Wszystkie zwierzęta' zwróciły się w jego stronę. Małe kozły spoglądały tak groźnie, jak tylko potrafiły.

— Miejmy nadzieję, że potrafią się obronić przed naprawdę niebezpiecznymi zwierzętami — pomyślał Anton L.

Już kiedy wyjeżdżał z Faniska-Strasse, przyszła mu do głowy myśl o przeprowadzce. Od chwili odejścia od matki, a dokładniej od chwili, kiedy matka go zostawiła, Anton L. bardzo często zmieniał mieszkania, na pewno w sumie z dziesięć razy. To, że mieszkał u Hommerów już dwa lata, było czymś wyjątkowym. Najczęściej już po niedługim czasie dochodziło do scysji z gospodarzami, reszty dokonywały cykliczne dziwactwa Antona L., tak że prędzej czy później znajdował się powód, żeby mu wymówić. A przy tym Anton L. miał skłonność do zadomowiania się, skłonność trwałą, ale objawiającą się tylko wtedy, gdy się przeprowadzał, i to tym, że za każdym razem, wchodząc do nowego mieszkania, miał uczucie, że tutaj mógłby mieszkać już do końca życia. Zdarzało się, że zaraz następnego dnia pokój, dzielnica czy właściciele lokalu zaczęli mu się wydawać nie do zniesienia. W przeciwieństwie do pana Kiihlmana Anton L. posiadał niewiele rzeczy. Garderobę miał skromną, czytał wprawdzie dużo, ale tylko z rzadka zatrzymywał jakąś książkę, musiały już być po temu jakieś zupełnie specjalne powody. Najczęściej czytał wydania kieszonkowe, które następnie komuś podarowywał albo po prostu zostawiał gdziekolwiek. Cenił więc sobie przeprowadzki już choćby dlatego, że zawsze miał wówczas okazję pozbyć się połowy dobytku: przeczytanych książek, znoszonych u- brań i dziurawych butów. Jego stosunek do posiadania dóbr był żaden. "Kiedyś mieszkał w pokoju sublokatorskim, gdzie nie było ogrzewania. Z nadejściem jesieni musiał sobie kupić piecyk elektryczny. Kiedy go już w końcu miał, czuł się tak, jakby wziął za żonę wdowę z pięciorgiem dzieci. Po kilku tygodniach zreje- trował przed piecykiem, przeprowadzając się gdzie indziej.

Oczywiście w tych warunkach Anton L. nigdy nie dorobił się własnego mieszkania. Posiadanie mebli byłoby ciężarem ponad jego siły. Pokój sublokatorski to było coś w sam raz dla niego, ale jeszcze lepsze było to, co zobaczył teraz, przejeżdżając Ana- kreon-Strasse, jedną z najelegantszych ulic miasta: hotel. Anton L. postanowił przenieść się do hotelu „Trzech Króli”.

Zatrzymał samochód przed hotelem, na środku ulicy. Duże oszklone drzwi obrotowe nie były zamknięte na klucz. (W budynku o tak wielkoświatowym formacie przez całą noc dyżuruje portier.) Anton L. wszedł do środka. Nigdy jeszcze nie był w tym hotelu, ale pamiętał z czasów, kiedy pracował w biurze podróży, że na pierwszym piętrze było kilka apartamentów. Niejaki Paolo Nappenbach z Buenos Aires zawsze przykładął dużą wagę do tego, żeby zatrzymać się w apartamencie nr 22. Anton L. wszedł za barierkę recepcji. Przegródka na klucze od nr 22 była pusta. Oznaczało to, że apartament jest zajęty. Jak można się było spodziewać, na podłodze za barierką leżał uniform portiera. Anton L. pogrzebał w kupce odzieży i natrafił na pęk kluczy. Któryś z nich jest na pewno uniwersalny. Wszedł po schodach na górę. Grube dywany tłumiły kroki. Podniósł się kurz. Na korytarzu stały na wpół zwiędłe rośliny w doniczkach. Anton L. postanowił podlewać przynajmniej te na swoim piętrze.

Od razu trafił na właściwy klucz. W apartamencie panował mrok, zrozumiałe, gość przecież spał. Oczywiście Anton L. wołałby, gdyby tej nocy, tej decydującej nocy apartament był wolny. Dlaczego? W każdym hotelowym łóżku, do którego się człowiek kładzie, spali już przedtem różni ludzie i różne w nim czasem wyprawiali bezeceństwa. (Pokój hotelowy, w którym mieszkał z Dagmarą — właściwie nie były to żadne bezeceństwa, raczej tragedia). Niby słusznie, ale poniekąd było tak, jakby w łóżku leżały zwłoki, mimo że była tam tylko piżama, jedwabna, wiązana piżama w żółto-czarne pasy. Łóżko było szersze od zwykłego podwójnego, ale pan od piżamy w żółto-czarne pasy leżał w nim sam, chyba że partnerka spała nago. Żadnych śladów bezeceństw Anton L. nie znalazł. Piżama leżała grzeczniutko. To duża różnica, czy ten ktoś z łóżka, do którego chcemy się położyć, oddawał się bezeceństwom czy tylko się w nim zdematerializował. Nic nie pomogło. Anton L. próbował pozbyć się tej myśli.

Rozsunął ciężkie zasłony i otworzył na oścież okna. Apartament był bardzo ładny (sypialnia, łazienka, ubikacja, salon i przedpokój), poza tym o tej porze roku hotel, zwłaszcza ten, najbardziej renomowany hotel w mieście, na pewno miał komplet gości. W żadnym z łóżek nie byłby wolny od bezeceństw, jakich się w nich dopuszczano. Postanowił zmienić pościel.

Wszedł do salonu. Tutaj również pootwierał okna, które, w odróżnieniu od okien sypialni, wychodziły na Anakreon-Strasse. Na dole stał jego samochód.

— Pomyślałem „mój samochód” — zastanowił się Anton L. — A przecież to własność Derendingera, nawet jeśli się zdematerializował. A może do niego, który zawsze brzydził się posiadaniem, należy teraz całe miasto... albo w ogóle wszystko...?

Antonowi L. przydało się teraz bardzo, że w czasie swojej pracy w różnych biurach podróży otrzymał solidną praktykę w podróżowaniu. Pracownicy biur podróży nie mogą oczywiście wyjeżdżać na urlopy w sezonie, w tym czasie muszą być do dyspozycji innych podróżujących. Ale w martwym sezonie, późną wiosną albo jesienią, dostają talony i zniżki od hoteli, od towarzystw lotniczych i kolejowych, i nie bez przyczyny są rozpieszczani przez hotelarzy. Anton L. korzystał z tych udogodnień, wprowadzając nie u Kiihlmanna (stary Kiihlmann albo sam korzystał z talonów, albo sprzedawał je na lewo stałym klientom), ale w biurze SANTIANSER. W sumie trwało to ze cztery lata i okres ten zbiegł się z okresem niesłychanego wzmocnienia popędu płciowego u Antona L. Właściwie- były to dwa okresy: jeden dłuższy i, by tak rzec, łagodniejszy, kiedy to Anton L. przynajmniej na kilka godzin zakochiwał się w kolejnych dziewczynach, oraz drugi, krótszy, gwałtowny, kiedy jego popęd osiągnął niemalże rozmiary derendingerowej miłości do piłki. W tym czasie Anton L. poznał wszystkie burdele w Europie i Afryce Północnej. W niektórych miał nawet rabat. Mógł sobie pozwolić i na to hobby, ponieważ prawie nie płacił za przejazdy i noclegi w hotelach. Stąd też jego znajomość hoteli, a wszystkie hotele są do siebie podobne. Tak więc bez większego trudu odnalazł w „Trzech Królach” pomieszczenie z bielizną pościelową. Wziął cały komplet i zmienił pościel w apartamencie nr 22. Starą bieliznę pościelową wraz z pasiastą piżamą ostatniego gościa wyrzucił przez okno.

Ostatni gość nazywał się Pfeivestl. Anton L. znalazł portfel z dokumentami. Hans Erhardt Pfeivestl, ur. 4.1.1919 w Treuchtlingen, przemysłowiec. W szafach wisiały ubrania pana Pfeive- stla. Musiał być kępym i dość tęgim jegomościem. W szafie wisiało sześćdziesiąt krawatów, częściowo w jaskrawych kolorach.

— Widocznie w Treuchtlingen nie mają gustu — pomyślał Anton L. Krawaty również wyrzucił przez okno. Słońce znów prażyło na ulicę. Najmłodsze tchnienie wiatru nie poruszało barwnym kłębowiskiem leżącym teraz pod oknem obok prześcieradeł i powłok. W przerwie między szeregami domów naprzeciwko widać było niewielki, nieco niżej położony plac z fontanną. Woda tryskała w górę. Anton L. setki razy przemierzał Anakreon- on-Strasse, ale nigdy nie słyszał szemrania fontanny, która wtedy też przecież była czynna. Teraz plusk wody docierał aż tu na górę. W cieniu pod fontanną spał kot.

VIII. NADWORNIA WYTWÓRNIA ŚWIEC

Na ten wieczór Anton L. już się zaopatrzył. Początkowo nawet nie zamierzał właściwie od razu zostać w hotelu, ale później postanowił uznać ten rekonesans, który przywiódł go do „Trzech Króli”, za najbardziej konsekwentną ze wszystkich przeprowadzek w swoim życiu i w ogóle nie wracać już do mieszkania Hommerów. (Później jednak zrobił to jeszcze raz jeden). Zbyt wiele wysiłku kosztowałoby go taszczenie trzy piętra w dół wszystkich tych produktów, które tam zgromadził, i przetransportowanie ich tutaj, zwłaszcza że jak zdążył się przekonać, spiżarnie hotelu były pełne. Jadał w sali jadalnej, po uprzednim ugotowaniu posiłku w hotelowej kuchni. (Gaz nadal był). W sali było osiemdziesiąt stołów nakrytych, jak policzył, na dwieście sześćdziesiąt sześć osób. W małej jadalni stało prawie tyle samo nakryć śniadaniowych. Anton L. nie zadawał sobie trudu, żeby zmywać. Naczynia, z których korzystał, wyrzucał potem zwyczajnie przez okno, a wieczorem, po ugotowaniu sobie posiłku, za

siadał przy następnym nakryciu. Kilka domów dalej znajdował się elegancki sklep z konfekcją męską. Po południu, kiedy upał nie był już tak uciążliwy, wziął sobie stamtąd piżamę (jedwab, czerwień, wzór w duże kwiaty, 120 marek) i kilka chustek do nosa. Ważniejszy był sklep z bronią, znajdujący się obok. Za pomocą łomu, który znalazł w hotelu, zbił szybę, przestraszył się w pierwszej chwili, kiedy zawyła syrena, zasilana widocznie z własnego źródła prądu, ale potem spokojnie wziął ze sklepu strzelbę myśliwską i przede wszystkim instrukcję obsługi do niej. W instrukcji było podane dokładne oznaczenie naboju przewidzianych do tej broni. Anton L. zabrał dwa pudełka.

Siedząc z powrotem w salonie hotelowego apartamentu, przestudiował instrukcję od początku do końca, załadował broń i strzelił przez okno. Huk wystrzału zadudnił w cichej ulicy łamiąc się echem na fasadach domów. Chmary ptaków poderwały się w powietrze. Anton L. zaraz wystrzelił ponownie. Tym razem celował w witrynę banku. Znow huknął strzał, szyba rozprysła się na kawałki; tutaj też odezwało się urządzenie alarmowe. Anton L. wystrzelił jeszcze raz, tym razem w okno nieco wyżej. Chybił* Zajączkał rykoszet. Anton L. strzelał i strzelał. Syrena alarmowa nadal jeszcze wyła, kiedy Anton L. wystrzelał oba pudełka naboju. W budynku naprzeciwko chybił tylko trzy szyby na piątym piętrze. Z czoła lał mu się pot. Człowiek nawet sobie nie zdaje sprawy, jak męczące jest strzelanie. Anton L. poszedł do sklepu z bronią, zapakował wszystkie pudełka odpowiednich naboju do torby myśliwskiej i dalej strzelał z hotelu, aż lufa strzelby zrobiła się gorąca. W promieniu 200 metrów Anton L. rozbił wszystkie szyby znajdujące się w polu strzału. Została tylko szyba w oknie mansardy jednego z narożnych domów. Anton L. w żaden sposób nie mógł w nią trafić. Z łaskawym uśmiechem odroczył egzekucję.

Inżynier, czy w ogóle ktoś znający się na technice, mógłby z powodzeniem wykorzystać agregaty prądowórcze zastosowane do zasilania urządzeń alarmowych, w które, jak widać, wyposażone były niektóre sklepy, pewnie wszystkie banki, a kto wie, czy nie szpitale i muzea, i zmontować z nich źródło prądu, które starczyłoby może nawet na całe miesiące, do czasu gdy ił^{no} właśnie, jak długo?

Było faktem, że w nocy z 25 na 26 czerwca, przypuszczalnie około wpół do drugiej nad ranem, raptownie zniknęli wszyscy ludzie przynajmniej w tym mieście, wszyscy z wyjątkiem Antona L. Fenomen ten nie dawał się wyjaśnić, pozostawiał jednak otwartą wspomnianą już logiczną możliwość, że kiedyś wszyscy równie raptownie powrócą. Czy Antonowi L. wolno sobie tego życzyć? Czy nie zaczął się już zachowywać jak spadkobierca całego miasta? Co by powiedział pan Hommer na rozbity blat stolika? Derendinger na zagarnięcie jego samochodu i w dodatku wgniecenie błotnika? I wszyscy ludzie mieszkający przy Anaker- on-Strasse, którym porozbijał szyby w oknach? Krawaty pana Pfeivestla leżały jeszcze wprawdzie nietknięte na ulicy, ale pierwszy, wiatr je rozwieje, piąwszy deszcz uniesie w potokach wody. Co by powiedział pan Pfeivestl, gdyby z powrotem się zmaterializował (prawdopodobnie nago, bo jego piżama leżała na ulicy razem z krawatami) obok, powiedzmy, śpiącego właśnie w tym momencie Antona L., albo na nim, albo w poprzek niego? Jeśli raz potrafiło zająć coś zagadkowego, to w przyszłości mogło się zdarzyć wszystko.

Anton L. postanowił przynieść z powrotem krawaty i piżamę pana Pfeivestla i przesunąć łóżko w inne miejsce. Wprawdzie oznaczałoby to, że w przypadku rematerializacji pan Pfeivestl z hukiem spadłby na dywan, ale Anton L., co zrozumiałe, wolał już taką ewentualność niż życie z myślą, że gruby przemysłowiec z Treuchtlingen miałby ponownie przyjść na świat golu- sieńki i spleciony z nim, Antonem L. Jak sobie wykalkulował Anton L., który z czasów swojej pracy w biurze podróży doskonale znał charakter takich przedsiębiorców, pan Pfeivestl będzie wściekły tak czy inaczej, ale przynajmniej o krawaty nie będzie się mógł przyczepić.

-«■

Ale tak w ogólnym rozrachunku byłoby prościej, gdyby oni, to znaczy wszyscy inni, już nie wrócili, a wtedy agregaty prądowórcze na pewno by nie wystarczyły, nawet gdyby Anton L. umiał się nimi posługiwać. Postanowił zatem pozostać przy świecach. Zarzucił strzelbę na ramię i przyniósł zapas ze sklepu ze świecami w pobliżu pałacu.

Był piękny, ciepły wieczór. Niebo było jeszcze jasne i prawie bezchmurne, wyjąwszy kilka raczej przyjemnych pasemek na za

chodzie. Burza do tego stopnia ochłodziła powietrze, że również podczas całego słonecznego dnia upał nie osiągnął dotychczasowego natężenia. Krocząc ulicami ze strzelbą przewieszoną przez ramię, Anton L. po raz pierwszy spostrzegł, że miasto bynajmniej nie ucichło. Było prawie równie głośnie jak przedtem, kiedy roilo się od ludzi, tylko że odgłosy były zupełnie inne, obce. Tak obce (czy może tak naturalne), że początkowo Anton L. w ogóle ich nie odbierał. Kifedy jego świadomość otwarła się na te nowe dźwięki, sprawiło to na nim takie wrażenie, jakby ktoś nagle otworzył dźwiękoszeszelne drzwi do hałaśliwej sali. Nawał niezliczonych odgłosów zwałił się na niego z takim impetem, że Anton L. aż się przeraził. Ale chyba jeszcze bardziej przeraził się tym, że od razu wiedział, iż słyszał te wszystkie dźwięki przez cały czas, tylko nie mogły one znaleźć drogi z ucha do mózgu. Cykały świerszcze, wyły psy albo jakieś podobne do psów zwierzęta (wilki?), zaczynały odzywać się nocne ptaki, słyhać było tupoty i szybkie przemykania. Przez to wszystko, niby jakieś tajemnicze żyły, biegły sploty dźwięków, których źródła Anton L. nie znał; na wszystkie odgłosy nakładały się jakieś trzaski i łomoty, zgrzyty, szurania, syczenia, skrzywienie drewna i ciche brzęczenie, idące z góry, być może od ochładzających się dachów.

— Takie dźwięki człowiek słyszy tylko wtedy, kiedy jest sam — pomyślał. Anton L. — To symfonia samotności, no, może nie aż tak, powiedzmy sinfonia.

Było jeszcze zbyt jasno, żeby się bać. Mimo to Anton L. pośpiesznie podązał naprzód. Na wielkim placu rozsiadł się stary kurfirst i wyciągał swoją żelazną dłoń. Po bokach tronu stało dwóch paziów trzymając w dłoniach koronę i berło. Przez plac przebiegło stadko myszy i zniknęło za cokołem pomnika. Ponieważ nie pokazały się z drugiej strony, Anton L. pomyślał, że pewnie mieszkają w cokole.

Wytwórnia świec znajdowała się za pomnikiem. Kurfirst odwrócił się żelaznymi plecami do swojego byłego dostawcy (nad sklepem widniał jeszcze napis „Nadworna wytwórnia świec”). Anton L. bez ceregieli stłukł szybę kolbą i wszedł do środka. Przy tej okazji zauważył pewną zmianę: dotychczas, czy to kiedy wla- mywał się do mieszkania pani Schwarzenbock, czy do sklepów na

Wassertrager-Strasse, do mieszkania, w którym schronił się przed niedźwiedziem, czy do hotelu, za każdym razem trochę się bał, chociaż to chyba za duże słowo, raczej: zawsze lekko wstrzymywał oddech, żeby się nie przestraszyć, że nie ma nikogo. Jeszcze w hotelu mimo wszystko nie zdziwiłby się, gdyby z zaplecza wyszedł portier. Tutaj, w sklepie ze świecami, przestraszyłby się, gdyby ktoś był. Nie spodziewał się już spotkść ko- gokolwiek.

W sklepie nie było właściwie nic szczególnego. Anton L. wyszukał sobie kilka ładnych, dużych świec, które będą się długo palić, i wsadził je do torby myśliwskiej. Kiedy właśnie zamierzał wyjść przez rozbitą szybę, zobaczył list leżący pod drzwiami. List był w zwykłej, białej kopercie, widocznie wsunięto go pod drzwi już po zamknięciu sklepu. Nie dotarł do adresata. Anton L. zatrzymał ten list. Koperta była zaklejona. Na wierzchu było napisane „Dla L. Pozdrowienia, E.”.

Dla L. —r Przecież o n się nazywa L., Anton L. Ale może właściciel sklepu albo któryś z pracowników też miał nazwisko na L. (W przypadku Antona L. używamy dużego L z kropką, co jak każdy wie, oznacza, że jego nazwisko — zresztą dosyć długie — rozpoczyna się na literę L. A na kopercie było faktycznie tylko L.)

— A kim był E.? Dagmara nazywała się E. — Anton L. włożył list do torby ze świecami. — Na pocztach leżą z pewnością tysiące listów. Może pójdę na pocztę i przeczytam sobie jakiś? Prawdopodobnie byłoby to znacznie mniej ciekawe niż się wydaje.

Anton L. zatrzymał się przed witryną sklepu z kapeluszami. Pośród mniej czy bardziej dziwacznych nakryć głowy, na osobnym stojaczku, bardziej pewnie dekoracja niż oferta, leżał deer- stalker z materiału w kratkę, owa czapka mająca daszek z przodu i z tyłu oraz po bokach opuszczane klapki, które można też wiązać na górze, to nakrycie głowy, w którym praktyczny sens przechodzi w dziwactwo, legendarne nakrycie głowy Sherlocka Holmesa. Anton L. bez chwili wahania zbił szybę i zdjął deerstal- kera z wystawy. Pasował jak ulał. Anton L. przejrzał się w drugiej szybie, która nie była stłuczona i oprócz Antona L. pokazywała też odbicie placu, starego kurfirsta i jego rezydencji. Ni

gdy dotąd nie nosił deerstalkera, a nawet nigdy nie rozważał takiej możliwości, chociaż oczywiście wiedział o odległej czy byłej egzystencji takiego nakrycia głowy. Było w tym coś podniosłego. Anton L. widział swoją zarośniętą twarz (nie golił się od wtorku, bo i po co) i deerstalkera z materiału w kratę. Czuł się tak, jakby się na coś odważał. Czuł się tak, jakby oto ziścił się jego sen, którego nawet nie ośmielił się śnić. Pochłonięty deerstalkerem zapomniał o liście, który powinien właściwie od razu tu wyrzucić.

Jeszcze zanim Anton L. wrócił do hotelu, podniósł się lekki, ciepły wiatr. Anton L. nadłożył nieco drogi, żeby wstąpić do największej księgarni w mieście. Wprawdzie dokładnie naprzeciw hotelu była niewielka księgarnia, ale Anton L. chciał mieć pewność, że znajdzie książkę, której szuka. Zaczął ją czytać na kilka dni przed tym wydarzeniem (przed katastrofą? a może zwyczajnie: przedtem?). Leżała na krześle stojącym w głowach łóżka Antona L. w sublokatorskim pokoju u Hommerów i służącym jako nocny stolik, założona gdzieś na stronie trzydziestej czwartej czy piątej. Anton L. zupełnie poważnie zastanawiał się, czy nie powinien pojechać po nią do Hommerów. Nie przeczytana książka niejako wzdraga się przed byciem przeczytaną. Nie czytana treść broni się przed czytelnikiem od pierwszej strony. Trzeba dopiero złamać ten opór (bywają też inne, niejako sprzedajne i nachalne książki, które same wciągają czytelnika; nie jest powiedziane, że to są od razu te lepsze), trzeba zrobić wyłom, zdjąć być zaufanie pierwszych stron, które później, kiedy już uspokojone i pogodzone z tym, że zostały przeczytane, znajdują się za czytelnikiem i wzmocnią jego tyły, polecają go jako niegroźnego dalej położonym stronicom. A kiedy człowiek przekroczy już połowę książki, czuje nawet ten lekki napór z tyłu. Ostatnie rozdziały, ostatnie stronicy cofają się, rozstępują na boki, książka chce już przepuścić czytelnika przez siebie, przetrwać go i wydalić, aby w końcu mogła się zatrzasnąć i zaleczyć ranę. Czytać dalej inny egzemplarz tej samej książki, którą zaczęło się już czytać, jest prawie niemożliwością. Wówczas opór stawiają również przeczytane, ale w tym egzemplarzu nie czytane początkowe stronicy, i te niemalże wszechmocne kleszcze dosłownie wypychają czytelnika z książki. Z tego właśnie powodu Anton L. chciał zabrać książkę z mieszkania Hommerów, ale ostatecznie uznał, że to zbyt kłopotliwe a nawet niebezpieczne, bo kto wie, co za nocna zwierzyna rządzi się teraz w tym domu. Aby mieć pewność, że znajdzie tę, niezbyt powszechnie czytaną książkę, Anton L. zdecydował się nadłożyć drogi i wstąpić do dużej księgarni. Musiał tam już zapalić świecę, ale bardzo szybko znalazł książkę, której szukał. Wziął też dodatkowo kilka innych, tyle, ile weszło do torby ze świecami. Przy tej okazji ponownie wpadł mu w rękę list, ale ciekawość już go opuściła, była to ciekawość ospała, która zdobyła się tylko na jeden, jakkolwiek gwałtowny poryw i ten wysiłek całkowicie ją sparaliżował. Anton L. nie otwierając listu wsadził go z powrotem do myśliwskiej torby.

Lekki i ciepły wiaterek był jednak wystarczająco mocny, by porozrzucić krawaty i części jedwabnej piżamy pana przemysłowca Pfdivestla na całej szerokości Anakreon-Strasse. Bielizna pościelowa była ciężka i nie poleciała z wiatrem. fgUr Prawdopodobnie jednak nie wróci — pomyślał sobie Anton L. i zostawił piżamę i krawaty tam, gdzie były.

Zjadł co nieco w sali jadalnej, poszedł na górę, podlał rośliny na korytarzu i zasiadł w salonie. Porozstawiał świece po całym pokoju i zapalił je. Otworzył okno, tak żeby do środka dostał się łagodny przyjazny wietrzyk o miłym zapachu, a nie było przeciągu. Płomyki świec chygotały nieco. Anton L. otworzył książkę.

Lecz powoli, powoli udało mi się wy dostać i krok po kroku przesuwalem się wśród drzew... Przeczytał cztery strony... Czeka mnie teraz wyruszenie stąd, walka i być może powrót, mnie, starca, jakim jestem dzisiejszego wieczoru... Zza świecy stojącej na komodzie weszła do salonu Marianna, mimo że nie było tam żadnych drzwi: który ma więcej lat niż kiedykolwiek miał mój ojciec, i więcej niż kiedykolwiek ja mieć będę. Jak to możliwe, że Marianna ścierpiała na sobie tę suknię? Czy to w ogóle suknia? Może ma tylko pomalowane ciało? Może jest pomalowana soczystymi farbami z domieszką złotego błyszczycy? Nie, to była jednak suknia, widać było po fałdach tworzących się między nogami, ponieważ była to suknia długa, ale zarazem bardzo cienka, przylegała ciasno jak pończocha, stawała się coraz cieńsza, a piersi i łono Marianny zaczęły się pod nią jarzyć: dwa rozjarzone czerwone punkty na piersiach i złocista rozjarzona kępką na

lonie, jak lampion. Wiatr się wzmógł. Przy każdym powiewie piersi i łono Marianny jarzyły się mocniej, jak rozdmuchiwany ogień. Suknia rozplynęła się niemal całkowicie. Nie sprawiała już nawet wrażenia farby nałożonej na skórę, sprawiała wrażenie!, jakby na ciało Marianny rzutowano kolorowe przezrocze. Żar ogarnął Antona L. Również i on zaczął płonąć, zwłaszcza w okolicy łędźwi. Trzasnęło okno. Anton L. ocknął się.

— No, krawaty rozniosło już ostatecznie — pomyślał — To prawie huragan.

Zamknął okno, zgasił wszystkie świece oprócz jednej i położył się do łóżka. Właśnie kiedy zamierzał zdmuchnąć ostatnią świecę, przypomniał sobie o liście. Jeszcze raz wstał i wyjął go z torby.

„L” znaczyło „Ludwig”. Chodziło widocznie o nazwisko, ponieważ autor listu zwracał się do adresata per „pan”.

„Drogi panie Ludwigu, tym razem się nie mylę, to, czego szukamy, istnieje. Być może już jutro do tego dotrę. Proszę mi szybko zwrócić kortg, nie później niż do 10.30. Pozdrowienia, Pański C.”

—Co to jest kortg? Autor listu nazywał się C. Ten, kto dopisał życzenia na kopercie, czyli E., pewnie tylko przekazał list.

—Co to jest ten kortg? List był pisany odręcznie, bardzo niestarannie, w widocznym pośpiechu. Czy rzeczywiście miało być kortg?

IX. MAŁY PAPIEŻ, NA WPÓŁ BOSY

O tym, że następnego dnia pogoda była fatalna, Anton L. mógł się przekonać nie wstając z łóżka, ponieważ nie zaciągnął zasłony. Poprzedniego wieczora z przyzwyczajenia sięgnął wprawdzie ręką, żeby zasłonić okno, ale natychmiast dotarła do niego bezsensowność tego zamiaru. Przed kim miałby się kryć? Puścił zasłonę, ale decyzja pozostawienia niezasłoniętych okien była dlań jednak nieprzyjemna i wydała mu się nie całkiem dobrowolna. Niby dlaczego mam zmieniać swoje przyzwyczajenia, nawet jeśli jestem sam jeden na świecie? Zaobserwował, że rodzi się w nim znamienne uczucie, podobne do tego, jakie przekazały mu słowa Lutra: nawet gdybym wiedział, że jutro zginie świat, dziś jeszcze zasadziłbym nowe drzewo. Kiedy po tej refleksji ponownie sięgnął do zasłony, ogarnęła go irytacja, że niepotrzebnie poświęca tak głębokie rozważania i uczucia tak nieistotnemu problemowi.

— Teraz, kiedy świat znowu może stać się prosty i nieskomplikowany — pomyślał — liczy się tylko to, co praktyczne.

W związku z tym pozostawił zasłony rozsunięte i dziś rano już z łóżka mógł spoglądać na pochmurne niebo. Znowu zapomniał nakręcić zegarka, który wskazywał teraz mniej więcej wpół do trzeciej. Anton wstał, otworzył okno i wyjrzał. Nie mógł dziś ustalić pory dnia według słońca, ale miał wrażenie, że jest raczej wcześniej. Nastawił zegarek na siódmą i nakręcił go.

Przestało padać, ale na całej, Anakreon-Strasse stały kałuże. Mokły w nich krawaty pana Pfeivestla. Dokładnie pod oknem, obok samochodu Derendingera, trzy wieprze siorbały wodę z rynsztoka.

— Skąd się tu wzięły świny? — zastanawiał się Anton L. — Prawdopodobnie zwierzęta domowe uległy mniejszej domestykacji, niż nam się zdaje. W klatkach i oborach nie trzymają ich pręty i skoble, lecz ich własne wygodnictwo i rozleniwienie, przekazywany przez tysiące pokoleń nawyk. Ale kiedy przyjdzie co do czego — jak na przykład teraz — to może jednak świny (krowy oczywiście też, i konie, i kury) wyłamią zagrody i uciekną na wolność, którą pamiętają jeszcze poprzez słońcę tysiącleci. Czy zwierzętom z ogrodu zoologicznego też udało się uciec z klatek?

Ulubionymi zwierzętami Antona L. były nosorożce. Był taki czas, że chodził codziennie do zoo, żeby się im przyglądać. Przeważnie stały w trawie jak odlane, z cementu. Zawsze zdumiewało Antona L., że taka anatomiczna forma znalazła zastosowanie dla istot żywych. Nosorożce mają podługowate łby ze szlachetnym przegięciem, jak okręt, jak jakiś bark o ostrym, wysoko ^sterczącym dziobie, a oczy w miejscu, z którego według wszelakich ludzkich pojęć nic nie można zobaczyć. Kiedy taki nosorożec, długo stojący dotąd jak odlany z cementu posąg (mimo woli brakuje człowiekowi w tym miejscu płaskiego cokołu wpuszczonego jW ziemię), z wolna ruszy naprzód, sztywne części jego powierz

chni zaczynają przesuwac się względem siebie, a ruchy nóg wydają się jedynie dynamicznym produktem ubocznym potwornej* siły, którą dyszy i bucha ten kolos. Czy nosorożce wydostały się na wolność? Ich wielki wybieg w zoo odzierała od zwiedzających jedynie betonowa fosa. Anton L. nigdy nie wierzył, żeby ten śmieszny rów mógł stanowić rzeczywistą przeszkodę dla nosorożca. Był pewien, że nosorożce się uratowały. (Chyba zbyt niebezpieczne byłoby pójść do zoo i sprawdzić).

Trzy wieprze tarzały się właśnie w kałuży, kiedy pojawiło się stado psów. Świnie rzuciły się do ucieczki. Psy zaczęły szczekać, ale nie goniły świń, bo ich uwagę przyciągnęły resztki jedzenia, które Anton L. wraz z nakryciami wyrzucał przez okno jadalni. Psy zaczęły na siebie warczeć, bo żaden nie chciał pozwolić drugiemu na wylizanie talerzy.

— Niewykluczone, że psy zaczynają tyranizować miasto — pomyślał Anton L. — Wiadomo, że w tym mieście zawsze było za dużo psów.

Anton L. przyniósł strzelbę i wycelował w niebywale tłustego owczarka. Huknął strzał. Owczarek dał susa w powietrze, zrobił salto, upadł z powrotem na chodnik i wyprężył łapy. Pozostałe psy rozpierzchły się na wszystkie strony, ale tylko na parę kroków, potem zatrzymały się, odwróciły i pokuliły się przyczajone. Anton L. załadował ponownie i wycelował w dużego, rudawego psa, stojącego po drugiej stronie ulicy. Znow huknął strzał, pies zaskowyczał, z pyska buchnęła mu krew, zwierzę pobiegło skokami przed siebie i zniknęło za rogiem. Reszta psów natychmiast rzuciła się za nim. Cała sfora zniknęła Antonowi L. z pola widzenia i strzału, słychać było tylko wściekle ujadanie i skowyt. Wśród psów był także ciemnobrązowy jamnik. Zaraz po pierwszym strzale schował się gdzieś z boku i teraz, kiedy reszta uciekła, wyszedł z kryjówek. Biegł na ukos przez jezdnię za tamtymi psami. Anton L. wystrzelił. Jamnik stanął jak wryty, jego ciało przebiegło drzenie, wypuścił trochę moczu i upadł. Zwiotczał, jakby uszło z niego powietrze.

W hallu osiedliła się kocia rodzina. Kocica z trzema małymi siedziała na fotelu, który był już przez nie doszczętnie pocięty pazurami. Ogromny stalowoszary kocur i domieszka angory os- rzył pazury na dywanie. Kiedy Anton L. schodził na dół, kocur

ukrył się pod stolikiem. Kocica zaczęła prychać i z jeżyła sierść.

— Na dworze im za mokro — pomyślał Anton L. — Ale jak się tu dostały? (Później odkrył niedomknięte okno centrali telefonicznej w suterenie.) Anton L. przyrządził sobie śniadanie. Ugotował kawę i otworzył puszkę z pastą mięsną. Jedząc przypomniał sobie koty. Otworzył drugą puszkę pasty i położył ją na dywanie w hallu.

— Mam nadzieję, że nosorożce jakoś jednak sforsowały tę fosę. Kto wie, może do niej powpadały i siedzą w pułapce, może połamały sobie nogi? Czy nosorożec może złamać nogę? A może wcale nie próbowały się wydostać z wybiegu, bo na razie wystarcza im trawa, która tam rośnie? Ale równie dobrze mogą się już paść nad rzeką.

— A gdybym tak nie ja ocalał z katastrofy — zastanawiał się Anton L. ^- tylko na przykład ten staruszek, który czasem dzwonił do drzwi Hommera i żebrał...

Pan Hommer stale przepędzał żebraka, za to pani Hommer, kiedy tylko nie było męża, .zawsze mu coś dawała. Był to żebrak o tyle osobliwy, że zanim poprosił o niewielką jałmużnę przedstawiał się imieniem i nazwiskiem. W doborze nazwisk nie był szczególnie pomysłowy. Upodobał sobie najpopularniejsze, w rodzaju Muller czy Meier, zdobywając się raz czy dwa na Schneidera czy Richtera. Z tym, że imię zawsze pozostawało bez zmian: Konrad.

Konrad Muller względnie Meier był wysoki i chudy, miał nadzwyczaj łagodną twarz i jeszcze łagodniejszy głos. Nosił niezwykle długi, ciemnoszary prochowiec, który na zimę podbijał papierem gazetowym. Zawsze miał ze sobą jedną lub dwie siatki na zakupy i bardzo starą teczkę, która miała wyrwany jeden z dwu zamków. Teczka miała kiedyś pasek, który można było dodatkowo zapinać. Konrad Muller względnie Meier — wszystko to opowiedział on pani Hommer, kiedy jej męża nie było w domu — wyjął ten pasek ze szlufek teczki, kiedy pękły mu ostatnie szelki. Przeciągnął go przez szlufki w spodniach. Był w sam raz, ale dawał się zapiąć tylko na kluczyk. Konrad Muller względnie Schmidt opowiadał, że teraz bez przerwy się boi, że w nagłej potrzebie nie będzie mógł znaleźć kluczyka, na co pani Hommer poradziła mu, żeby nosił go na szyi na tasie.

Kiedy pan Hommer przeszedł na emeryturę i właściwie przez cały czas przesiadywał w domu, sytuacja Konrada Richtera względnie Schulza pogorszyła się o datki, które dotąd otrzymywał od pani Hommer.

— Tacy włóczędzy to ukryci milionerzy — powiadał pan Hommer. Anton L. nie bardzo wierzył, ponieważ zobaczył raz tego żebraka śpiącego pod mostem. Żebrak zerwał się na równe nogi i uciekł, mimo że Anton L. wołał za nim, że nic mu nie zrobi.

Czy taki Konrad Richter względnie Schulz w ogóle by zauważył, że wszyscy poza nim zniknęli? Na przykład gdyby akurat miał pomyślny dzień, zrobił zakupy, zaopatrzył się w wermut (ten po 80 fenigów butelka) i leżał sobie pod mostem, gdzie teraz już zupełnie nikt by mu nie przeszkadzał, czy brakowałoby mu łomotu tramwajów i niosącego się głucho pod mostem huku przejeżdżających górą aut? Kiedy się człowiek napije wermutu po 80 fenigów butelka, to niczego już więcej nie trzeba. Anton L. znał ten potworny trunek. Były czasy, kiedy denaturat wydawał mu się za mdły. Ale nawet wtedy dwie butelki wermutu po 80 fenigów wystarczały, by go zamroczyć. Przebudzenie było jednak apokaliptyczne — zdawało mu się, że otaczają go oślisze czerwone i czekoladowobrazowe maskary, wpatrując się w niego zimnym, badawczym spojrzeniem. Takie przebudzenie przypominało objawami kurację odwykową i już choćby z tego powodu w alko- holicznych okresach życia Antona L. wermut po 80 fenigów butelka był ostatecznością. Ale do czerwonych i czekoladowobrazo- wych maskar też można przywyknąć. O ile Anton L. zdołał się przyjrzeć Konradowi Richterowi względnie Schneiderowi, to ten już przywykł, a może nawet się z nimi zaprzyjaźnił. Toteż całkiem możliwe, że obudziliby się dopiero wtedy, gdy jakiś pasący się nad rzeką nosorożec, szukając pod mostem cienia w upalne południe (A może nosorożce nie szukają cienia? Trudno im chyba nabawić się udaru. Anton L. widział raz nosorożca stojącego bez ruchu pod palącym słońcem; słońce nie przenika widocznie przez pancerz, ale jak trafi się cień, to może i nosorożec się tam udaje) napotkałby go śpiącego i lekko trącił rogiem. Konrad Meier względnie Schneider zerwałby się pewnie z wrzaskiem na równe nogi — wśród maskar po przebudzeniu nie było jak dotąd nosorożca — i zanim nosorożec zdążyłby się zdumieć czy przestraszyć, pognałby w górę po stromiźnie brzegu. Może krzycząc w dalszym ciągu wniebogłosy biegłby dalej ulicami — nosorożec już dawno by o nim zapomniał, wracając do szczypania trawy — walać do wszystkich drzwi po drodze i dopiero po kilkunastu bramach i drzwiach do sklepów zorientowałby się, że z niewyjaśnionych powodów wszystkie są w biały dzień pozamykane na głucho i nigdzie nie widać żywej duszy.

Człowiek taki jak Richter względnie Huber, który jest całkiem sam i zawsze musi się mieć na baczności, wszystko odnosi do siebie. A zatem fakt, iż jak okiem sięgnąć nie widać żywej duszy, zrozumiełby jako ostrzeżenie, że trzeba uważać. Początkowo byłby więc może jeszcze ostrożniejszy, niż kiedy żył wśród ludzi. Szedłby czy skradał się tuż pod ścianami domów swojskiej i znajomej od dawna dzielnicy; może byłaby to Lodiska-Strasse przytykająca jedną stroną do parku, im dalej, tym coraz węższa i nędzniejsza, po przejściu pod wiaduktem wychodząca na Kon- kourgi-Strasse, od której zaczyna się już zupełnie inna dzielnica, albo może skręciłby w Abenceragen-Strasse, gdzie jest wielki basen i zagony z warzywami. Tam też nie byłoby nikogo. Basen oczywiście nie interesowałby Konrada Hubera względnie Schmidta, ale może czując głód zajrzałby na zagony. Nie odważyłby się wybić szyby w sklepie, ale z pola wzięłby sobie na pewną jakąś rzodkiewkę czy parę marchewek.

— Chociaż nie, chyba raczej nie — pomyślał Anton L. Konrad Meier względnie Schmidt miał tak łagodną i szczerą twarz. Taki człowiek nie tylko nie potrafiłby wybić szyby w sklepie, ale nawet nie przeszedłby przez płot, żeby ukraść rzodkiewkę czy parę marchewek. Konrad Muller względnie Schmidt, uświadomiwszy sobie jasno, że jest na świecie sam, mógł zrobić tylko jedno: wpaść w rozpacz. Wszystko inne wydałoby mu się niegodne. Konrad Muller względnie Schmidt umarłby z głodu, ponieważ był urodzoną ofiarą, umarłby łagodnie jak baranek, na którym cyniczny aż do końca świat wyładowuje swą brutalną złość.

— Zupełnie co innego, gdyby jedynym ocalonym był na przykład papież w Rzymie... — pomyślał Anton L. Znał Rzym (a raczej głównie rzymskie burdele, ponieważ był tam w takim, a nie innym okresie swego życia), ale o prywatnym życiu papieża wiedział oczywiście równie mało, co przeważająca większość ludzi.

Wiedział, że papież mieszka w Watykanie. (A może pod koniec czerwca jest już w Castel Gandolfo?) Podobno usługują mu zakonnice. Anton L. wyobraził sobie, jak Jego Świątobliwość Paweł VI Montini budzi się w zeszły wtorek, który w Rzymie też był pewnie piękny i pogodny, i daremnie przywołuje jakąś zakonnice. O której papież by wstał? Zawsze słyszało się, że o- gromnie dużo pracuje dla dobra Kościoła i wstaje już o piątej rano. Niemożliwością jest wstać z własnej woli o piątej. Ktoś musiał go zatem budzić. Prawdopodobnie w swojej skromnie umeblowanej, ozdobionej tylko paroma freskami Rafaela sypialni, papież nie miał budzika. Budzik miała pewnie dyżurna zakonnica. Nastawiała go na wpół do piątej i budziła Jego Świątobliwość punktualnie o piątej, ani sekundy wcześniej i ani sekundy później. Gdyby jednak owego 26 czerwca budzik na próżno dzwonił o wpół do piątej w pokoju dyżurnej zakonnicy, której już by nie było, nikt nie obudziłby papieża, i ten zerwałby się¹ w którymś momencie przerażony, kiedy jaskrawe promienie rzymskiego słońca, wdzierające się przez szparę w zasłonach, zaczęłyby igrać na freskach Rafaela. Papież ma pewnie zegarek na ręku i pewnie by na niego popatrzył i stwierdził, że jest, powiedzmy, piętnaście po ósmej. Zakląć chyba by nie zaklął, ale niewykluczone, że naciskając guzik dzwonka do pokoju dyżurnej — coś takiego na pewno miał — groźnie zmarszczyłby brwi. Ale ten dzwonek także dzwoniłby na próżno... Wszystko do tej chwili mogło rozgrywać się prawie dokładnie tak, jak to sobie wyobrażał Anton L. Ale co działałoby się dalej? Trudno powiedzieć. Dostycie nieprawdopodobne, żeby papież powiedział: teraz to i tak wszystko jedno, i odwrócił się na drugi bok. Przepuszczalnie podniósłby się z łóżka i próbował skontaktować się przez telefon, który na pewno ma w pokoju, z monsignorem albo z sekretarzem czy innym duchownym, mającym pod sobą papieskie gospodarstwo. Ale telefon już by nie działał. Czy dwieście siedemdziesiąty władca Stolicy Piotrowej narzuciłby wówczas szlafrok, wsunął stopy w kapcie (ozdobione znakiem krzyża?) i poszedł sprawdzić, co się dzieje? Bądź co bądź niewykluczone, że papież poczułby głód. Z pewnością w pobliżu komnat papieskich była też jakaś niewielka kuchnia. Być może do niej — zakładając, że wiedział, gdzie ona jest — skierowałby swe kroki. W szlafroku, w wyszy-

wanych w krzyże rannych pantoflach (oczywiście z białą piuską na głowie, bez niej nie sposób go sobie wyobrazić; albo w niej śpi, albo zakłada ją automatycznie, gdy tylko otworzy oczy) błądziłby po dudniących echem, marmurowych labiryntach pałacu watykańskiego, znalazłby wprawdzie kuchnię, ale do tego czasu zapomniałby o głodzie, bo przez całą drogę nie spotkałby żywego ducha, żadnej zakonnicy, kardynała, monsignora, żadnego żołnierza gwardii szwajcarskiej — nikogo. Oczywiście w ogóle nie potrafiłby sobie tego wyjaśnić. Raz po raz wyglądałby przez okno: ogrody Watykanu i w ogóle cały Watykan są raczej zawsze ciche i puste, ale plac św. Piotra... Papież nigdy jeszcze nie widział, żeby był aż tak pusty, a przecież to nie południe, kiedy słońce praży bezlitośnie na marmurową nieckę placu.

Na placu nie byłoby nikogo, również pod kolumnadą Berni- niego, gdzie panuje cień, żadnego turysty, karabiniera, żadnego żebraka. Obydwie fontanny szemrzą, poza tym nigdzie śladów życia. Pontifex Maximus pobiegnie dalej. W jednym z korytarzy w pobliżu kaplicy Mikołaja V, pod freskiem przedstawiającym męczeństwo św. Amonii (autorstwa Vasarięgo? Pinturicchia? Ig- nazio Sterna?) papież gubi jeden z rannych pantofli. Ponieważ idzie po dywanach, zauważy stratę dopiero na kamiennych schodach (pod późnoromańską kopią „Dyskobola” Marona), ale pójdzie dalej, spróbuje ściągnąć windę — która nie działa — pośpieszy schodami w dół, przejdzie przez puste podwórce budowane przez Vignolę, Baldassarre Peruzziego, Bramantego oraz Antonio Sangallo młodszego i wreszcie znajdzie się w bazylice św. Piotra. Mały papież, na wpół bosy, będzie odpoczywał pod niewyobrażalnie monumentalną kopułą Michała Anioła. TU ES PETRUS ET SUPER HANC PETRAM EDIFICABO ECCLESIAM MEAM... — głoszą mozaikowe litery na wstędze biegnącej po krawędzi kopuły. Paweł VI podkuli nogę, na której nie ma kaptura. Posadzka jest zimna — ...ET TIBI DABO CLAVES REGNI COELORUM. Wprawdzie wówczas ludność świata będzie w 100 procentach wyznania rzymskokatolickiego, lecz papieżowi będzie się zdawało, jakby ciężar tego przeogromnego kościoła spoczywał teraz dosłownie tylko na jego barkach, i nie tylko spoczywał, będzie miał wrażenie że musi nim balansować, zupełnie jakby odwróciła się piramida hierarchii...

Anton L. był katolikiem, a mówiąc dokładniej ochrzczony został w wierze katolickiej, tak też był wychowywany i raz nawet przechodził okres gwałtownej i głębokiej pobożności (tuż przed pierwszym okresem alkoholycznym). Doskonale pamiętał obrządek rzymskokatolicki, ale na mszy nie był już od bardzo dawna.

— Jeśli miasto o takiej wielkości traci wszystkich mieszkańców, a nadal nadaje się do zamieszkania, to coś takiego nie może pozostać nie zauważone — zastanawia się Anton L. (Miał tu na myśli miasto, w którym mieszkał, a nie Rzym) — Trzeba zatem przyjąć, że reszta świata też została osierocona. Czy wobec tego jestem Piotrem? Sukcesja apostolska, czyli nieprzerwany łańcuch błogosławieństwa święceń kapłańskich od apostołów poczynając, aż do Pawła VI, który pewnie wcale nie stoi na wpół boso w bazylice św. Piotra, tylko zniknął bez śladu wraz z innymi, ta apostolska sukcesja nie zostałaby przerwana, gdyby bierzmowanie, które otrzymałem z rąk biskupa, przemianować na sakrę biskupią... Prawo kanoniczne tego pewnie nie przewiduje, ale skoro jest chrzest z wody, to może być też święcenie w nagłej potrzebie... Ale nawet abstrahując od tego, przynależę przecież do jedynego zbawienie dającego Kościoła, a skoro poza mną nikt do niego nie przynależy, no to chyba ja jestem tego Kościoła najwyższym zwierzchnikiem. Papież Anton. Nie, od półtora tysiąca lat każdy papież z chwilą wyniesienia do tego urzędu przyjmował nowe imię. Może nazwać się Pius XIII? Może Jan XXIV? Albo Leon XIV? Ilu było Benedyktów? Piętnastu czy szesnastu? A Grzegorz? Anton L. postanowił przy najbliższej okazji poszukać w księgarni jakiejś historycznej książki o papieżach.

X. TRUDNO ZŁAPAC SONIĘ

Pomimo swoich idiotycznych nawyków i osobliwych okresów, Anton L. nie był człowiekiem niepraktycznym. Wprawdzie nie był praktyczny w sensie umiejętności — nie miał absolutnie żadnych uzdolnień technicznych — ale, przynajmniej niekiedy, wykazywał zmysł praktyczny. Wynikało to być może z jego skłonności do autoanalizy. Takie autoanalizy były niezmiennym składnikiem, wręcz instytucją w życiu Antona L., elementem stale obecnym od chwili, gdy ukończył czternaście, a może nawet dziesięć lat. Dzielili się na dwa rodzaje (Anton L. także i to zanalizował); Anton L. nazwał je odpowiednio: analizą spontaniczną i zamierzoną. Analiza spontaniczna przebiegała u Antona L. nie inaczej niż u innych — niegdysiejszych — ludzi, którzy od przypadku do przypadku zastanawiają się nad sobą. Z jakiegoś tam powodu zaczynamy rozważać, dlaczego postąpiliśmy tak, a nie inaczej, dlaczego, dziś jest nam dobrze, a wczoraj było źle. Szczególnym darem psychiki Antona L. była analiza zamierzona (a zarazem przyjemnościowa). Wymagała ona dłuższych przygotowań. Jej przedmiot — oczywiście nieodmiennie jakiś aspekt obfitującej w problemy osobowości Antona L. — był precyzowany przez kilka dni, względnie odbywało się gromadzenie materiału. Stopniowo wykrystalizowywał się korzystny moment (powiedzmy niedzielny ranek w łóżku) i kiedy nadeszła odpowiednia godzina, Anton L. - pogrążał się z rozkoszą w obserwacjach swojej duszy, co prowadziło częstokroć do stanu granicznego z oszołomieniem, który potem przechodził w poczucie wyjałowienia, oczyszczenia i przyjemnego wyczerpania. Niekiedy Anton L. nie potrafił sobie odmówić tej przyjemności, by, po krótkiej przerwie na odpoczynek, powtórzyć całą analizę od początku w formie już skróconej, a przez to bardziej zwartej, co często sprawiało mu nawet większą przyjemność niż za pierwszym razem. Odkąd L. został sam, nie dokonał jeszcze żadnej zamierzonej, czyli przyjemnościowej analizy, ale miał oczywiście kilka spontanicznych. Jedna z nich dotyczyła jego stanu zdrowia. Jak pamiętamy, przed południem, 26 czerwca, Anton L. zarejestrował groźne pomruki splotu słonecznego. W normalnej sytuacji przerodziłoby się to w obrzęk splotu słonecznego, który wskutek dość ciepłej pogody miał szansę utrzymać się przez osiem do czternastu dni. Do tego jednak nie doszło. Splot słoneczny i pozostałe bardzo liczne ogniska chorobowe w ciele Antona L. zachowywały się spokojnie. Odnośna analiza po raz pierwszy zrodziła w nim poważne wątpliwości co do natury i źródeł jego chorób. Ale ważniejsza była druga spontaniczna analiza. Anton L. zrozumiał, że jeśli chce ustrzec się od spustoszenia, od psychicznego zdziczenia w zaistniałej sytuacji, musi sobie zaaplikować jakieś, zadanie. („Plan zająć”,

określił to w myślach. Urzędnicze nawyki tkwiły w nim głębiej, niż można się było spodziewać.) Rezultat tej autoanalizy był bez wątpienia prawidłowy i dowodził wspomnianego już zmysłu praktycznego Antona L., jaki mimo wszystkich swych dziwactw posiadał.

Zanim Anton L. opracował sobie plan zajęć na najbliższe dni, dokonał pewnych obliczeń: w poniedziałek, ostatni dzień przed zagadkowym zniknięciem pozostałych mieszkańców Ziemi, był 25 czerwca, we wtorek był 26, środę przespał, wobec tego przygoda z niedźwiedziem wypadła przypuszczalnie w czwartek, to znaczy 28, 29 przeniósł się tutaj, to było wczoraj, czyli że dziś była sobota 30 czerwca. Anton L. rozważył też krótko ewentualność, że przespał w zamroczeniu dwa dni, wówczas byłaby dziś niedziela 1 lipca. Potem zdecydował się jednak na 30 czerwca. Wziął mażak, który znalazł wśród rzeczy pozostawionych przez pana Pfeivestla, i w salonie, na jasnym miejscu tapety pomiędzy oknami, zapisał datę, którą wybrał. Obok zanotował: strzelanie do psów. (Po kilku dniach Anton L. przyniósł z recepcji duży terminarz ze zdzieranymi kartkami i korzystał z niego, nie zarzucając jednak lakonicznego dziennika na ścianie. Terminarz z recepcji pokazywał dzień 26 czerwca. A więc albo portier „nastawił” terminarz na następny dzień już 25 pod koniec pracy, albo pedantyczny nocny portier zerwał kartkę z datą 25 tuż po północy, niecałe dwie godziny przed dematerializacją.)

„Plan zajęć” przewidywał rekonesanse po trasach ułożonych w koncentryczne kręgi. Anton L. zamierzał najpierw przebadać gruntownie hotel, potem ulice w bezpośredniej bliskości, później kolejne najbliższej położone ulice i tak dalej. Przy zachowaniu niezbędnej ostrożności chciał następnie — za kilka tygodni -r- zlustrować, korzystając z auta Derendingerów, najbliższe, a w miarę możliwości, także dalsze okolice miasta. (Bardzo szybko „plan zajęć” został przekreślony, ale można też powiedzieć, że wzbogacony; koncentryczne kręgi przecięły trasy rozchodzące się promieniście; właściwie przez długi czas Anton L. nie odchodził zasadniczo od swojego „planu”, definitywnie nie zarzucił go nigdy)-

Zatem jeszcze przed obiadem Anton L. zajął się pierwszym kręgiem swojego „planu zajęć”. Przeszedł przez wszystkie kory

tarze, zajrzał do pomieszczeń gospodarczych, pokoi herbaciarek, spiżarni, od czasu do czasu wchodził do pokoi hotelowych, chociaż to go właściwie mniej interesowało. Krótka spontaniczna autoanaliza wykazała, że nadal jeszcze czuje się skrepowany, kiedy, natrafia na szczątki, to znaczy na pozostałe po zdematerializowanych gościach części garderoby. Te ubrania wciąż były Ala niego jak zwłoki. Uczucie to wzmoгло się jeszcze, kiedy w którejś z wind pod zmiętą kupką smokinga znalazł protezę nogi. Znaleźisko dostarczyło jednak też pewnych danych o samej katastrofie: dematerializacja musiała nastąpić męmentalnie, ponieważ proteza utkwiała w szparze zasuwanych drzwi windy, które przez to nie całkiem się zamknęły. Z położenia sijnokingu oraz laski — hebanowej ze srebrną gałką — można było wywnioskować, że właściciel protezy właśnie wysiadał. Noga z protezą była już za drzwiami. Potem musiała nastąpić błyskawicznie dematerializacja, ponieważ garderoba leżała jeszcze w kabinie. Trochę dalej, pod zeschniętą już teraz palmę potoczył się monokl. Musiał należeć do mężczyzny z protezą, ponieważ na tym korytarzu nie było już żadnej innej garderoby...

...chyba że — pomyślał Anton L. — rozgrywała się tu jakaś bulwarowa komedia i nagi facet w monoklu stał ukryty za palmą.

Inne, nie przerażające, a raczej budzące współczucie odkrycie zrobił Anton L. po obiedzie (ugotował sobie zupę gulaszową i otworzył do tego — zestaw własnego pomysłu — puszkę pieczarek; zjadł pieczarki razem z olejem i octem, potem znów wyrzucił naczynia przez okno) w pomieszczeniach sutereny, wychodzących na wewnętrzne podwórko. W dużym pomieszczeniu stało ponad trzydzieści klatek, w których siedziały na pół zagłodzone i całkiem zaleknione zające. Prawdopodobnie w menu na 26 czerwca albo na dzień następny przewidziano pieczeń z zającą. Anton L. pootwierał klatki. Nie od razu zwierzęta odważyły się wyjść. Niektóre były tak osłabione, że Anton L. musiał je wyjmować. Żaden z zającey nie zdechl, wprost przeciwnie, jedna z samic nawet się okociła. Początkowo Anton L. zamierzał otworzyć kilka puszek z marchewką i rozsypać zawartość na podłodze, ale potem przyszły wątpliwości. Może konserwowa marchewka zaszkodzi zającóm? Otworzył drzwi na wewnętrzne podwórko, a tam furtkę

mm

do sporego nawet ogrodu. Ogród z trzech stron otoczony murem, a z jednej graniczący z niskimi budynkami nie należącymi już do hotelu, najwyraźniej nie był przeznaczony dla gości, raczej spełniał rolę rekreacyjną dla personelu. Dużą jego część stanowił warzywnik. Zające bardzo szybko zwietrzyły drogę na świeże powietrze i pokicały do ogródka, gdzie od razu zabrały się do rosnącej na grządkach sałaty. W tym momencie Anton L. przypomniał sobie o Soni. To było pierwsze promieniste przekreślenie koncentrycznych kręgów „planu zajęć”. Anton L. wziął strzelbę, nałożył deerstalkera i pojechał wozem Derendingerów na Fanis-ka-Strasse 2.

Po drodze nie było żadnych niespodzianek. Ulice, którymi przejeżdżał — wybrał oczywiście trasę najkrótszą — były ciche i spokojne i wyglądały niewiele inaczej niż we wczesne niedzielne przedpołudnie dawno już, jak się zdawało, minionych czasów, kiedy to żyli jeszcze inni ludzie. Tu i ówdzie Antonowi L. wydawało się, że znowu widzi zielonkawy meszek bardzo delikatnej trawy wypełniającej szczeliny w bruku na ulicach nie wylanych asfaltem. W paru miejscach asfaltowej jezdni pojawiły się dziury i pęknięcia. Zwierząt prawie nie było. Tylko raz Anton L. natknął się na sferę psów. Zatrzymał wóz, ale zanim zdążył sięgnąć po broń leżącą na tylnym siedzeniu, psy już uciekły. Widział natomiast bardzo dużo ptaków, a przy moście, tuż przed Faniska-Strasse, stała sarna, która słysząc nadjeżdżający samochód, na moment zamarła, a potem rzuciła się w zarośla porastające brzeg rzeki.

W domu było cicho. Anton L. ostrożnie wszedł do środka trzymając broń w pogotowiu, ale widocznie nic się tu jednak nie zagnieździło. Wychodząc ostatnim razem Anton L. zamknął drzwi mieszkania na klucz. Otworzył je teraz. Zapachniało stęchlizną i kurzem, czuć też było lekki fetor. (Być może zaczęły się psuć jakieś produkty z zapasów zgromadzonych przez Antona L.) Sonia jeszcze żyła. Siedziała bez ruchu na swoim kamieniu i patrzyła po stycznej do głowy Antona L.

— No tak... jak tu ją przetransportować? — Anton L. spróbował unieść klatkę. Nie udało mu się; wykluczone, żeby zdołał znieść klatkę razem z legwanem trzy piętra w dół do samochodu. W kuchni wisiała siatka na zakupy zdematerializowanej pani

Hommer (której atomy astralne uwijały się teraz być może gdzieś wśród dalekich Mlecznych Dróg) oraz dużych rozmiarów torba o tym samym przeznaczeniu. Anton L. wziął siatkę i spróbował zarzucić ją na Sonię. Sonia jednym błyskawicznym ruchem smyrnęła do swojej kryjówki pod dużym kamieniem. Anton L. postanowił użyć podstępu. Z dużym mozolem rozpostarł siatkę na zakupy przed otworem jamy i postukał od tyłu w kamień. Sonia nie wychodziła. Zastukał mocniej. Legwan ani myślał wyjść. Anton L. wziął więc na sposób. Nappełnił wodą szesnastokątny czajnik i zaczął powoli wlewać ją przez siatkę do kryjówki Soni.

— Na pewno nie zrobię jej krzywdy, ale może będzie to dla niej na tyle nieprzyjemne, że w końcu wyjdzie — pomyślał Anton L. Rzeczywiście, musiało to być nieprzyjemne. Kiedy Anton L. poszedł nabrać wody po raz drugi, Sonia wystrzeliła spod kamienia, wyrwała siatkę z mizernych zaczepów i wyskoczyła z klatki (Anton L. nie zasunął szklanej płyty przykrywającej). Nie nawykła do gładkiego linoleum, którym wyłożona była weranda Hommerów, Sonia poślizgnęła się, zaszamotała (wszystko z błyskawiczną szybkością), poderwała z powrotem i znikła pod ławo-skrzynią, czy jak inaczej nazwać ten mebel.

Anton L. zakręcił kran i rozpląszczył się na podłodze. Legwan wcisnął łeb w najdalszy kąt i oddychał ciężko z przerażenia. Anton L. mógł dosięgnąć ręką ogona. Delikatnie schwycił go ręką. Sonia ani drgnęła. Delikatnie pociągnął za ogon. Legwan pozwolił się ciągnąć po śliskim linoleum, na którym stała także ławo-skrzynia. Anton L. prawie już wyciągnął Sonię spod mebla, kiedy zwierzę znów wykonało błyskawiczny, zdumiewająco gwałtowny rzut ciałem i pomknęło do kuchni. Anton L. skoczył za nią. Legwan zniknął. Anton L. przeszukał całą kuchnię. Soni nie było. Anton L. poszukał jeszcze raz. Ponieważ drugie drzwi kuchni, prowadzące na korytarz, były zamknięte, Sonia musiała być gdzieś tutaj. Anton L. zajrzał pod wszystkie meble, zajrzał do kredensu, a nawet do piekarnika i kubła na śmieci. Soni ani śladu. Kiedy Anton L. usiadł na dawnym taborecie Hommerów, żeby zastanowić się nad tą zagadką, zobaczył, że Sonia „ukryła się w dużej torbie na zakupy, którą postawił przedtem na podłodze. Anton L. zasunął zamek błyskawiczny i zaniósł legwana do samochodu. Kiedy był już na dole, przyszło mu do

głowy, że Sonia może się udusić. Wrócił się więc po nożyczki, Wchodząc na górę wpadł nś pomysł, żeby wszystko podpalić. Zastanowił się, czy któraś z jego rzeczy zasługuje na ocalenie, względnie zabranie stąd. Nic mu nie przychodziło do głowy _____ chociaż tak, może ta ze szczególną, by tak rzec, starannością sprana kamizela z szarej wełny. Koniec końców zdecydował się jednak zrezygnować z niej, aby nie stawić pod znakiem zapytania „absolutności” przeprowadzki. Nawet nie wszedł do siebie, wziął tylko nożyczki i podpalił zasłonę w dużym pokoju. Zapalki znalazł koło maszyny gazowej. Płomienie szybko pięły się w górę. Anton L. zbiegł po schodach i wjechał samochodem Derendingera w najbliższą przecznicę (pod prąd w ulicę jednokierunkową), ale tylko na tyle, żeby nie stracić z oczu domu pod numerem 2. Wycinając z największą ostrożnością kilka otworków w torbie z legwanem, obserwował okno dużego pokoju Hommerów. Początkowo przez szpary sączył się delikatny, jasnoszary dymek, ale potem wszystko ustało. Po upływie jakichś trzydziestu minut znużyło mu się. Wziął z siedzenia strzelbę. Już drugim strzałem rozbił szybę. Buchnął kłęb jasnoszarego dymu, ale więcej nic się nie stało. Widocznie ogień nie zdołał się na nic przerzucić. Antonowi L. nie chciało się wzniecać nowego pożaru. W końcu był to tylko chwilowy kaprys. Patrzył jeszcze przez kilka minut, potem odłożył strzelbę na tylne siedzenie, to samo zrobił z torbą, i pojechał z powrotem do hotelu. Na ulicy Lowengraben sfera psów przebiegła przed samochodem przez jezdnię. Antonowi L. udało się jednego przejechać. Poza tym w drodze powrotnej również nie było niespodzianek.

W hotelu Anton L. nie miał oczywiście szklanego terrarium dla Soni. Dlatego też zdecydował się umieścić ją w dwuosobowym pokoju nr 14, naprzeciwko swojego apartamentu. W pokoju tym nocowało holenderskie małżeństwo z Hagi o nazwisku Cuypers. (Anton L. znalazł paszporty w odpowiedniej przegródce w recepcji). Państwo Cuypers przyjechali 25 i zamierzali zostać do 29-go. Pan Cuypers miał na imię Philip i liczył lat pięćdziesiąt sześć, pani Cuypers miała na imię Margriet i liczyła sobie lat czterdzieści jeden. Pan Cuypers lubił garnitury w kratę, pani Cuypers nosiła rzeczy prawie wyłącznie w brązie. Jedynie niemal całkowicie przezroczysta, długa do ziemi koszula nocna pani

Cuypers była złocistożółta. Przez długi czas myśli Antona L. zaprzątało osobliwe znalezisko: w łóżku państwa Cuypers leżała trzcinowa trzepaczka do dywanów. Czy był to instrument pozostawiony w łóżku omyłkowo przez obsługę, którego śmiertelnie znużony być może pan Cuypers nie zauważył wieczorem 25 czerwca? Czy może perwersyjny przyrząd erotyczny?

Jeszcze przed kolacją Anton L. uprzątnął z pokoju nr 14 wszystko, co jego zdaniem mogło przeszkadzać Soni, a więc ubrania, pościel i przybory toaletowe (może jednak te ostatnie bardziej przeszkadzały jemu?), i wyrzucił przez okno na wewnętrzne podwórko, gdzie rozsypały się po szklanym dachu kuchni. W terrarium u Hommerów Sonia miała żwir. Anton L. przypomniał sobie, że niedaleko miejsca, gdzie rozjechał psa, były jakieś roboty drogowe. W cynkowej wanience, która z ledwością weszła do ciasnego samochodu Derendingera, Anton L. trzykrotnie przywoził stamtąd żwir. Nie była to już praca ale ciężka harówka, bo cynkowa wanienka pełna żwiru ważyła niemało. Ale Anton L. podjął się tego, bo chciał stworzyć legwanowi warunki, do których ten był przyzwyczajony. Pośrodku pokoju nr 14 usypał spłaszczony u góry kopiec żwiru. Było go dużo więcej niż w terrarium pana Hommera. Przez następne dni Anton L. zwoził przy okazji kamienie i gałęzie, które rozkładał w pokoju. Sonia nie umiała tego docenić. Prawie cały czas przesiadywała pod łóżkiem.

Siadając dosyć późno do kolacji w dużej sali jadalnej, Anton L. był porządnie zmęczony. Mimo to obszedł jeszcze potem — było już całkiem ciemno — grupę domów między dwiema przecznicami, która[^] w połowie, a nawet więcej, składała się z hotelu i stojącego obok niego budynku. Na miasto opadła już gęsta sieć tajemniczych odgłosów, dobiegających z bliska i całkiem z daleka, będących jakby skrzypieniem zawiasów nocnego życia. Anton L. zabrał wprawdzie strzelbę, ale nie napotkał żadnego niebezpieczeństwa, choć oczywiście w mroku trzepotały i przemykały niezliczone cienie. Pobieźnie zbadął przewidziany na jutro (w „planie zajęć”) koncentryczny krąg. Przy tej okazji natknął się na niewielki, ale wyjątkowo ekskluzywny sklep ze słodyczami i spirytualiami i to — Anton L. przyjrzał się karteczkom z cenami w świetle latarki, którą zabrał z radiowozu na Medeastrasse — najlepszych i najdroższych gatunków. Mimo

że zjadł wcale niemało, poczuł dojmujący głód, a raczej dojmujące łakomstwo. Myszkował po półkach, zabierając w końcu dwa ogromne pudła czekoladek i butelkę winiaku malinowego marki Schladerer. Jeszcze w sklepie zjadł ponad dwadzieścia marcepanowych kartofelków i trzy marcepanowe zabki leżące luzem (ale pod celofanem) na tacy.

W hotelu, tak jak poprzedniego wieczora, Anton L. zapalił w salonie świece i czytając książkę o rzymskich papieżach, zabraną po południu z księgarni, obok której przejeżdżał, wracając do hotelu z Sonią, zjadł obydwie pudła czekoladek i wypił niemal połowę winiaku, pof którym przed jego oczami pojawiła się zmarła, a raczej zdematerializowana Margriet Cuypers w swej przezroczystej złocistożółtej koszuli nocnej. Rozchybotana jak płomień świecy, stała na cynkowej waniencie ze żwirem, potem zaczęła się z wolna nadymać — we śnie wydało się to Antonowi L. niezwykle erotyczne — aż wreszcie nocna koszula pękła i rozlała się jako elektryzująca masa po silnie podnieconym Antonie, który zaraz się jednak ocknął, ponieważ chwyciły go —■ tym razem chyba prawdziwe — kurcze żołądka.

Anton L. leżał na podłodze salonu w swoim apartamencie. Wszystkie świece się wypaliły, poza jedną, która też już prawie dogorywała. Anton L. poustawił nowe świece, potem łąził zgięty wpół po salonie, usiłował poleżeć na kanapie, ale dostał od tego jeszcze silniejszych kurczów, wypróbował wszelkie możliwe pozycje i w końcu znalazł chwilowo najodpowiedniejszą: leżenie na brzuchu w fotelu, głową do dołu, z nogami sterzcącymi sztywno w górę. Długo tak nie wytrzymał, ale ucisk żołądka jakoś potem zelżał.

Anton L. zaczął chodzić po salonie tam i z powrotem. Wziął do ręki książkę o rzymskich papieżach i czytał chodząc, po chwili odłożył ją, wziął książkę, którą przyniósł sobie wczoraj, przeczytał akapit i też ją odłożył. Przy tej okazji wypadł list, znaleziony wczoraj w nadwornej wytwórni świec.

Podniósł list i ponownie go otworzył: „Drogi panie Ludwigu, tym razem się nie mylę, to, czego szukamy, istnieje. Być może już jutro do tego dotrę. Proszę mi szybko zwrócić...” tu następowало słowo, które wydawało się Antonowi L. zagadkowe, ale

wcale zagadkowe nie było: po prostu list był pisany odręcznie, widocznie w pośpiechu i być może na nieodpowiednim podkładzie, więc słowo to opierało się czytaniu. Teraz przestało. Słowem tym była „karta”. „Proszę mi szybko zwrócić kartę, nie później niż do 10.30. Pozdrowienia, pański C.”

Anton L. postanowił włączyć pana Ludwiga C. oraz kartę w koncentryczne kręgi swojego planu zajęć.

XI. KĄPIEL W WANNIE WE FROSINONE

Okres ładnej pogody nie trwał nawet do połowy lipca. Sierpień także był deszczowy i raczej chłodny. W pałacowym ogrodzie, który znajdował się niedaleko za hotelem, na skraju dawnego centrum miasta, i bardzo szybko znalazł się w jednym z koncentrycznych kręgów „planu zajęć” Antona L., trawa była wysoka po kolana. W wielu miejscach rozpleniły się bujnie chwasty. Któregoś razu rzeka wystąpiła na kilka dni z brzegów — może z powodu obfitych opadów woda przelała się przez jakąś zaporę w górach, bo nikt nie regulował jej przepływu tak że nawet na Anakreon-Strasse brodziło się do kostek. Pojawiło się mnóstwo ptactwa wodnego. Krawaty pana Pfeivestla zniknęły bezpowrotnie.

Rzeka, która zresztą była teraz czysta jak górski strumień, naniosiła na ulice muł. Nie minęły dwa tygodnie, a na nim też wyrosły chwasty. Zarośla na brzegach rzeki zaczęły tworzyć nieprzebytą gęstwinę, a na kopule pałacowego kościoła wyrosło małe drzewko. Którejś nocy pod koniec sierpnia — Anton L. od dawna już przestał się bać* nodnych odgłosów — na Anekreon- -Strasse rozległ się gwałtowny huk, któremu towarzyszyły trwające przez czas jakiś łomoty. Kiedy Anton L. poszedł następnego dnia sprawdzić, co się stało, zobaczył, że zawalił się rząd domów w wąskiej uliczce leżącej w pobliżu rzeki. Widocznie powódź podmyła fundamenty.

Już pod koniec lipca Anton L., teraz już wytrawny strzelec, położył dwieście kroków od hotelu wilka. Bardziej dokuczliwe były mrówki, przed którymi Anton L. musiał ukryć w hotelu

resztę bombonier i czekoladek z ekskluzywnego sklepu ze słody, czarni.

Sonia chowała się wspaniale. Wprawdzie nadal jeszcze jej ulubionym miejscem pobytu był mroczny kątek pod łóżkiem, ale od czasu do czasu siadywała też na którymś z kamieni albo konarów przyniesionych przez Antona L. Sonia najbardziej lubiła kompot z wiśni, którego spory na szczęście zapas znajdował się w spiżarniach hotelu. Co dwa dni Anton L. otwierał jej nowy słoik względnie puszkę.

29 sierpnia (według rachuby Antona L.), w środę przed południem, kiedy Anton L. przyniósł Soni wiśnie, legwan powiedział wyraźnie: Dziękuję. Anton L. wzdrygnął się jak po zimnym prysznicu i zapytał na głos: Co proszę? Ale legwan jak zwykle patrzył po stycznej tuż obok jego głowy.

Kociej rodziny z hallu Anton L. nie musiał żywić. W piwnicach było dosyć myszy. Zające rozprzestrzeniły się po całej okolicy, aż po pałacowy ogród. Kiedy po powodzi Anton L. poszedł nad rzekę, zobaczył w wodzie dwa duże pstrągi. Naprowadziło go to na myśl, żeby ze sklepu myśliwskiego, w którym były też akcesoria wędkarskie, wziąć wędkę i podręcznik łowienia ryb. Brzydził się trochę nabijając robaka na haczyk, ale zaraz w pierwszym razem złapał rybę, którą później upiekł w hotelowej kuchni. Oczywiście dawno już myślał o tym, żeby ustrzelić sobie jakąś pieczeń, ale zaczęło się niepomyślnie. Pośpieszył się za bardzo i zastrzelił świnię, która skubała trawę rosnącą między kamieniami bruku wokół pomnika Kurfirsta, tego w pobliżu nadwornej wytwórni świec. Potem nie wiedział, co z nią zrobić.

— Może za dużo chciałem od* razu? — pomyślał sobie wówczas. Wobec tego strzelił śrutem do jednej ze zdziczałych kur, których dość pokaźna ilość kręciła się po ulicach położonych bliżej rzeki. Tym razem przeszkodą okazało się to, że nie wiedział, jak się skubie kury. Spróbował upiec ją razem z pierzem, ale zrobił się tak okropny smród, że wyrzucił -przez okno kurę razem z patelnią. Po tym wszystkim polował już tylko na psy. Już w lipcu zaczął prowadzić rejestr psich ofiar. Pod koniec sierpnia zastrzelił czterechsetnego. Przeważnie już następnego dnia po psim ścierwie, które Anton L. zostawiał zawsze tam, gdzie leżało, nie było śladu. Tylko kości białeły w zielsku, które zaczynało przebijać się przez asfalt.

W pierwszych dniach września pogoda zmieniła się radykalnie. Znowu zrobiło się ciepło, prawie jak w lecie, chociaż trudno było nie zauważyć, że tu i ówdzie liście drzew zaczynają tracić barwę.

Czwartej września — według rachuby czasu Antona L., a zatem mógł to być także 3 lub 5 września — w „planie zajęć” znalazł się rekonesans w rezydencji księcia elektora. Anton L. dość sumiennie trzymał się swoich koncentrycznych kręgów, natrafiając przy okazji na liczne sklepy ze słodyczami, dwa sklepy ze świecami i, co ważniejsze, na jeszcze jeden sklep myśliwski z bronią. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy były też wyprawy po trasach radialnych, o których musi być jeszcze i będzie mowa później, a które wiązały się z listem do pana Ludwiga. Prawie dokładnie w tym samym czasie (sekretny znak?), kiedy w „planie zajęć” Antona L. znalazła się rezydencja kurfirsta, zaprowadziły go też do niej rezultaty dotychczasowych badań i wypraw radialnych.

Wielka i ciężka brama z brązu wpuszczona była w zielonkawę ciosy głównego frontu rezydencji. W bramie były drzwi, również dosyć duże. Były zamknięte na klucz. Anton L. nie zdołał ich wyważyć, mimo że nabrał już znacznej wprawy w otwieraniu drzwi siłą. Wielkie kamienie ciosowe, poprzedzielane szerokimi szczelinami, ułatwiały wdrapanie się do któregoś z wysoko osadzonych okien parteru. Anton L. stłukł kolbą szybę jednego z nich, a następnie otworzył je od środka.

Każde miasto — jeśli nie zakazą mu tego zdziczali reformatorzy — przechowuje enklawy wieczności. Wie o tym każdy, kto wędruje przez miasto z oczami otwartymi na takie pomniki albo wręcz zajmuje się jego historią. Enklawy te mogą być większe lub mniejsze, może to być narożnik domu albo krypta w katedrze. To, że ta książęca rezydencja — konglomerat ułożonych jedna w drugiej, nad sobą i obok siebie warstw kolejnych stuleci — stanowi przeogromny, prawie nie dający się ogarnąć blok wieczności, Anton L. uświadomił sobie w jednej chwili, kiedy zeskakiwał z wysokiego parapetu na parkiet sali. Przez tych niewiele tygodni obraz miasta, przynajmniej tam, gdzie dotarł An-

ton L., uległ zmianie. Przyroda dokonała poważnych i głębokich; wylomów nawet tam, gdzie, jak sądził Anton L., było to niemożliwe, względnie nie powinno odbyć się tak szybko. A ta oto rezydencja księcia elektora pozostała nietknięta. Tutaj wszystko było tak jak dotąd. Starzec nie zmienia się, nawet zostając Robinsonem.

Pomieszczenie, w którym znajdował się teraz Anton L., należało do klasycystycznej (najmłodszej) części pałacu. Nie było w nim ani jednego mebla. Trzy ściany zajmowały kolosalne malowidła. Tłoczyli się na nich nadnaturalnej wielkości muskularni młodzieńcy o blond włosach, nieprzyzwoicie wręcz pulchne damy i nabite rumaki. Odnosiło się wrażenie, iż artysta chciał przedstawić więcej niż pozwalało na to miejsce (którego zresztą było właściwie pod dostatkiem). Tu i ówdzie wyrastał ponad tłumem jakiś jeździec, wśród sporadycznie pod prąd bieżących przed siebie szlachetnych blondynów torował sobie drogę ciemnoskóry młodzian o ponurym spojrzeniu. Spora część przedstawionych na malowidłach panów dzierżyła w dłoniach harfy.

Sąsiednie pomieszczenie, a także następne, ozdabiała podobne freski. Anton L. siedł po błyszczącym parkiecie. W obydwu dalszych pomieszczeniach także nie było mebli. Trzecia sala, największa z trzech, była narożna. Wielkie dwuskrzydłowe drzwi, nie zamknięte na klucz, wiodły do nieco starszej części pałacu, mianowicie do olbrzymiej klatki schodowej. Ogromne kamienne schody pięły się spiralą wiele pięter w górę. Kiedy Anton L. pozwolił zamknąć się skrzydłu drzwi, echo rozbrzmiało w odległych salach pałacu. Na niskim cokole u stóp wielkich kręconych schodów stała marmurowa bogini.

Anton L. wspiał się jedno piętro w górę. Tam przemierzył ciąg sal z XVIII w., okresu największej świetności tej rezydencji. Ciemne obrazy w matowo połyskujących złotych ramach pokrywały ściany: martwe natury z kwiatami, swawolne obrazki rodzajowe z nimfami, krajobrazy parkowe, portrety arystokratów w gronostajach lub zbroi. Jedna z sal urządzona była w stylu chińskim. Największa była jednak sypialnia. Naprzeciwko ściany z oknami stało nakryte jedwabną, wyszywaną w lilie kapą łożo, nad którym wznosił się baldachim z błękitnego aksamitu. Balustrada, przypominająca tę, przy której w kościołach udziela się komunii, oddzielała stojące na podwyższeniu łożo od reszty sypialni. Dwa rzeźbione w drewnie, pozłacane geniusze, każdy z fanfarą w dłoni, unosiły się po obu stronach łoża, podtrzymując baldachim. Sen władcy, do którego należało łożo, musiał mieć w sobie coś niebywale dostojnego, fanfarowego. Za baldachimem, tam, gdzie spływał on na ziemię, w boazerii umieszczone były małe, ledwie dostrzegalne drzwi. Anton L. przelażł przez balustradę, ostrożnie usiadł na łóżku (wzbiło się bardzo mało kurzu), pozostał tak tylko przez krótką chwilę, potem uniósł jedwabną kapę wyszywaną w lilie i ze zdumieniem stwierdził, że pod spodem jest prawdziwa powleczone pościel. Opuścił kapę z powrotem i skierował się do drzwi w ścianie. Nie były zamknięte i prowadziły tylko kilka stopni w dół na pozbawiony jakichkolwiek ozdób korytarzyk, z którego widać było jeden z wewnętrznych dziedzińców. Dziedzińcyk nie był już oczywiście starczo-wie- czny. Pieniły się na nim bujne chwasty. Trawa sięgała kamiennym bożkom, stojącym przy ścieżkach, po kolana.

Anton L. znał rezydencję kurfirsta z dawnych czasów. Kiedy jeszcze pracował w wydawnictwie, niejednokrotnie tu bywał. Często oprowadzano po niej zamiejscowych autorów, których trzeba było czymś zająć w czasie pobytu w mieście na zaproszenie wydawcy, żeby z nudów nie zaczęli wymyślać kłopotliwych klauzul do umów albo snuć nierealnych planów literackich. Orowadzanie należało do obowiązków młodszych redaktorów, z tym że mogli za to zjeść coś razem z pisarzem na koszt wydawnictwa. Oprócz tego co roku wydawnictwo organizowało duży bankiet w sali, którą poważnym instytucjom wynajmowała na podobne cele administracja pałacu. Anton L. trzykrotnie uczestniczył w takich bankietach, za trzecim razem już z Dagmarą. Było to w bardzo ciepły letni wieczór. Właściwie nie zamierzał brać Dagmary ze sobą, ale tak długo nie dawała mu spokoju, aż się zgodził. Dagmara uwielbiała wszelkie tego typu imprezy. Na literaturze nie znała się kompletnie, ale z kieliszkiem szampana w dłoni mówiła jak z książki i to bez wyjątku bzdury. Anton L. wstydził się za nią, więc po godzinie wyciągnął ją do ogrodu (nie był to ten dziedzińcyk, na który teraz spoglądał) i próbował jakoś pohamować. Nic z tego nie wyszło, ponieważ Dagmara była już po paru kieliszkach szampana. Zaczęła się śmiać

i odgrywać „wielką damę” także wobec Antona L., potem wróciła do sali i dalej rozmawiała z autorami, których książek nie знаła nawet z tytułów. Wszyscy autorzy bez wyjątku byli nią zachwyceni, zwłaszcza pewien starszy pan, którego książkę Dagmara czytała. Rozprawiała o niej z zapałem, jak przystało na damę pozwoliła podać sobie ogień, zapaliła papierosa w zabytkowej cygarniczce i dalej piła szampana. Potem okazało się, że ta książka, którą Dagmara czytała, miała jedynie tytuł podobny do tytułu jednej z książek napisanych przez starszego pana. Anton L. miał ochotę zapaść się pod połyskujący miodowo parkiet bankietowej sali, ale autorowi ta omyłka najwyraźniej nie robiła żadnej różnicy. Nadal był Dagmarą zachwycony. Antona L. ogarnęła złość.

Dagmara miała na sobie jedną ze swoich o wiele za obcisłych sukien. Anton L. przypomniał sobie: jaskrawożółta suknia z głębokim dekoltem z przodu i z tyłu; nie było ruchu, prąy którym jakieś wycięcie nie odsłoniłoby obfitego biustu Dagmary. Powoli, ale niepowstrzymanie — z wolna zrobiła się noc, ciepła i gwiaździsta jigj towarzystwo przenosiło się na świeże powietrze, do ogrodu. Pośrodku stała fontanna, zwieńczona posągami Perseusza. Dagmara chciała się rozebrać i wykąpać w fontannie. Starszy pan autor zachęcał ją do tego, ale Antonowi L. w ostatnim momencie udało się jej przeszkodzić. Przytrzymał Dagmarę stanowczym ruchem, wyjął jej z dłoni ostatni kieliszek szampana, odstawił go na rzeźbioną konsolkę z końca XVII w. i zaprowadził Dagmarę do taksówki. Dagmara dyszała wściekłością a zarazem wściekłą żądzą kopulacji. Anton L., który w innej sytuacji bardzo doceniał to ostatnie, owego wieczora absolutnie nie miał ochoty na tego rodzaju przyjemność. Czuł się ośmieszony zachowaniem Dagmary i twierdził, że nie będzie się teraz mógł pokazać w wydawnictwie. Oczywiście mylił się, było wręcz odwrotnie. Dagmara wywarła niezatarte wrażenie na wszystkich, z którymi rozmawiała, a przynajmniej na wszystkich mężczyznach, a rozmawiała właściwie tylko z mężczyznami, inne kobiety traktowała jak powietrze. Oczywiście Anton L. w zasadzie o tym wiedział, kiedy mówił, że go ośmieszyła, i był przez to zły. A przy tyty chodziło nie tyle o męską zazdrość, ile o zazdrość

zwyczajnie ludzką, ponieważ on, Anton L. rzadko kiedy wywierał na kimkolwiek niezatarte Wrażenie.

W mieszkaniu Dagmary Anton L. zaczął jej robić piekielną awanturę, ale ona, nie zważając na nic, zaraz się rozebrała, i uwodzicielsko rozłożyła swoje bujne kształty na kanapie. Anton L. pozostał nieugięty. Bez słowa pożegnania i bez kopulacji wyszedł, rzucając na odchodnym kilka bardzo ordynarnych wyrazów.

Anton L. zwolnił się z pracy w wydawnictwie nie z powodu — urojonego — blamażu tego wieczora. Jak zwykle miał zatargi z przełożonymi. Wieczorna awantura nie była też kresem narzeczeństwa z Dagmarą. To przyszło kilka tygodni później. Anton L. wymówił z dniem 31 sierpnia. 1 września pojechał z Dagmarą do Włoch. Specjalnie na tę podróż Dagmara wypożyczyła od ojca samochód. (Dagmara umiała prowadzić, było to wręcz jej namietnością.) W pierwszym dniu podróży Dagmara jednym ciągiem pokonała trasę przez pół Włoch do Frosinone. Swobodna, w urlopowym nastroju i rozporządzając samochodem Dagmara gnała jak szalona. Anton L. nie czuł się kompetentny w robieniu swojej narzeczonej uwag co do sposobu prowadzenia wozu, ponieważ sam nie miał jeszcze prawa jazdy. (Żeby temu jakoś zaradzić, zapisał się do szkoły, dla kierowców, ale, jak pokazano wyżej, współpraca z instruktorami mu się nie układała). Przyznać się otwarcie do obawy o własne życie Anton L. nie mógł, ponieważ obawiał się, że stanie się w oczach Dagmary tchórzem. Późnym wieczorem 1 września Dagmara i Anton L. zdecydowali się przenocować we Frosinone. Właściwym celem ich podróży były południowe Włochy i Sycylia, ale już tam nie dotarli, ponieważ 2 września, w środę, Antona L. opętał demon czystości.

Pierwotnie zamierzali dotrzeć pierwszego dnia w okolice Neapolu, ale mimo brawurowej jazdy Dagmary nie udało im się. (Wtedy nie było jeszcze dzisiejszych autostrad z północy na południe). O ósmej dotarli do Frosinone, pozbawionego wszelkich uroków i zabytków sztuki prowincjonalnego miasteczka na południowy wschód od Rzymu, które leży na wzgórzu i mało pociągająco otwiera się na okolicę. Anton L. już od jakiegoś czasu był głodny. Dagmara niczego takiego nie odczuwała. Kiedy pro

wadziła wóz, wszystkie inne potrzeby, nawet popęd płciowy, wy. gasały. We Frosinone Dagmara zgodziła się zatrzymać. Poszli oboje do trattorii, leżącej przy dumnej, a mimo to obskurnej ulicy. Ulica obramowana była budynkami z czasów Mussoliniego, wyłożonymi brązowym marmurem, z rzędami masywnych i brudnych kolumn, ciągnących się wzdłuż ulicy. W tym czasie Anton L. prawie nigdzie[^] jeszcze nie wyjeżdżał. (Działo się to przed okresem pracy w biurach podróży). Jako dziecko przez kilka lat wyjeżdżał z rodzicami latem do Karyntii nad jakieś jezioro, ale niewiele już z tego pamiętał. Frosinone było najdalej na południe leżącym punktem, do którego w życiu dotarł. Mimo brzydoty ulic, w obliczu osobliwego życia pod jasno oświetlonymi arkadami, gdzie kręcili się żwawo Włosi rozmawiając ze sobą przy użyciu znaczących retorycznych gestów, podczas kiedy po ulicy gnały z warkotem popularne w tym czasie vespy i lam-bretty, Antona L. ogarnęło coś w rodzaju zachwytu nad taką egzotyką. Dagmara natomiast dużo w życiu podróżowała. Urodziła się w Mandzurii, była córką niemieckiego handlowca. Przez jakiś czas mieszkała z rodzicami w Ameryce. Prawie połowę życia spędziła w Hiszpanii. Władziała kilkoma językami, a ponieważ pracowała jako tłumaczka w dużym przedsiębiorstwie, wiele podróżowała służbowo. We Włoszech była wielokrotnie.

Dagmara objaśniła Antonowi L. jadłospis. Anton zamówił sobie pasta asciutta i saltimbocca, radicchio i zuppa romana oraz mnóstwo innych rzeczy, nie znanych jeszcze wówczas na północ od Alp. Po jedzeniu Anton L. poczuł zmęczenie; ledwie Dagmara wysiadła z samochodu, od razu dał znać o sobie jej popęd płciowy. Zdecydowali, że nie pojedą dalej, tylko przenocują tutaj.

Dagmara spytała kelnera o hotel. Anton L. złościł się, że tak długo z nim rozmawia. Ponieważ trudno robić komuś wymówki tylko dlatego, że ten ktoś włada językiem, którego samemu się nie zna, Anton L. przyczepił się do jej gestykulacji.

— To idiotyczne, że w czasie rozmowy małpujesz to wymachiwanie rękami — powiedział jadowicie. Rzeczywiście, kiedy Dag? mara rozmawiała po włosku, automatycznie zaczynała gestykulo^ł wać w charakterystyczny dla Włochów sposób. A gesty są najróżniejsze: zwykle wyciągnięcie wyprostowanej dłoni; machanie nią w pionie albo w poziomie; uderzenie pięścią w otwartą dłoń (z natychmiastowym rozwarciem pięści i poderwaniem otwartej dłoni w górę, lub też z okazaniem otwartej dłoni rozmówcy); bicie się w czoło; wielokrotne uderzanie kantem dłoni w wewnętrzną powierzchnię drugiej dłoni albo w zgięcie łokcia; przypominające rzut- dyskiem wyrzucanie w górę jednej lub obu rąk, opuszczenie dłoni na płask w dół, jeżdżenie w górę i w dół silnie zgiętą w nadgarstku dłonią po wymagowanej desce w pobliżu tułowia, czy choćby ten gest, towarzyszący prawie zawsze słowu „dunque”: kciuk i palec wskazujący tworzą kółko, które szybko i zdecydowanie przesuwają się z góry na dół po niewidzialnym przeciętym nieco w bok od tułowia (w rzadszych, ale przez to bardziej wyrazistych przypadkach bezpośrednio pośrodku), przy czym pozostałe trzy palce (a czasem tylko mały) odstawia się w bok.

1— To idiotyczne — powiedział Anton L. Dagmara stwierdziła, że nawet tego nie zauważa, że robi tak odruchowo, kiedy zaczyna mówić po włosku.

— W takim razie to jeszcze bardziej idiotyczne —■ skwitował Anton L. Tylko dlatego nie doszło od razu (jeszcze nie doszło) do nowej awantury, ponieważ wewnętrzna uwaga Dagmary zwrócona była prawie całkowicie na spodziewaną wkrótce kopulację, zaś Anton L. zdawał sobie sprawę, że na razie, jeśli chce uniknąć poważnych komplikacji, zdany jest niemal całkowicie na łaskę i niełaskę swojej narzeczonej.

Anton L. i Dagmara nie rozporządzali dużą ilością pieniędzy. Z tego względu Dagmara prosiła o wskazanie taniego hotelu. Hotel nazywał się „Albergo Misisipi” i stał przy ulicy prowadzącej ze wzgórza w dół, do chyba jeszcze brzydszej, nowej części Frosinone. Było to po prostu jedno piętro nad „Salonem” z amerykańskimi automatami do gier, gdzie właściciel automatów miał do wynajęcia kilka pokoi. Dom był stary, pokój olbrzymi, a salon z automatami nieopisanie hałaśliwy. Stelaże łóżek były dość zręcznie przemalowane na imitację drewna. Na ścianie nad łóżkami wisiał oleodruk przedstawiający morsa na krze lodowej, obok portret Piusa XII. Same łóżka przypominały salami, to znaczy były twarde i miały kształt walca. Jeśli człowiek położył się delikatnie, to nieodwołalnie musiał stoczyć się albo na ziemię, albo we wgłębienie pośrodku, przy czym w drugim

wypadku, ponieważ oba łóżka, zgrzytając blachą po kamiennej posadzce, rozjeżdżały się na boki, także lądował na ziemi. Dagmara zdjęła ubranie i rzuciła się na łóżko. Wskutek impetu uderzenia walcowata wypukłość ugięła się i zamieniła niejako we wklęsłość, to znaczy łóżko utworzyło teraz rynienkę. Gdy się ją opuszczało, uwolniony od ciężaru materac ze stepszliwym jękiem przybierał pierwotny kształt.

W akcie płciowym, który bezpośrednio potem nastąpił, łóżka, jak zawsze w przypadku Dagmary, miały znaczenie drugorzędne. Jej seksualne szaleństwa z reguły rozciągały się na większe powierzchnie. Już po wszystkim Anton L. wskoczył do łóżka, tak jak mu pokazała Dagmara, żeby utworzyć rynienkę. Dagmara usnęła natychmiast. Anton L. przez całą noc drżał ze strachu — był w końcu o wiele szczuplejszy i lżejszy niż Dagmara — że łóżko nagle i niespodziewanie zmieni utrzymywany jego mizernym ciężarem wklęsły kształt na właściwy dla siebie kształt walca, wyrzucając go w powietrze. Nie tylko dlatego jednak Anton L. spał nie najlepiej. Nieopisany hałas, panujący przed salonem i w samym „Salonie Misisipi”, trwał do późna w noc. Żółto i zielono świecące litery neonu znajdowały się dokładnie za oknami pokoju, a zbyt cienkie i 6 wiele za wąskie zasłony nie stanowiły dla światła żadnej przeszkody. Poza tyra u Antona L. wystąpiły pierwsze symptomy szału toaletowego.

Jeśli tylko się dało, Dagmara spała długo. Natomiast Anton L., który gdzieś nad ranem, kiedy hałas przycichł i wyłączono neon, zapadł na parę godzin w sen, zbudził się już o siódmej. Szał toaletowy rozwinął się na całego. Anton L. wziął przybory do mycia i udał się na poszukiwanie ubikacji oraz łazienki. Ubikacja była chyba większa od ich pokoju. Rozległa loggia otwierała się na brudne podwórko pełne pojemników na śmieci oraz stosów pustych kartonów i skrzynek. W jednym z kątów pomieszczenia — należałoby chyba powiedzieć „sali” — stała dziwna różowa muszla klozetowa. Łazienka była obok. Ona też była olbrzymia, ale nie miała okna na dwór, tylko wychodzące na klatkę schodową. W drzwiach był wprawdzie zamek, ale nie dawał się zamknąć. Anton L. postawił pod drzwiami chybotliwy stołek i zaczął walczyć z obudowanym turkusowymi kafelkami piecyk ziemny. Po kilku próbach udało mu się uzyskać ciepłą wodę. Wziął prysznic, potem wykapał się w wannie, następnie wziął zimny prysznic, a na koniec gorący. Kiedy już cała posadzka sali łazienkowej pokryta była kałużami, ktoś pchnął drzwi, odsuwając na bok stołek. Anton L. krzyknął. To była Dagmara.

Już wstałaś? — spytała.

— Przeszłaś taka goluśienka przez cały korytarz?

— Tak, a co? — zdziwiła się Dagmara.

Anton L. nie zdążył jej zrobić dalszych wymówek, ponieważ od razu przystąpiła do odbywania z nim kopulacji”. Potem wróciła do pokoju spać.

Anton L. wykapał się powtórnie. Skończyło mu się mydło. Owinął się w ręcznik kąpielowy, poszedł do pokoju i obudził Dagmarę, prosząc, żeby wystarała się dla niego o mydło, gąbkę, suszony ogórecznik (potrzebny do masażu), szampon do włosów i specjalny balsam do pielęgnacji paznokci u nóg. (Ten balsam odkrył Anton L. w czasie ostatniego nawrotu manii toaletowej.) Dagmara była święcie oburzona, ponieważ nie знаła dotąd z bliska toaletowego amoku swojego Antona. Po krótkim, mającym raczej charakter przekąski, stosunku płciowym, Dagmara zgodziła się ubrać i przynieść to, czego sobie Anton życzył. W tym czasie Anton L. (nadał w ręczniku kąpielowym) wrócił do łazienki. Został tam jednak właściciela hotelu, który miotłą zgarniał do kratki odpływowej pośrodku łazienki kałuże wody, stojące na posadzce po wywołanej przez Antona L. powodzi. Właściciel hotelu zaczął od razu protestować, gdy tylko zobaczył, że Anton szykuje się, żeby wejść do wanny. Mówił coś do Antona L. po włosku, z czego ten nie zrozumiał ani słowa. Anton L. zaczął w zdenerwowaniu mówić do niego po niemiecku. Wywiązała się dłuższa dyskusja, podczas której Anton L., myślący już tylko o kolejnej kąpiel, zdołał wykorzystać moment nieuwagi właściciela hotelu i wślizgnąć się do wanny. Od razu odkręcił prysznic chlapiąc niemilosiernie na wszystkie strony. Włoch zaczął wrzeszczeć i wymachując miotłą uciekł przed strumieniami wody. Załatwił sprawę bardzo prosto — zakręcił główny zawór w piwnicy. Anton L. właśnie brał gorący tusz, kiedy ciśnienie zaczęło spadać, woda pociurkała jeszcze przez chwilę i skończyła się. Anton L. zdawał sobie jasno sprawę, że tak gwałtownie przerwany, do tego gorący tusz, którym zdążył objąć zaledwie poło

wę ciała, nieodwołalnie pociągnie za sobą zapalenie płuc, jeśli - nie obrzęk splotu słonecznego. Kręcił wszystkimi kranami, oczywiście bez rezultatu. Dygocąc na całym ciele owinął się w ręcznik, poszedł do pokoju i położył się na łóżku. W godzinę później wróciła Dagmara.

— Coś ty robiła przez całą godzinę? — wrzasnął Anton.

— Zjeździłam całe miasto. W całym Frosinone nie ma suszonego ogórecznika. Balsamu do stóp też.

Resztę w każdym razie dostała. Właściciel zakręcił mi wodę.

— W końcu zrobiłeś mi prawie powódź.

— Jeśli natychmiast nie wejdę do wanny, to... ty nie wiesz co to znaczy! — krzyknął Anton.

— Co się wydzierasz.

— Przez tego głupiego hotelarza dostanę zapalenia płuc.

— To się ubierz.

— Chcę się wykapać.

— Przecież się już kąpałeś.

— Proszę cię, idź do niego i powiedz, żeby natychmiast odkręcił wodę.

Dagmara zeszła na dół. Po jakichś pięciu minutach — Anton L. cały spięty czekał tylko, żeby wskoczyć do wanny — wróciła i powiedziała, że nic z tego.

Anton L. wychrypiął jakieś niezrozumiałe przekleństwa i z wściekłości obiema nogami wskoczył na łóżko.

Impet zmienił walec w rynienkę, ale tym razem łóżko natychmiast odbiło z powrotem, przewracając Antona L. na bok, tak że biodrem uderzył w blaszaną konstrukcję drugiego łóżka. W imitacji drewna zrobiło się wgłębienie. Anton L. wrzeszczał:

— Coś sobie zrobiłem! W dodatku coś sobie zrobiłem! Dagmara odbierała komizm tej sceny jedynie dalszymi obszarami świadomości, przede wszystkim bowiem czuła strach, strach trojaki: po pierwsze bała się, że Anton L. zwariuje, po drugie, że zacznie wszystko demolować, po trzecie, że nadejdzie właściciel hotelu. Strach podsunął jej zbawczą myśl:

— Zdaje mi się, że przejeżdżałam teraz koło jakiegoś kąpieliska — powiedziała (była to nieprawda).

— Co mi z basenu?

— Nie, nie, chodzi o takie z wannami i sauną, wiesz.

Anton L. nic nie wiedział, tylko ubrał się pośpiesznie i spakował rzeczy. Pomagała mu Dagmara. Szybko się spakowali i kiedy Dagmara płaciła za pokój (za rozpasaną kąpiel właściciel hotelu nie zażądał dopłaty, ciesząc się, że tak szybko pozbywa się zwariowanych gości) Anton L. gorączkował się już w samochodzie ściskając w ręce nową gąbkę.

Kłamiąc Dagmara myślała wyłącznie o tym, żeby wywabić Antona z hotelu, zanim właściciel zauważy pogięte łóżko. Teraz miała nadzieję, że albo kąpielowe szaleństwo Antona L. osłabnie (widać, że nie znała jego możliwości), albo że naprawdę znajdą jakiś zakład kąpielowy (widać, że kompletnie nie znała Frosinone).

Przejechali to szkaradne miasto wzdłuż i wszerz, Dagmara wypytywała przechodniów i policjantów. Nikt nic nie wiedział. Anton L. zrobił się nie do zniesienia. Dochodziło południe.

— Okłamałaś mnie! — wrzasnął Anton L. — Nie widziałas żadnej łaźni!

— Przysięgam, że widziałam — skłamała Dagmara. W tej dziurze nic takiego nie ma.

— Oczywiście mogłam się pomylić, w końcu przejeżdżałam samochodem — powiedziała Dagmara nieśmiało.

— Więc jednak kłamałaś! — wrzasnął Anton L.

— Przysięgam, że nie...

—• Stój! wrzasnął Anton L.

Dagmara nacisnęła hamulec. Trójkołowe skrzyżowanie wózka z motocyklem, ze skrzynią wyładowaną klatkami pełnymi żywych kur, omal nie najechało na nich z tyłu.

— Co się stało? — spytała Dagmara.

Fryzjer — powiedział Anton L. wskazując na zakład fryzjerski. — Pójdę do fryzjera. Zamówię sobie mycie głowy, golenie i strzyżenie. Może robią też manicure.

Dagmara odetchnęła z ulgą. Zaproponowała, że pójdzie z Antonem i wytłumaczy fryzjerowi, o co chodzi. Anton L. ofuknął ją, że nie jest dzieckiem i że nie potrzebuje jej zwariowanego włoskiego, bo sam umie „wymachiwać rękami”. Kazał jej tylko -powiedzieć, jak jest po włosku „ostrzyć niewiele”.

— Poczó — powiedziała Dagmara.

Stało się to przyczyną nieszczęścia. Przez poco fryzjer zro

zumiał nie „poco ostrzyć” ale „poco zostawić”. Anton L., bezbronny na fryzjerskim fotelu, patrzył, jak fryzjer pustoszy jego czuprynę.

— Poco, poco! — zawołał Anton L.

— Si, si! Poco, ho capitol — odpowiedział fryzjer i ostrzygł Antona L. prawie na лыso, jak kryminalistę.

Dagmara czekała w kawiarni w pobliżu zakładu fryzjerskiego. W pierwszej chwili poznała Antona L. tylko po ubraniu. Następnie parsknęła śmiechem i tym chyba przebrała miarkę. Anton L. wyrwał jej kluczyki od samochodu, wybiegł z kawiarni i wyjął z bagażnika swoje walizki. Dagmara przybiegła za nim. Zaczęła przeproszać, błagać — nic nie pomogło. Spora grupka ciekawskich Włochów (między innymi motocyklista, który nadjechał ponownie pustym już trójkołowym wózkiem) przyglądała się tej scenie. Anton L. wyjął z portfela pieniądze, stanowiące ich wspólną kasę, odliczył połowę, oddał Dagmarze i powiedział:

— Nasze narzeczeństwo zostaje zerwane.

Nie było to dla niego takie proste znaleźć drogę na dworzec i kupić bilet, ale jakoś sobie poradził. Wrócił do domu. Z Dagmarą nigdy się więcej nie widział. Przez kilka lat Frosinone było najdalej na południe leżącym punktem, jaki w życiu osiągnął.

Przerwany i zahamowany szłał toaletowy rozładował się po powrocie z nadzwyczajną gwałtownością. Do obrzęku splotu słonecznego dołączyły niebezpieczne konstelacje chorobowe: groźba wrośnięcia brodawki na plecach w połączeniu z kolką podżebr- wą, czkawką, występującą zawsze razem z szumem w jądrach, oraz cierpienie nóg przy silnym kichnięciu. Włosy dopiero po sześciu tygodniach odzyskały długość sprzed wizyty u fryzjera. Jednakże wspomnienia o wydarzeniach we Frosinone stopniowo nabrały dla Antona L. innego kształtu. Z biegiem lat przybrały postać heroicznej walki o wyzwolenie spod wpływu kobiety, która, zdaniem Antona L., nie była dla niego równorzędną partnerką.

Powoli ruszył dalej. Przy końcu galerii szerokie schody z białego marmuru prowadziły z powrotem na parter. Na dole po lewej była galeria przodków kurfirsta. Po prawej ozdobione złoconymi drzwiami wiodły do biblioteki.

Anton L. tego właśnie szukał.

Przy drzwiach, pomiędzy dwoma bukietami kwiatów ze stiuku, wisiało wielkie lustro, pod którym stało popiersie krzyżącego fauna. Potylicy fauna — z osobliwie spiczastym loczkiem na karku — odbijała się w lustrze. W lustrze było też odbicie Antona L. Włosy miał rozwichrzone, małe loczki odstawały na wszystkie strony. Ubrany był w przewiazaną paskiem skórzaną kurtkę (z drogiego sklepu z odzieżą męską przy Anakreon-Strasse), która okazała się bardzo praktyczna ze względu na dużą ilość kieszeni. Przez ramię przewiesił strzelbę i pas z nabojami. — Jak Skórzana Pończocha — pomyślał Anton L.

XII. MOZART Z FARAONEM I FARAONOWĄ

Właściciel sklepu ze świecami, owej „nadwornej wytwórni świec!” za plecami spiżowego kurfirsta, gdzie Anton L. znalazł zagadkowy list, nazywał się Schindler, a nie Ludwig. (Sklep znalazł się w zasięgu koncentrycznych kręgów w sierpniu.) Księgowość pana Schindlera Anton L. jako były, nie da się tego inaczej określić, a więc jako były urzędnik skarbowy z konieczności się na tym znał, chociaż te sprawy uważał za obmierzłe — otóż księgowość pana Schindlera należała, mówiąc łagodnie, do skromnych. W każdym razie znalazł się tam jednak segregator z listą płac za rozpoczęty rok i na podstawie tej listy okazało się, że w nadwornej wytwórni świec pana Schindlera pracował niejaki 3. Ludwig, który otrzymywał nieco ponad 1000 marek miesięcznie brutto. Nic bliższego na temat rzeczzonego S. Ludwiga nie było, poza kaligraficznymi, jakby malowanymi podpisami przy kolejnych wypłatach. Litera „S” pisana, czy malowana, przez Ludwiga przypominała coś pośredniego pomiędzy kluczem wiolinowym a węzem eskulapa. O tym, że chodzi o literę „S”, można się było dowiedzieć tylko z napisanego powyżej na maszynie nazwiska.

Anton L. pojechał swoim samochodem — tzn. byłym samochodem Derendingera §jjj do urzędu skarbowego Śródmieście, który, jak oczywiście doskonale wiedział, zajmował się tym rejonem. Urząd ten (Anton L. pracował w innym) znajdował się niedaleko hotelu, niemniej jednak był to następny radialny wypad

w

poprzek koncentrycznych kręgów. Ktoś, kto zna gmach jednego urzędu skarbowego, zna wszystkie gmachy tych urzędów. Z tym jest podobnie jak z hotelami. Anton L. wszedł do budynku przez okno na parterze i bardzo szybko znalazł odpowiedni referat, właściwy pokój, a w nim właściwy segregator ze zgłoszeniami podatkowymi od wynagrodzeń z Wytwórni Świec Schindler. Z karty podatków od wynagrodzeń Anton L. dowiedział się, że pan Ludwig był trojga osobliwych imion „Soliman Maria Kser-kses” i że był młodszy (33 lata), niż można b[^] sądzić po ceremonialnej staranności podpisu. Świętej pamięci pan Ludwig był żonaty, wyznania rzymskokatolickiego, miał jedno dziecko i mieszkał — to było dla Antona L. najważniejsze — przy Hethum- -Strasse 2. Anton L. wyjął kartę z segregatora, nie bez pewnej satysfakcji zostawił segregator tam, gdzie akurat leżał, i nawet nie zamknął drzwi, ponieważ, jak wówczas był już pewny, odpowiedzialny referent skarbowy Wirmingier (tak głosiła wypełniona rediśówką karteczka wsunięta w aluminiową ramkę przybitą do drzwi) i tak nie będzie miał z tego powodu nieprzyjemności.

Prosto z urzędu skarbowego Anton L. pojechał na Hethum- -Strasse. Ulica ta leżała w północnej części miasta. Całą jedną stronę zajmował potężny gmach jakiejś szkoły wyższej, który —r cofnięty nieco za ogrodzenie ze spiczastych prętów — zbudowany był w stylu nazywanym na przełomie wieków „floreńskim”. W porównaniu z tą monumentalną budowlą domy po przeciwnej stronie ulicy sprawiały wrażenie mizernych. Dom numer dwa stał na samym rogu. Przez mroczną sień dostał się Anton L. na wysoki parter, gdzie były tylko jedne drzwi. Widniały na nich dwie wizytówki: „L. Ludwig” (mosiężna, pismo gotyckie) oraz pod spodem „S. Ludwig” (emaliowana). Mieszkanie miało zagmatwany rozkład, ale w zupełnie inny sposób niż mieszkanie Hommerów przy Faniska-Strasse. Wielkie i ciężkie zasłony z ciemnych materii oddzielały od siebie części korytarza.. Na ścianach wisiały trudne do zidentyfikowania obrazy. Wszędzie stały potwornych rozmiarów szafiska i komody. Jedna z szaf pełna była książek, ale nie ustawionych w rzędach grzbietami na zewnątrz, lecz ułożonych stertami jak makulatura. W mieszkaniu było więcej kurzu, niż mogłoby się go zebrać od 26 czerwca.

Tuż przy wejściu, po prawej stronie, były dwuskrzydłowe drzwi, prowadzące do pokoju, ponurego i osobliwego w jeszcze inny sposób niż reszta mieszkania. Anton L. od razu pomyślał sobie, że musi to być pokój Solimana. Jedną ze ścian pokoju zdobiło malowidło. Nie było to właściwie malowidło ścienne, jakkolwiek zajmowało całą powierzchnię ściany. Przymocowane do ściany, sklejone ze sobą arkusze papieru pakowego, które sięgały od sufitu po listwę przypodłogową, zagruntowano na biało i zamalowano. Obraz był niedokończony. (Przybory do malowania — tempery, pędzle, kleje — leżały na niskim regaliku pod oknem). Środek obrazu zajmował portret Wolfganga Amadeusza Mozarta, kopia znanego obrazu Josepha Lange. Dziwne, na wpół zwierzęce postaci cherubinów unosiły się wokół głowy Mozarta, tworząc nieomal obłoki sięgające aż do sufitu. Malarz — przypuszczalnie Soliman Ludwig — uzupełnił langowski portret Mozarta o ramiona i dłonie. Prawa dłoń Mozarta spoczywała na piramidzie, przy której pracowały setki egipskich niewolników (figurki wielkości dłoni). Piramida składała się z nut. Była to kopia — tego Anton L. nie poznał — rękopisu pierwszych tekstów symfonii „Jowiszowej”. Spod baldachimu przyglądali się pracy niewolników faraon i faraonowa (wysokości około pół metra). W tle zaplanowano liczne dalsze piramidy. Były dopiero naszkicowane ołówkiem. Czerwone słońce wysyłało promienie w formie znaków pisma hebrajskiego — cytaty ze Starego Testamentu, tego Anton L. również nie rozpoznał — które przewijały się pomiędzy chmurą groteskowych cherubinów, igrając wokół głowy Mozarta. Ze szkiców ołówkowych można było poznać, że literowe promienie miały biec daleko na prawą stronę, gdzie znajdowała się starannie wymalowana, prawie naturalnej wielkości postać: na pierwszy rzut oka garbaty, ale tak naprawdę niegarbaty, tylko w jakiś trudny do nazwania sposób kaleki mężczyzna o brzydkiej, pomarszczonej, ale miłej i mądrej twarzy, z której sterczał potworny nochał. Mężczyzna wychodził z jakiejś jaskini czy groty wypełnionej szmaragdowym blaskiem. Miał usta otwarte jak do krzyku. Spomiędzy warg wylatywały mu małe słońca, księżycy i gwiazdy (naklejone, z pozłacanego papieru) oraz data 1601 napisana staroświeckimi cyframi.

Pod przeciwną ścianą stało czarne biurko niebywałych roz

miarów, zdobione toczonymi kolumnkami, mające w zwieńczeniu blanki i baszty jak zamczysko. Niby łuk bramy otaczał biurko regał z książkami, rozciągający się dalej na całą ścianę. Wypełniały go księgi astronomiczne, muzykologiczne i z historii prawa. Na samej górze, w długim szeregu stały dzieła zebrane Karola Maya w starym wydaniu o oprawie w kolorze skóry krokodyla i ze złotym sześciokątnym tłoczeniem na grzbietach.

Anton L. przeszukał biurko. Nie znalazł żadnej karty, były za to pakiety korespondencji, to znaczki listów adresowanych do Solimana Ludwiga, oraz księga o poliniowanych na czerwono stronicach z nadrukowanymi rubrykami, taka jakich dawniej kupcy używali do prowadzenia rachunków. Księga zawierała jakieś zapiski. Anton L. zabrał listy (było ich całe nęrcze) oraz księgę, załadował to wszystko do samochodu i pojechał z powrotem w stronę hotelu.

W sumie Anton L. nie przejechał samochodem Derendingera jakiejś bardzo długiej trasy: z Faniska-Strasse do hotelu, potem jeszcze raz na Faniska-Strasse po Sonię, później skorzystał z niego kilka razy badając koncentryczne kręgi swojego planu zajęć nieco bardziej odległe od hotelu, no i jeszcze dzisiejsza jazda do urzędu skarbowego „Śródmieście” i na Hethum-Strasse. Prawdopodobnie Derendinger nie miał akurat za dużo benzyny w baku, ponieważ właśnie teraz, w drodze powrotnej do hotelu, pośrodku Sempad-Strasse samochód stanął. Najpierw silnik się zakrzuszył, popracował trochę, zakrzuszył się na dłużej i zgasł, samochód przejechał jeszcze parę metrów i stanął. Anton L. spodziewał się tego, chociaż nie aż tak szybko. Nie przewidział jednak, że stanie się to akurat teraz, kiedy przejeżdżał przez stado krów.

Sempad-Strasse była ulicą szeroką, mieściły się tu wyłącznie gmachy instytucji: ministerstwa, sądy, towarzystwa ubezpieczeniowe i banki. W miejscu, w którym stanął wóz Derendingera, Sempad-Strasse rozszerzała się tworząc plac. Po obu stronach placu stały bliźniacze fontanny. Skonstruowane były podobnie do znanych rzymskich pierwowzorów: z dwóch położonych jedna nad drugą mis. Woda — nadal jeszcze — spływała kaskadami w dół, zbierając się w basenie. Basen prawej fontanny miał zatkana odpływ. Prawdopodobnie w czasie nawałnicy w lipcu i podczas powodzi dostały się do niej jakieś śmieci. Woda wylewała się z basenu tworząc w nieco niżej położonej części placu małe jezioro. Na bruku wokół jeziora pieniała się już znacznie bujniejsza zieleń niż gdzie indziej. Po jeziorze pływały kaczki. W czasie, jaki upłynął od chwili, kiedy Anton L. przejeżdżał tędy w drodze na Hethum-Strasse, przywędrowało tu do wodopoju stado krów. Stado składało się z sześciu, a może siedmiu wychudzonych krów, kilku cieląt i jednego byka. Przypuszczalnie szansę na przeżycie miały tylko te krowy, które się akurat ocieliły, ponieważ w naturalny sposób mogły pozbywać się mleka. (Pozostałe pewnie zdechły w męczarniach.) Stado to, które znalazło wystarczającą obfitość pożywienia w pobliskim dużym parku, udało się bykowi zebrać, przypuszczalnie na mocy jego nigdy całkiem nie wygasłego autorytetu. Krowy, na które patrzył teraz Anton L., nie były żałośnie wychudłe, one się po prostu, by tak rzec, w sposób naturalny skurczyły. Były bardziej muskularne, wyglądały na zwinniejsze, ale i bardziej groźne niż krowy, które Anton L. miał w pamięci. Tylko byk był gruby, w chwili kiedy Anton L. przejeżdżał samochodem, właśnie uwalnił się w wodę, wzbijając obfite bryzgi i płosząc pływające w pobliżu kaczki. Widząc samochód, poderwał się z powrotem na nogi, prawdopodobnie wściekły, że mu przerywają kąpiel, parsknął i pochylił łeb, celując rogami w intruza. I właśnie w tym momencie skończyła się benzyna. Byk postąpił kilka kroków w stronę samochodu. Wszystkie krowy odwróciły się przodem, by obserwować atak swojego patriarchy. Anton L. wziął w ręce broń, ale nie strzelił — czy kula może coś zrobić takiemu dużemu zwierzęciu? Gdyby tylko zranił byka, ten mógłby się rozwścieczyć do tego stopnia — słyszało się przecież o takich wypadkach — że pokiereszowałby samochód razem z Antonem L. Toteż Anton L. zakręcił szybę w oknie i czekał. I rzeczywiście, po chwili byk się uspokoił i powrócił do przerwanej kąpieli (tymczasem Anton L. zaczął czytać zapiski Solimana Ludwiga, ale o tym później), a krowy z cielętami gasiły pragnienie. Po jakiejś godzinie całe stado ruszyło pod drugą fontannę i minęło ją, kierując się w boczną uliczkę prowadzącą do parku.

Anton L. zabezpieczył się już wcześniej. Zarówno pan Pfeil, jak i państwo Cuypers przyjechali samochodami, które odstawili do hotelowego garażu. Anton L. nie miał żadnych trud

ności w zidentyfikowaniu pojazdów na podstawie dokumentów.' wozu, które znalazł w pokojach właścicieli. Pan Pfeivestl miał granatowego mercedesa, Cuypersowie dużego beżowego opla. Kiedy więc tylko stado wyniosło się z placu, Anton L. poszedł piechotą do hotelu, wyprowadził mercedesa śp. pana Pfeivestla i wrócił po papiery Solimana Ludwiga, pozostawione w wozie Derendingera. Wieczorem zagłębił się w[^], dalszej lekturze listów skierowanych do tego niewątpliwie nader osobliwego człowieka.

W sumie było około trzydziestu pakietów z listami. Każdy pakiet zawierał listy od jednego nadawcy, Pakiety były różnej grubości: najgrubszy zawierał 500 listów, najcieńszy 10. Soliman Ludwig przechowywał listy bez kopert, umieszczał je rozłożone w papierowych teczkach wiązanych na tasiemki. Najgrubszy pakiet — korespondencja od niejakiego Simona Lista — składała się z czterech takich teczek. Na wierzchu każdej teczki był umieszczony adres nadawcy, wykaligrafowany pięknym, jakby malowanym pismem Solimana. Jeśli nadawca zmienił miejsce zamieszkania — co zdarzało się dosyć często, ponieważ najstarsze listy pochodziły sprzed piętnastu lat, kiedy Soliman uczęszczał jeszcze do gimnazjum — stary adres był lekko przekreślony, a pod spodem pojawiał się nowy. Simon List, z którym Soliman zaczął korespondować w roku 1969, przeprowadzał się w tym okresie ośmiokrotnie. Według listy adresów mieszkał początkowo w Wiedniu, potem w Grazu, znów w Wiedniu, następnie w Nowym Jorku, w Londynie, na Malcie i wreszcie pod Salzburgiem, by na koniec przenieść się do samego Salzburga. Z tyłu na teczkach znajdowały się dłuższe lub krótsze szeregi dat. Były to pewnie daty wysłania odpowiedzi na kolejne listy. Prawie cała ta korespondencja sięgała aż do czasów ziipełrtie niedawnych. Jak się okazało po sprawdzeniu szeregów dat, na krótko przed katastrofą Soliman Ludwig napisał cztery listy: jeden w piątek przed katastrofą do niejakiego dr Frankensteina z Tel Awiwu, dwa w sobotę (do pani Weiss w Hamburgu, która, jak wynikało z jej listów, zajmowała się historią matematyki średniowiecznej i do jakiegoś profesora z Teheranu) oraz jeden — do Simona Lista — w poniedziałek 25 czerwca. Uprzedzając wypadki powiemy, że to odkrycie naprowadziło później Antona L. na najważniejszy trop, dzięki któremu udało mu się dotrzeć do tajemnicy Solimana Ludwiga i jego przyjaciół. Soliman Ludwig i jego przyjaciele byli o krok od jej rozwiązania. Przypadek sprawił, że dokonał tego Anton L. Jeśli jednak uwzględnić fakt, że Anton L. jako jedyny wyszedł cało z katastrofy, jako jedyny nie uległ dematerializacji, powstaje uzasadnione pytanie, czy ten „przypadek” rzeczywiście był tylko przypadkiem.

Teczki, zawierały listy w różnych językach — głównie w niemieckim, angielskim i francuskim. W korespondencji rozpoczętej w latach późniejszych pojawiały się też mniej popularne języki, jak portugalski, polski, a nawet rosyjski, a także hebrajski, perski i arabski. Soliman Ludwig opanował wszystkie te języki, ale jak można się było zorientować na podstawie skierowanych do niego listów, był to mało dlań istotny produkt uboczny jego właściwych zainteresowań, czyli głównie filologii klasycznej. Najstarsza korespondencja, która zresztą z zupełnie niezrozumiałych powodów ustała nieco ponad sześć lat temu, była za to najbogatsza w informacje: wynikało z niej, że Soliman Ludwig już w gimnazjum, co jest wypadkiem rzadkim — Anton L. sam pamiętał, jaki miał krzyż pański z tymi przedmiotami — namiętnie uczył się łaciny, a nade wszystko greki. Krok po kroku zstępował potem w mroczne głębie coraz starszych języków: hebrajskiego, egipskiego i babilońskiego, ale także staronordyckiego, celtyckiego i tym podobnych. Raz (jeszcze w czasach studenckich) jakieś gremium uczonych powołało go chyba jako eksperta w sporze o datowanie jakiegoś ważnego zabytku piśmiennictwa. Ustalenie wieku znaleziska było możliwe tylko przy dokładnej znajomości pewnych określonych dialektalnych odmian języka babilońskiego, którą zapewne posiadał właśnie Ludwig.

Również w obrębie prawoznawstwa zainteresowania Solimana Ludwiga powoli, ale nieodparcie spychały go ku starożytności. Obowiązującym prawem zajął się tylko o tyle, żeby zdać niezbędne egzaminy. Bardzo szybko zagłębił się w studiowanie dziejów prawa niemieckiego i germańskiego, które już wkrótce — jeśli Anton L. prawidłowo interpretował dane z listów — okazały się dlań za młode; naturalną kolejną rzeczą przrzucił się na historię prawa rzymskiego a wreszcie na prawnicze papirusy. Prawdopodobnie opublikował jakieś prace i tłumaczenia asyriologicz- ne. Około roku 1970 miał jakiś konflikt ze swoim profesorem

a zarazem promotorem pracy doktorskiej. Z listów nie wynikało, czy fakt, że przy swoich zdolnościach Soliman Ludwig zdecydował się na przyjęcie tej, oznaczającej niewątpliwą degradację, posady w wytwórni świec, był przyczyną czy też skutkiem owych nieporozumień. Możliwe, że wszystko to miało związek z zawarciem przez Solimana związku małżeńskiego i przyjściem na świat jego córki (nazywała się Eschiva). Właściciel wytwórni świec, pan Schindler, był kuzynem Solimana Ludwiga. Może dałoby się wyjaśnić problem tym, że Soliman Ludwig, który żył wraz z rodzicami (był chyba jedynakiem) w niezbyt świetnych i warunkach finansowych, zapragnął w końcu, w wieku trzydziestu trzech lat, pewnej niezależności, by w spokoju poświęcić się temu, co (o czym później) już wówczas tak bardzo poruszało jego i jego przyjaciół. Być może zajęcia, jakie oferował kuzyn Schindler w swojej wytwórni świec, wcale nie były aż tak bardzo nieprzyjemne i pozostawiały dużo swobody. Być może nawet kuzyn Schindler zainteresował się późniejszymi badaniami Solimana.

Gdzieś od połowy lat siedemdziesiątych — w tym czasie korespondencja z Simonem Listem znacznie się ożywiła — Soliman Ludwig zaczął coraz bardziej zajmować się matematyką i astronomią, a następnie pewnym specyficznym obszarem filozofii, a mianowicie prądami umysłowymi okresu średniowiecza i wczesnego chrześcijaństwa, które dziś uznaje się za herezje, jak manicheizm oraz spuścizna umysłowa gnostyków i nestorian. Z materiałów, jakimi dysponował Antoni L., nie sposób było wynioskować, czy chodziło tu wyłącznie o zainteresowania naukowo-historyczne, czy też była to już niejako fascynacja wyznawcy. (Bardzo możliwe, że Soliman Ludwig rozczarował swojego promotora właśnie tym zwroceniem się ku manowcom nauki, co oczywiście musiało pociągnąć za sobą zaniedbania prac asyriologicznych oraz dysertacji, a w konsekwencji doprowadziło do wspomnianego wyżej konfliktu.)

Natomiast „księga rachunkowa” przyniosła rozczarowanie. Soliman Ludwig zaczął w niej prowadzić tuż po maturze rodzaj dziennika. Kilkadziesiąt pierwszych stron wypełniały lakoniczne wzmianki o wysłuchanych wykładach i przeczytanych książkach. Nieco więcej miejsca zajął opis dwutygodniowej podróży do Wenecji, jaką Soliman odbył w czasie letniej przerwy semestralnej w roku 1962. Ale i w tym przypadku ograniczył się on do

wzmianek o kościołach i muzeach, które zwiedził. Między innymi był też na wyspie San Lazzaro i to dwukrotnie w pierwszym tygodniu pobytu, a po raz trzeci w przeddzień wyjazdu. Po ostatniej wzmiance, dotyczącej San Lazzaro, czerwoną kredką, której poza tym jednym miejscem Soliman Ludwig nie stosował w książce, było napisane: „Ojciec Rub.” (Na wyspie San Lazzaro znajduje się klasztor oraz słynna drukarnia mechtarystów z kościoła ormiańskiego.)

Korespondencji z „ojcem Rub.” nie było.

Wkrótce po wizycie w Wenecji Soliman Ludwig zaczął prowadzić swój dziennik prawie nieczytelnym pismem Siitterlina *, potem po łacinie, a wreszcie pismem tajnym. Ponieważ jednak wszystkie liczby pisane były w dalszym ciągu normalnie, można było stwierdzić, że Soliman Ludwig prowadził dziennik do ostatnich dni przed katastrofą. Ostatni zapis nosił datę 19 czerwca.

Fragmenty pisane pismem Siitterlina również zawierały wzmianki o przeczytanych książkach, o seminariach, spektaklach teatralnych i koncertach, na których był Soliman, oprócz tego jednak znajdowały się tam również notatki o dość osobliwej podróży: przez Innsbruck i Bolzano Soliman Ludwig udał się do Ferrary, Florencji i Rzymu, stamtąd do Manfredonii, Durrazzo, na Korfu, do Aten, Konstantynopola, Jerozolimy i Bagdadu, a następnie do górskiej twierdzy, Alamut w Persji, gdzie żyjący tam w ukryciu od tysiąca lat Szajch al-Dżabal zwany też Starcem z Gór, zaprowadził go do wnętrza Ziemi i pokazał 121 tajemnych ksiąg assassinów. Z ostatniego fragmentu tego opisu wynikało raczej niedwuznacznie, że przynajmniej ta część podróży, jeśli nie cała podróż, była zwykłą mistyfikacją.

Autor tej krótkiej wiadomości adresowanej do Solimana Ludwiga, którą Antoni L. znalazł w wytwórni świec, podpisał się C.; ten, kto wiadomość przekazał i dopisał na kopercie pozdrowienia, nazywał się E. Pośród prawie trzydziestu nadawców listów nie było ani C., ani E., co nie powinno dziwić, ponieważ obydwaj mieszkali w tym samym mieście, co Soliman, i nie porozumiewali się z nim listownie. Niemniej jednak w korespondencji od Simo

na Lista wielokrotnie pojawiały się wzmianki o pewnym starcu I nazwiskiem Lorenz Eschenlohe oraz o jakimś redaktorze o nazwisku Candtler, pracującym w którymś z wydawnictw.

Kiedy Antoni L. przeczytał to nazwisko oraz informację, że Candtler pracował w wydawnictwie, przypomniał sobie niejasno pewnego człowieka, z którym zetknął się w czasie swojej trzyletniej pracy redaktorskiej. Nazwisko o takiej pisowni było czymś rzadkim, trudno więc przypuszczać, aby dwóch redaktorów nosiło identyczne nazwiska; w dodatku fragmenty listów dotyczące pana Candtlera zawierały pewne szczegóły, które także były dla Antona L. znajome. Pan Candtler pracował w innym wydawnictwie niż Anton L., na specjalnie wydzielonym stanowisku. Wydawnictwo B., gdzie Candtler był głównym lektorem, odznaczało się powagą i dostojeństwem. Pośpiech, bałagan, nerwowa bieganina były w gmachu tego wydawnictwa, prowadzonego od 200 lat przez siódme już pokolenie rodziny B., czymś nieznanym. Za to były wykładane marmurem klatki schodowe, dębowe szafy, wszędzie solidne dwuskrzydłowe drzwi, balsamiczny spokój i winda o unikalnej wręcz powolności. Niewykluczone, że ta winda była jakby mottem wydawcy (spokojnie, cicho, niezawodnie), a przy okazji służyła do tego, by nawet najbardziej podnieconemu i rozlatanemu autorowi udzieliła, się atmosfera wydawnictwa. Najpierw upływało sporo czasu, zanim winda w ogóle zjechała. Potem bezszelestnie rozsuwały się dwie pary drzwi (jedne metalowe, drugie drewniane). Teraz trzeba było wejść do środka i nacisnąć guzik żądanego piętra. Znowu długo nic. Dopiero kiedy zniecierpliwieni pasażerowie już zamierzają wysiąść, żeby interweniować w portierni (gdzie osobliwym zbiegiem okoliczności prawie zawsze urzęduje piękna dziewczyna), cicho, ale zdecydowanie zamykają się najpierw drewniane drzwi wewnętrzne, a I potem, po odpowiedniej pauzie, zewnętrzne, metalowe. Tego, czy I winda w ogóle ruszyła, pasażer nie może już poznać. Jej ruch I jest zbyt powolny. Siedząc na drzewie, nie czujemy, jak rośnie. I Pasażera otaczał w kabinie wręcz rozpasany luksus: lustro, wy- I ścielana kanapka — wszystko solidne i gustowne — taboret, sto- I jak na parasole, miedziany wieszak na ubranie. (Zważywszy czas, I jakiego winda potrzebowała na przebycie odległości od sutereny | do mniej więcej piątego piętra, wyposażenie to nie było

czyżym |

dziwactwem.) Gdy potem winda, przybywszy w końcu na miejsce, po dłuższych, bezgłośnych przygotowaniach, rozwierała najpierw zewnętrzne, a następnie wewnętrzne drzwi, kabinę opuszczał na drugim piętrze całkowicie odmieniony, pełen spokoju i powściągliwości autor, choćby wsiadając na parterze był nie wiedzieć jak wzburzony czy rozpalony żądzą wywnętrzenia się. A przy tym nie było najmniejszego powodu dla usprawiedliwionego oburzenia na to wydawnictwo. Wszystko było wzorowe aż do perfekcji. Pieniądzy było więcej niż pod dostatkiem. Niekiedy miało się wrażenie, że wydawnictwo B. wcale nie musi sprzedawać swpich książek i, co więcej, wcale się o to nie stara. (Dotyczyło to oczywiście literatury pięknej, a nie rozległej działalności wydawniczej w dziedzinie publikacji niebeletrystycznych, stanowiącej ekonomiczną podporę wydawnictwa.)

Candtler był małym, szczupłym człowieczkiem i miał łysinę, która w pewnym sensie nawet go zdobiła. Większość mężczyzn, tracąc włosy, traci też dość poważnie na wyglądzie. Istnieje jednak niewielka grupa mężczyzn, do niej właśnie zaliczał się Candtler, którzy dzięki szlachetnemu kształtowi czaszki zachowując włosy raczej by na tym tracili. Przy swojej łysinie pan Candtler nosił szpakowate wąsy o arystokratycznej, bo nie da się tego inaczej określić, szlachetności. Ogólnie mówiąc, pan Candtler wyglądał jak angielski oficer, który powrócił do ojczyzny po wieloletnim pobycie w koloniach. Ludzie tego pokroju są w pewien specyficzny sposób niezorientowani, ale nie dlatego, że nie potrafią, tylko dlatego, że nie chcą. Wiedzą, że aby „być na bieżąco”, samemu trzeba „bieżyć”, a to odrzucają. Wypracowują sobie odmianę łagodnego cynizmu, a przez to, że — mówiąc językiem prawniczym — są złymi stronami, a za to dobrymi arbitrami, często wyrabiają sobie precyzję myślenia i wyrażania się, która dowodzi, że w głębi swojej istoty, a więc na płaszczyźnie zupełnie innej, są jednak „na bieżąco”, i to jeszcze jak. Taki właśnie był pan Candtler. Przez całe lata prowadził sprawy pewnego bardzo znanego autora publikującego w wydawnictwie B. — jednego z najważniejszych pisarzy niemieckojęzycznych naszego stulecia — przy czym zasłużone uznanie, jakim po wojnie cieszyć się zaczął ów autor, było poniekąd osobistą zasługą pana Candtlera. Po śmierci wspomnianego pisarza pan Candtler przejął

pie-

czę nad spuścizną po nim i w okresie, kiedy Anton L. poznał Candtlera, wydawnictwo B. z dużą niechęcią sprzedawało kolejne nakłady jego książek, które stały się już niemal „bestsellerami”. (Słyszac to słowo, pan Candtler nie omieszkaby spytać: a co to takiego?)

Wydawnictwo, w którym pracował Anton L., wydawało serię antologii. Do jednej z nich chciano włączyć opowiadanie autora, którym zajmował się pan Candtler. W tym czasie pisarz jeszcze żył, a był on znanym, by nie powiedzieć budzącym strach, w kręgach literackich cholerykiem. (Czyżby wydawnictwo B. zainstalowało swoją uspokajającą windę specjalnie dla niego?) Tak się jednak złożyło, że autor tych antologii, niejaki Mariko Róck- -Wawrutzki, coś kiedyś na temat tego pisarza opublikował. Róck- -Wawrutzki był jednym z tych literatów, którym poprzez uporczywe pisanie na temat własnego znaczenia udaje się z biegiem lat zaszczepić to złudne przekonanie innym. Czegoś naprawdę twórczego Rock-Wawrutzki nigdy nie spłodził; był antologistą, pisywał recenzje i felietony. Głupawy felieton na temat pisarza, o którym mowa — 'czytelnik zresztą i tak się już chyba domyślił: chodzi ni mniej, ni więcej, tylko o Kajetana von Schlaggenberga — wywołał u tegoż Schlaggenberga kolejny wybuch szału, jeden z tych prywatnych tajfunów, których się tak obawiano. Schlaggenberg przysiągł, że przy najbliższej okazji postara się zmiażdżyć „tego eunucha Róck-Klawitschnickiego, czy jak mu tam”. (Schlaggenberg czynnie zajmował się sportem, był mężczyzną słusznego wzrostu i mimo podeszłego wieku muskularnym, natomiast Róck-Wawrutzki był nędznym, kościstym wymoczkciem; nie ma najmniejszych wątpliwości, jak zakończyłaby się ich fizyczna konfrontacja.) No i obecnie, w kilka lat po tym incydencie, właśnie tenże Róck-Wawrutzki zestawiał wspomnianą antologię. Jeśli zaś jako autor wyboru chciał dać pełny obraz okresu, który obejmowała jego antologia, żadną miarą nie mógł pominąć Schlaggenberga. Anton L. otrzymał bardzo delikatne zadanie pośredniczenia w rozmowach między obydwojma wydawnictwami, ponieważ Rock-Wawrutzki nawet teraz, po tak długim czasie, nie miał odwagi pójść tam, gdzie mógłby nieszczęśliwym trafem natknąć się na Schlaggenberga. Rozmowy ciągnęły się dosyć długo. W końcu pan Candtler rozwiązał problem z dużym wyczuciem: wydawnictwo reprezentowane przez Antona L. dostarczyło fotografię, na której Rock-Wawrutzki biegnie za odjeżdżającym tramwajem. Tramwaj wycięto, natomiast za plecami Wawrutzkiego wkopiowano zdjęcie Schlaggenberga. Ulubionym sportem Schlaggenberga było łucznictwo. Była to zarazem jedyna dziedzina, w której skromny na ogół Schlaggenberg okazywał próżność. Dlatego chętnie pozwalał się fotografować jako łucznik, mimo że na co dzień jak ognia unikał osób z aparatami fotograficznymi. Jednego z takich właśnie dumnych zdjęć użyto do fotomontażu, całość powiększono, oprawiono w ramki i opatrzono podpisem: „Rock-Witzwellek, czy jak mu tam, ucieka, gdzie pieprz rośnie”. Oczywiście sprawa była mimo wszystko Ryzykowna, ale Schlaggenberg śmiał się potwornie, kiedy wręczono mu ten prezent, i wyraził zgodę na umieszczenie opowiadania w antologii.

W późniejszym czasie Anton L. również dość często widywał pana Candtlera, którego wąsy wraz z upływem lat chyba jeszcze wypiękniały, a nawet z nim rozmawiał. Nigdy jednak nie odkrył w nim najmniejszych oznak tego, że interesuje się niemalże okultystyczną już wiedzą, którą zajmował się Soliman Ludwig. (Gdyby Anton L. dysponował starymi katalogami wydawnictwa B., mógłby zrobić ciekawe odkrycie. W roku 1962 wydano tam w serii „Studia z historii czasów dawnych” małą książeczkę zatytułowaną „Biblioteki assassinów i następstwa ich zniszczenia przez Hulagu Chana w roku 1256” autorstwa Solimana Ludwiga.)

Po znalezieniu listów do Solimana Ludwiga, Anton L. ograniczył swój „plan zajęć”, tak bardzo wciągnęła go lektura, jakkolwiek niewiele wносиła ona do zakrawających niemal na zajęcie dla detektywa poszukiwań. Wszystko wskazywało na to, że Soliman Ludwig, pan Candtler, obarczony związanymi ze sprawą zadaniami praktycznymi Eschenlohe oraz korespondencyjnie Simon List nawiązali ze sobą współpracę ni mniej, ni więcej tylko po to, aby przebadac zbiory wszystkich istniejących na świecie bibliotek tajemnych. Prawdopodobnie Soliman Ludwig skłaniał się ku temu, by zgłębić też zasoby zaginionych bibliotek; przedsięwzięcie, które Simon List ciągle stanowczo mu odradzał. Niemniej jednak zainteresowania Solimana Ludwiga najwidoczniej zmierzały właśnie w tym kierunku. Jedna z odpowiedzi Lista'

była prawie niegrzeczna. W końcu, w ostatnim roku, Ludwig skoncentrował się prawdopodobnie na jednej jedynej sprawie, a mianowicie na rozwiązaniu jakiejś niezwykle ważnej tajemnicy, 2 którą, jak mu się zdawało, wytropił. Z listów nie wynikało, co to mogło być. ów kamień filozoficzny nazywał Simon List zawsze opisowo — jakoś tak wstydliwie — „to, czego szukamy”, albo „to, co trzeba odnaleźć”, albo zwyczajnie i po prostu „TO”.

Anton L. zastanawiał się, czy nie powinien odnaleźć mieszka* nia pana Candtlera albo nawet pojechać do Salzburga, aby poszukać mieszkania Simona Lista (którego adres miał przecież na teczce), bo może w swojej korespondencji z Simonem Listem, którą ten przypuszczalnie przechowywał, Ludwig był mniej oględny w słowach. Okazało się to jednak wcale niepotrzebne, ponieważ któregoś dnia pod koniec sierpnia, tego dnia, kiedy Anton L. w ogóle nie zaliczył koncentrycznego kręgu swojego „planu zajęć” i cały czas czytał korespondencję od Simona Lista — prawie już skończył — otóż tego dnia teczka z listami leżała zamknięta na stole w salonie i była odwrócona spodem do góry, kiedy Anton L., który przerwał na chwilę lekturę, żeby nakarmić Sonię, wrócił do salonu, by dalej czytać. Jego spojrzenie padło na daty wypisane na teczce, daty odpowiedzi wysłanych przez Solimana Ludwiga do Simona Lista. Ostatnią datą był 25 czerwca.

Ten list nie mógł zostać wyeksponowany, nawet gdyby Ludwig napisał go z samego rana i zaraz nadał na poczcie. Anton L. przygotował się na znużone poszukiwania (przeszukanie właściwego urzędu pocztowego itd.), ale już pierwsze posunięcie przyniosło pełny sukces. Soliman Ludwig napisał list po pracy (w czasie gdy Eschenlohe udał się z wiadomością od Candtlera do wytwórni świec) i wrzucił do skrzynki dopiero późnym wieczorem. Skrzynka na rogu Hethum-Strasse nie była potem opróżniana, w ogóle już nie została opróżniona. Kiedy Anton L. wyważył łomem zamknięcie, na ziemię wypadło trzydzieści, a może czterdzieści listów. Anton L. natychmiast rozpoznał wśród nich list zaadresowany pięknym, jakby malowanym pismem Solimana Ludwiga.

XIII. LIST

„Drogi Przyjacielu!

Wiem, że nadal jeszcze Pan nie wierzy, że to nie żart — ja jestem już przeświadczony. Może „przeświadczony” nie jest najwłaściwszym słowem, jeszcze nie jest, ponieważ świadków jeszcze nie mam, tego świadka jeszcze nie znalazłem. Powiem więc Panu tak: jestem pewny, i to nie w jakimś okultystycznym, mistycznym czy kabalistycznym sensie, lecz w sensie trzeźwym i logicznym. Logika zawsze mnie poruszała na równi z wiedzą kabalistyczną.

A teraz Panu powiem...

Chociaż nie, powiedziałem Panu już ostatnim razem, kiedy Pan tu był. Napiszę Panu. To też nie jest konieczne, ponieważ wiem, że zapamiętał Pan, co opowiedziałem ostatnio Panu, C. oraz E. Napiszę to dla siebie, chociażbym nawet wysłał ten list.

Co to jest świat (mam na myśli Wszechświat)? Kłębowisko mniej lub bardziej ożywionych cząstek. Im bardziej ożywione są te cząsteczki, z reguły nazywamy je wtedy komórkami, tym bardziej spieszą się od niewyobrażalnie dawnych, ciemnych (a raczej może płomieniście czerwonych) czasów, by zrobić to jedno, co wciąż pozostaje najważniejsze: uczynić siebie więcej. Wszystko dąży to tego, by utworzyć matrycę. Każda komórka, każdy konglomerat komórek, poczynając od pantofelka a na człowieku kończąc, dąży — jeśli chce się być szczerym, to trzeba to przyznać — wyłącznie do jednego: by się rozmnażać. Każda żywa istota aspiruje, nie, wręcz pcha się, by stwarzać dookoła siebie podobne jej samej istoty, względnie nadawać swoje piętno strukturom już istniejącym. Matryca jest tajemnicą życia.

Przedostatnim razem pytał Pan, czy wierzę w Boga. Moje nastawienie do tego problemu zdefiniowałbym następująco: od pewnego czasu wątpię w nieistnienie Boga. Jeśli istnieje Dobry Starzec (a może Zły lub Gniewny?) — w końcu dopiero zacząłem wątpić, więc z pewnymi zastrzeżeniami mogę sobie pozwolić na brak poszanowania — to biblijna forma Pana Naszego jest jakąś tam możliwością i wówczas wiedzielibyśmy, że również istota duchowa nie jest wolna od pędu ku matrycy: Bóg stworzył Adama na swój obraz i podobieństwo. (Jakkolwiek byłyby też pew

nie bardziej odpowiednie wzorce, jak mógłby powiedzieć cynik.)

Ale nawet Duch nie jest wolny od żądy prokreacji, zważmy: historia nauki jest zarazem historią prozelityzmu. Każdy uczyony ma swoich uczniów, którym stara się wpoić swoje duchowe nastawienie. Wszystko polega na prze-prawianiu, przewartościowy- waniu według własnego wzoru. Ameba jest w tym na swój sposób nie gorsza od Platona. Mam zatem uzasadniony powód, by przypuszczać, że świat, nasz świat, Ziemia i to, co na niej żyje, również mają pociąg i pęd do matrycy. Rezultatem było właśnie TO ■— czyli Książka.

Wszechświat nie ^noże stworzyć obok siebie drugiego Wszechświata, jest to niemożliwe z wielu powodów, jeśli Pan chce, wymienię choćby takie, jak względy przestrzenne czy ograniczona liczba atomów i tak dalej. Pęd ku matrycy, rozproszony począ-' tkowo w imponujący wachlarz wielości światów, pod przemożnym naporem „woli prokreacji”, która nie mogła znaleźć innej drogi, przeciał się z samym sobą jak w ognisku soczewki, i właśnie w tymże ognisku musiał wówczas powstać nowy nowo- -stary — obraz świata, musiało powstać odbicie, odcisk, twór podobny.

Jedyną możliwością, która unicestwiłaby nasze poszukiwania, byłaby sytuacja — j e d y n ą możliwością, powtarzam — że to ognisko jeszcze nie powstało i było dopiero kwestią przyszłości. Wówczas oczywiście nie moglibyśmy go znaleźć.

Nie wiem, czy to ognisko powstało staraniem pojedynczego człowieka, na którego całe poznanie świata spłynęło jako niepojęte dla niego samego objawienie, czy też było to dzieło grupy ludzi, którzy przez stulecia potajemnie trudzili się, by to wszystko spisać. Mam takie przekonanie, ale jest to tylko taka drugorzędna konstrukcja myślowa, że nad sporządzeniem tego dzieła przez około dwieście lat pracowała dynastia niezbyt wysoko postawionych assasińskich emirów, którzy mieli swoją siedzibę w pewnej twierdzy na północnych stokach perskich gór Elburs. W chwili zburzenia wszystkich assasińskich twierdz przez mongolskiego wodza Hulagu w roku 1256 dzieło musiało być już ukończone. Być może ukryto je w bezpiecznym miejscu u drugiego odłamu assasinów, który przetrwał w syryjskich górach An- sarijja, lub też zakopano. Jak wiadomo, Hulagu złościł się, że

mimo wieloletnich poszukiwań nie udało mu się odnaleźć assasińskich skarbów.

Uzasadnienie dla moich przypuszczeń, że świat „zmatrycował się” w formie książki, czerpię z prostego odwrócenia problemu: bo i w czymże innym? Jak już powiedziałem, świat znajdował się pod presją woli odcisnięcia się w czymś. A zatem wybrał drogę względnie najprostszą, albo lepiej: ów wewnętrzny przymus znalazł ujście tam, gdzie było to najłatwiejsze. Bo przecież w jakiej formie łatwiej i prościej, a do tego na względnie niewielkiej przestrzeni, zawrzeć można efekty poznania, jeśli nie w książce? Myślenie — język — pismo ||| książka... oto kolejne fazy matrycy świata. Musiała zatem... na pewno istniała zatem książka, w której zawarta została cała wiedza o świecie. Na pewno istnieje nadal. (Jedynie zastrzeżenie, jak powiedziałem: ewentualnie dopiero będzie istnieć — dopuszczam taką możliwość — i wówczas poniesiemy fiasko. Jednak nie sądzę, aby tak było, ponieważ jesteśmy teraz raczej u kresu świata, niż u jego zarania, a on nie byłby chyba aż tak opieszawy w sporządzaniu swojej matrycy.)

Cała trudność' polega na tym, iż świat nie uczynił nic dla rozpowszechnienia swojego odcisku, istniejącego w formie księgi. Jak większość żywych jednostek, także i on stracił zainteresowanie dla swego obrazu, gdy tylko go stworzył. Oczywiście jest również możliwe, że księga zaginęła. W tym wypadku jednak świat natychmiast przystąpiłby do sporządzania nowego odcisku. Niewykluczone, że po regeneracji sił, czego wymaga każdy akt prokreacji, już to uczynił. Niewykluczone, że owa księga z gór Elburs jest tysięczną z kolei. Przyczyną, dla której Pan, C. oraz E. i ja szukamy właśnie tej księgi, jest ten prosty powód, że mam dane, dotyczące miejsca ukrycia właśnie j e j, a nie żadnej innej.

Eschiva umie już liczyć prawie do dwudziestu. Ostatnio objaśniałem jej znaki pisma hebrajskiego. Bardzo szybko pojęła zasady rysunku perspektywicznego. Zastanawiamy się, czy nie posłać jej jesienią od razu do drugiej klasy. Tutejszy „Zaczarowany flet” był zupełnie niezły. Schindler musi wyjechać w przyszłym tygodniu, dlatego nie mogę się stąd ruszyć w sobotę. Z palcem Anny już lepiej. Pozdrowienia

^N Pański Soliman Ludwig."

XIV. WEDUTA PĘDZLA CANALETTA.

Rezydencję księcia elektora dzieliło od hotelu ledwie kilkaset metrów. Anton L. przeszedł tę krótką trasę pieszo. Wracał teraz, było już pod wieczór, przez wysoką trawę i zielsko, które od dawna już wystrzelało ze szczelin między płytami chodników i pęknięć w asfaltowych nawierzchniach. Również na dachach domów rozpleniła się roślinność. Z niektórych balkonów bujne zielsko zwisało tworząc jakby brody.

Anton L. nie znalazł „Książki” w książęcej bibliotece. Nie był tym rozczarowany, to raczej zbyt szybki, a przez to tani sukces mógłby go zdeprymować.

Miał za to ze sobą coś innego: pod pachą, owinięty w prześcieradło, które ordynarnie ściągnął z olbrzymiego łoża kurfirsta, niósł obraz. Była to słynna panorama tego miasta pędzla Canaletta, znakomite dzieło mistrza, które wisiało na ścianie sypialni księcia. Wracając po bezskutecznych poszukiwaniach w bibliotece, Anton L. przechodził ponownie przez sypialnię. Promień późnego słońca przeciął komnatę sprawiając, że rozblęsnęły złote lily na błękitnym aksamicie, i oświetlił właśnie Canaletta. Nie był to duży obraz. Przedstawiał widok miasta od strony drugiego brzegu rzeki. Obydwa brzegi były jeszcze wówczas nie zabudowane. Liczne ramiona rzeki wiły się poprzez pastwiska i bagniste łąki. Na pierwszym planie pasło się kilka krów, poza tym zarówno tu, jak i na moście przechodzącym przez rzekę, a nawet daleko, pod bramą miasta (brama stała do dziś) rozgrywały się różne scenki rodzajowe: targowali się wędrowni handlarze, w jakiejś furze złamało się koło, mieszczańskie rodziny zażywały sielskiego odpoczynku, wesoło skakał jakiś piesek, wytworna czterokon- na karoca mknęła przed siebie z zaciągniętymi firankami, żebrak ściągał kapelusz przed lektyką. Daleko w tle widoczna była panorama miasta z jego licznymi wieżami. Wieczne słońce odbijało się w miedzianej kopule nowo wybudowanego wówczas pałacowego kościoła, barokowy maszyn rezydencji wznosił się ponad ciasno stłoczonymi kamieniczkami; stały jeszcze mury miejskie, ale osiedla nędzarzy wylewały się już poza nie. Ponad miastem wysklepiało się przejrzyste, wieczorne niebo jesiennego dnia po przejściu fenu. Canaletto posiadał rozpoznawalną niemal na pierwszy rzut oka umiejętność malowania mocnymi, a przecież subtelnymi pociągnięciami pędzla takich właśnie niewysłoniętych, kryształowo czystych przestworzy: niebieskich, a przecież jakby złocistych. Wspaniałe obraz. Anton L. od razu postanowił ozdobić nim swój pokój w hotelu. Przy okazji postanowił też wziąć sobie z Muzeum Narodowego mały autoportret Rembrandta i może jeszcze swój ulubiony obraz, wspaniałe, niemal impresjonistyczne „Cierniem koronowanie” pędzla starego, prawie stuletniego już wówczas Tycjana, chociaż, jak sobie uzmysłowił, wielkość tego obrazu nastręczy mu poważne trudności z transportem. Zastanawiał się też nad „Słonecznikami” van Gogha z Nowej Galerii Miejskiej do pokoju Soni.

Przed starym budynkiem poczty głównej, na rogu placu, gdzie zaczynała się Anakreon-Strasse, coś zaszeleściło w trawie. W zagłębieniu, powstałym w wyniku zapadnięcia się części ulicy, po ustąpieniu powodzi została wielka kałuża, prawie staw. Prawdopodobnie zawalił się pod nią strop jakiejś piwnicy. Anton L. ostrożnie postawił na ziemi Canaletta i oparł go o jedną z kolumn przy gmachu teatru. Zdjął z ramienia strzelbę. (Znał już ten szeleś.) Między domami było już ciemno, ale Anton L. od dawna wzrok miał wyćwiczony. W powietrze wleciało stado bażantów. Anton L. podniósł broń do ramienia i wystrzelił dwukrotnie, a potem jeszcze trzeci raz. Jeden z bażantów zwinął się w locie, zatrzepotał skrzydłami i spadł na Anakreon-Strasse, w okolicach sklepu z jedwabiem. Echo wystrzałów niesło się po ulicach. Anton L. dawno już przestał na to zwracać uwagę. W powietrze poderwały się chmary innych ptaków, furkocząc przez jakiś czas nad dachami. Wtem rozległy się jakieś trzaski — to spadały na ziemię dachówki. Po drugiej stronie placu wśród domów, którym kurfirst pokazywał swoje spiżowe plecy, stała także wytwórnia świec Schindlera. Prawdopodobnie dach był uszkodzony już przedtem. Reszty dokonało pieniające się na nim zielsko. Fala powietrza wywołana przez strzały wystarczyła, by obluzować dachówki. Cała połać dachu jak płaska lawina zsunęła się w dół i spadła na ulicę. Dachówki rozbijały się o chodnik. Trwało to dosyć długo, na koniec wejście do sklepu tarasowała kupa gruzu wysokości człowieka. — Dziwne — powiedział spiżowy kurfirst.

— Rzeczywiście dziwne — pomyślał także Anton L. j— Teraz już bym nie znalazł też brzemiennej w skutki wiadomości. Tyle że już mi nie jest potrzebna. Prawie przeszedłem już tę drogę, którą mi wskazała. Problem w tym, że muszę poszukać innego źródła zaopatrzenia w świece. (Nie zużywał wiele świec. W ciągu tych miesięcy, jakie upłynęły od 26 czerwca, rytm jego życia dostosował się do naturalnego rytmu dnia i nocy. Wstawał, gdy było jasno, kiedy się ściemniało, zaczynał się czuć zmęczony i szedł spać).

Anton L. podniósł bazanta i przytroczył go do pasa. Dopiero kiedy był już prawie pod hotelem, poraziła go myśl:

— Czy ja zwariowałem, czy rzeczywiście kurfirst coś powiedział?

Przystanął, odwrócił się powoli i postawił Canaletta pod ścianą hotelu. Chciał sobie oszczędzić ponownego taskania obrazu prawie do samej rezydencji i z powrotem, nawet jeśli droga nie była dłuższa niż kilkaset metrów.

Bać już niczego, się nie bał, od dość dawna. Strachu można się oduczyć, nawet jeśli — jak Anton L. — z natury było się raczej strachliwym. Strach ulatnia się z czasem, jak zawroty głowy, które człowiek miewa początkowo, mieszkając na najwyższym piętrze wysokiego domu; kiedy pomieszka tam dłużej, otchłań staje się swojska, a ciało się dostosowuje. Anton L. zaobserwował to na sobie przed laty, kiedy jeszcze pracował w wydawnictwie. Wydawnictwo mieściło się na ostatnich trzech piętrach siedmio- piętrowego biurowca, który miał niezwykle obszerną klatkę schodową, przykrytą od góry szklanym dachem. Drzwi wszystkich pokoi wychodziły na wąski korytarzyk obiegający ziejącą otchłań klatki schodowej. (Wszyscy, którzy tu pracowali, nazywali ten budynek „Sing-Sing”. Był w tym także inny ukryty podtekst.) Pokój Antona L. znajdował się na piątym piętrze. Początkowo robiło mu się całkiem niedobrze, kiedy wychodził z windy prosto na wąski korytarzyk i musiał obejść naokoło prawie całą otchłań, by dostać się do swoich drzwi. Ale z czasem zawrót głowy zniknął. Anton L. mógł nawet podejść do barierki, otchłań była już swojską. Spoglądał więc w dół jakby nigdy nic, pozdrowiał osoby po drugiej stronie, jakby to było na parterze. Ale tylko na piątym piętrze. Jeśli Anton L. zmuszony był wejść na szóste

czy siódme, zawrót głowy natychmiast znów się pojawiał. Anton L. miał wrażenie, jakby cały korytarzyk razem z barierką powoli wyginał się w stronę otchłani. Nie bywał na wyższych piętrach dostatecznie często, aby strach przed nimi mógł zniknąć. Przez cały czas pracy w wydawnictwie, będąc na szóstym czy siódmym piętrze chodził zawsze tuż przy ścianie, narażając się na częste zderzenia z ludźmi wypadającymi w pośpiechu z pokoi. Mówiących spizowanych kurfirstów i innych podobnych fenomenów Anton L. już się nie bał.

Gdy Anton L. doszedł do pomnika, słońce skryło się już za domami. Niebo było jasne. Plac zasnuwały delikatne jak pajęczyna, szare nitki zmierzchu, jesienny zmrok, jakby z delikatnych pasemek dymu, o którym nigdy nie wiadomo, czy jest to rzeczywiście jakaś mgielka, czy tylko jeszcze nie całkiem zgęstniałe cienie nocy. Pomnik kurfirsta wznosił się pośrodku placu jak nieforemny i poszarpany czarny masyw.

— Ja bym tak Canaletta nie zostawił — odezwał się kurfirst.

— A kto by go miał ukraść? spytał Anton L.

— Byłoby bezpieczniej, gdyby go pan wniósł do westybulu. J a panu przecież nie ucieknę.

— Przez tych parę minut nie trafi się chyba żaden nosorożec i nie przedziurawi go.

-f Kto wie, może wcale nie jest pan w mieście sam?

„ — Nie odkryłem żadnych śladów innej ludzkiej istoty.

— A jeśli zacznie padać? Koniec z Canalettem.

— No też coś! Niebo jest czyste, bez chmurki. Jeśli damy na to w ciągu najbliższych czterech godzin spadnie choćby kropla deszczu, gotów jestem zjeść...

— ... Canaletta — odpowiedział kurfirst.

— Proszę bardzo. Zresztą, jest zawinięty w prześcieradło.

— Chciał pan powiedzieć: w jedno z moich prześcieradeł.

— Nie będzie pan chyba twierdził, że to prześcieradło pochodzi z XVIII wieku. Dostarczył go Państwowy Zarząd Zamków i ksią... księ...

— Jego Książęca Mość — odpowiedział kurfirst.

— ... i żadna książęca mość nigdy na nim nie spała — dokończył Anton L.

— Ale jest z mojego łóżka! — obruszył się kurfirst.

— Żeby nie przedłużać sprawy: Wasza Książęca Mość też chyba woli, żeby zmokło prześcieradło, a nie obraz Canaletta.

— Prześcieradło niewiele by pomogło — stwierdził kurfirst. — Deszcz je przemoczy.

— Ale wcale nie pada i nie będzie padać, ani teraz, ani za dziesięć minut, kiedy będę z powrotem przy obrazie — powiedział Anton L.

— Po prostu nie wyobrażam sobie, żebym mógł, ot tak, postawić obraz Canaletta na ulicy pod ścianą hotelu.

— No dobrze, w takim razie wrócę, bo może rzeczywiście któryś z tych cholernych psów zbecześci mi obraz.

Anton L. odwrócił się na pięcie i poszedł.

— Dobranoc — powiedział kurfirst.

iżgż Przepraszam — zreflektował się Anton L., odwrócił się jeszcze raz i pochylił w lekkim ukłonie — dobranoc.

— Wcale nie jest powiedziane, że tu wszystko należy do pana, nawet jeśli jest pan sam — zawołał kurfirst. Anton L. zdążył już zagłębić się w Anakreon-Strasse.

— Dobrze, dobrze — mruknął pod nosem i odrzyknął — Dobranoc, Wasza Książęca Mość!

Stado łysek zerwało się przerażone do lotu.

Canaletto stał nietknięty pod ścianą hotelu.

Zrobiła się już prawie noc. Jeszcze podczas rozmowy Antona L. z kurfirstem, przypominające dym pasma mroku między domami rozpląły się tworząc klarowną ciemność. Zewsząd dobiegać zaczęły znajome od dawna odgłosy nocy: ciche cykanie gdzieś w górze, przemykanie i szuranie w trawie, nagle głośnie gęganie[^] kwakanie i ziewnięcie, nieśmiały gwizd gdzieś w oddali, czasem jakieś warczenie. Podniósł się lekki wiaterek, gdzieniegdzie rozblęły na niebie gwiazdy, to znów jakaś para czujnych ślepi w wysokim zielsku. (Dopiero co, ledwie kilka dni temu, Anton L. zobaczył na tyłach hotelu rysia.) Wszystko to oczywiście dawno przestało go niepokoić. Ciągłe napięcie uwagi i czujność w takich sytuacjach Anton L. zachowywał jakby mimochodem. Ale kiedy wyskoczył ten koń, gdy Anton L. z Canalettem pod pachą właśnie zamierzał wejść pod wsparty na kolumnienkach daszek osłaniający hotelowy podjazd, to jednak się wzdrygnął. Zauważmy: wzdrygnął się. Nie był to strach. Koń stał sobie pewnie na podjeździe w czymś w rodzaju przed-hallu. Było to ogromne zwierzę, maści bułanej; połyskiwało w mroku, jakby jego sierść zachowała jeszcze trochę światła dnia.

Koń pobiegł Anakreon-Strasse w kierunku, z którego właśnie wrócił Anton L. Utykał lekko. Po nieregularnym stukocie kopyt można było poznać, że zgubił podkowę. Zwierzę przebiegło ulicę i pognało w odchodzącą nieco ukośnie w bok Abenceragen-Strasse. W tym momencie uwagę Antona L. całkowicie pochłonęła wielka eksplozja, którą zwierzę wyczuło być może z kilkusekundowym wyprzedzeniem.

Prawdopodobnie było tak, że wskutek powodzi albo może zaważenia się ścian działowych doszło w jakiejś fabryce albo magazynie do połączenia się z sobą niebezpiecznych chemikaliów, które utworzyły mieszaninę wybuchową. Po drugiej stronie rzeki wystrzelił w górę ogromny, czerwonożłoty, kipiący słup ognia, poprzeplatany czarnymi żyłami. Potem rozległ się grzmot. Eksplozja miała miejsce daleko na wschodnich krańcach miasta i nie stanowiła niebezpieczeństwa dla tej dzielnicy, ale Anton L. skulił się odruchowo i wszedł z Canalettem na bardziej osłonięty podjazd hotelu. Dobrze Zrobił, ponieważ -już za chwilę fala uderzeniowa, powstała przy wybuchu, jak orkan przeszła ulicą, porywając ze sobą wszystko, co się obluźowało, a więc doniczki z kwiatami, kawałki drewna, okna, tablice z nazwami ulic, belki i małe drzewka; zerwała się część elektrycznej trakcji tramwajowej i zwijając się w wielki bezładny kłęb dotoczyła aż do samego hotelu; a potem jak ogromny żagiel nadleciał skądś blaszany dach, zgrzytając przeraźliwie po fasadach domów, zerwał wszystkie wystające szyldy sklepów i popłynął gdzieś w stronę rezydencji. Naczynia Antona L. zostały zmiecione przez podmuch. Jak pamiętamy, szyby w oknach domów z najbliższego sąsiedztwa padły ofiarą pierwszych wprawek strzeleckich Antona L. Kilka ocalało, zniszczyła je teraz fala uderzeniowa, podobnie jak, niestety, sporo szyb w hotelu. Anton L. został przygnieciony do ściany, poza tym nic mu się nie stało. Kiedy podmuch przeszedł, Anton L. wstał i wyjrzał za róg. Po lewej, i prawej stronie ognistego słupa wystrzelały w górę mniejsze i cieńsze słupy ognia. Wielki słup zrobił się żółtozielonkawy, a potem nagle czarny i już nie wystrzelał w nocne niebo. Wkrótce nad wschodnim horyzontem

rozprzestrzeniła się luna, która utrzymywała się przez kilka dni.

Anton L. zaniósł bażanta do kuchni i poszedł z Canalettem na górę do swojego apartamentu. Tak jak się obawiał, tutaj również potrzaskały szyby, w sumie jedenaście w trzech oknach. Na- tychmiast wpadł na bardzo prosty pomysł, by zamienić swoje okna z rozbitymi szybami na odpowiednie nietknięte okna z innych pokoi tego piętra. Okna na całymi piętrze były jednakowe, tylko na wyższych piętrach były nieco mniejsze. W pokoju Soni, który wychodził na podwórko, szyby nie ucierpiały.

Anton L. oskubał bażanta —1 nie był to już pierwszy ptak, jakiego upolował — i upiekł go. Jak zawsze, od momentu kiedy pod koniec sierpnia skończył się gaz, rozpałił krzesłami z sali konferencyjnej. Spory zapas tych krzesel piętrzył się w kącie hotelowej kuchni, obok leżała siekiera.

Podczas kiedy bażant piekł się w piekarniku, Anton L. wziął jedno z krzesel — po raz ostatni ktoś na nim siedział, jutro powędruje do ognia — przysunął je do pieca i zaczął rozmyślać. Do kuchni weszła jedna z przedstawicielek liczącej już chyba ze 25 sztuk kociej rodziny, młoda kocica w czarno-białe plamy, spostrzegła kupę bażanciego pierza, prychnęła, wyprężyła w górę ogon i wskoczyła w sam środek. Wyrzucone w powietrze pióra przyprowadziły kotkę o szaleństwo. Skakała na nie, usiłowała je złapać, policzkowała je łapą, a czasem nawet obiema naraz. Po pewnym czasie kocica tak się zmachała, że legła w pobliżu pieca, zwinęła się w kłębek i usnęła.

W kuchni paliła się jedna, bardzo duża świeca. Poza tym światło dawał też ogień z paleniska. Ale Anton L. nie czytał piekąc bażanta — po kuchni z wolna zaczynał się rozchodzić dość smakowity zapach — nigdy nie czytał gotując, on rozmyślał. A myślał sobie o różnych rzeczach, na przykład: jestem teraz mistrzem świata we wszystkich dyscyplinach sportu. Jestem mistrzem świata w skoku wzwyż, w dał, w biegu na 100 metrów, mistrzem świata w kolarstwie i w podnoszeniu ciężarów...

Wstał, chwycił ciężki pieńek, na którym rąbał krzesła, i dźwignął w górę. Kiedy rzucił, go z powrotem na ziemię, kotka obudziła się, spojrzała na niego z wyrzutem, ziewnęła i zwinęła się ponownie, tylko teraz w drugą stronę.

— Mistrz świata w podnoszeniu ciężarów. Czy można, będąc samemu, zostać mistrzem świata w tenisie? Albo w szachach? Nawet gdybym nie dał rady podnieść tego pieńka, tylko na przykład to pudełko zapalek, to i tak byłbym mistrzem świata w podnoszeniu ciężarów — myślał sobie Anton L. —, I nawet gdybym kuśtykał i potrzebował godziny na dojście do pomnika kurfirsta, to i tak byłbym mistrzem świata w biegu na 1000 metrów. A czy jestem też mistrzem świata w czymś, czego w ogóle nie potrafię? Na przykład w szybkości, w brydżu, w golfie?

Bażant był gotowy. Przymusowe ćwiczenia sprawiły, że Anton L. doszedł do niejakiego kunsztu w sztuce kulinarnej. Mimo to bażant z pewnością nie przyniósłby zaszczytu cieszącemu się dawniej gastronomiczną sławą hotelowi. Taki bywalec jak, powiedzmy, pan Pfeivestl z pewnością kazałby go odnieść do kuchni ze względu na łykowatość. Ale dawał się zjeść. Anton L. zgasił w kuchni świecę, przykrył piecyk i podał sobie bażanta na 63 nakryciu w dużej sali jadalnej. Do bażanta było pół puszki groszku. Drugie pół dostała Sonia.

Zanim Anton L. położył się dziś spać, wziął lornetkę (pochodziła również ze sklepu z bronią w pobliżu hotelu), wychylił się z okna i zlustrował horyzont na wschodzie. Luna rozszerzyła się. Szczegółów nie było widać.

Luna utrzymywała się do pierwszego jesiennego deszczu, który rozpadał się pod koniec następnego tygodnia.

XV. PAŁACYK

Kiedy pod koniec następnego tygodnia zaczęło padać — zrobiła się już połowa września — stało się jasne, że to już po lecie. Wprawdzie później, w październiku, zdarzały się jeszcze sporadycznie ładne dni, ale już we wrześniu zaczęły się jesienne burze. Lato minęło.

W tym okresie Anton L. — przejściowo — zaprzestał wypraw koncentrycznych, ponieważ chciał wykonać jeden wypad radialny. Najpierw jednak pojawił się problem ogrzewania. Zimny deszcz, nieprzyjaźnie siekący ściany domów, przypomniał Anto

nowi L., że trzeba się już jakoś przygotować na nadejście zimy. Wprawdzie jeszcze nie marzył, ale kiedy patrzył na deszcz za oknem wstrząsały nim dreszcze. Sanią także.

Hotel miał własne centralne ogrzewanie, oprócz tego przyłączony był do elektrociepłowni. Na to nie było co liczyć. Były grzejniki elektryczne, ale bezużyteczne. Pieców nie było. Tylko w kuchni robiło się ciepło, kiedy Anton palił pod blachą. Nie chciał jednak siedzieć przez cały czas w suterenie.

Początkowo Anton L. zaczął się cieplej ubierać, przyniósł sobie cieplejsze kołdry. Próba rozpalenia ognia w salonie, przy użyciu miedzianego kociołka i klepek z parkietu innych pokoi, okazała się chybiona. Miedziany kociołek, ciężki i dość płaski, stał w hallu i służył jako podstawa potężnej donicy z filodendronem. Filodendron ten należał do roślin, które Anton L. podlewał. Roślina zdążyła już wypuścić pędy, które rozpełzły się pod meblami i dywanami i wlażyły w szpary parkietu. Niełatwo było wyciągnąć miedziany kociołek spod ciężkiej rośliny. Następnie Anton L. zataszczył kociołek (a raczej szeroką patelnię) do swojego salonu, nadarł gazet (było ich mnóstwo w hotelowym kiosku, wszystkie z 25. czerwca, niekiedy Anton L. czytał je, zanim poszły na rozpałkę), wyrąbał siekierą część parkietu z pokoju nr 16 (obok pokoju Soni) i rozpałił ogień. Drewno zajęło się wprawdzie szybko, ale dymu było co niemiara. W mgnieniu oka cały apartament wypełnił się czarnymi kłębam. Płomienie niebezpiecznie lizały tapety. Anton L. pootwierał okna i zalał miedzianą patelnię wodą. Rozległ się syk. Patelnia tak się rozgrzała, że nie można jej było dotknąć. Anton L. przełożył przez ucho kociołka pasek i wyciągnął go na korytarz. Dymił tam jeszcze przez godzinę. W salonie cały sufit i częściowo ściany były czarne od sadzy. (Żeby kontynuować swój dziennik na tapecie, Anton L. musiał go wytrzeć z sadzy. Dziś zapisał: pożoga w pokoju.) Na dywanie, w miejscu gdzie stała patelnia, zrobiła się duża, brunatna plama. Przez długi czas śmierdziało spalenizną, mimo że Anton L. bez przerwy wietrzył, właściwie śmierdziało jeszcze w listopadzie, kiedy Anton L. po raz ostatni się przeprowadził.

Na ponowne przenosiny złożyło się kilka powodów. Na początku listopada spadł pierwszy śnieg. Zrobił się lodowaty ziąb. Sonia prawie dogorywała. Anton L. przeniósł ją do kuchni. Tym razem łatwiej było ją złapać, ponieważ — przypuszczalnie z zimna — prawie nie mogła się ruszać.

W kuchni nigdy nie było całkiem zimno. Pomieszczenie znajdowało się w suterenie i miało niewiele okien. Ponadto Anton L. stale utrzymywał ogień na dużym palenisku. Na noc troskliwie zgarniał na kupkę żar. Krzesła z sali konferencyjnej już się skończyły. Obecnie Anton L. palił inne meble, dziennie dwie, trzy szafy albo kufrы, względnie odpowiednią ilość drobiazgów. W pierwszych dniach listopada musiał już znosić meble z drugiego piętra. Nietrudno było przewidzieć, że ich zapas się kończy.

W ciągu dnia, jeśli nie był akurat poza budynkiem, także zaczął schodzić do ciemnej kuchni. W jego apartamencie było za zimno. Nadal jednak sypiał na górze, do momentu, kiedy objawiły się odległe skutki tej eksplozji, w wyniku której sporo okien w hotelu uległo zniszczeniu. Deszcz i śnieg wdzierały się do pokoi z wybitymi szybami, zbierały się w kałuże, które zamarzały, znowu tajały i rozsadzały stropy. W ciągu kilku tygodni wilgoć dotarła także do apartamentu Antona L. Na ścianach pojawił się grzyb (z wyjątkiem miejsc pokrytych sadzą). Trwałe czy choćby prowizoryczne zabezpieczenie tak dużego budynku przed podobnymi szkodami przekraczało siły jednego człowieka. Ponadto powstało pęknięcie. Było to 19 listopada, a raczej w nocy z 18 na 19 listopada. Antona L. obudził ogłuszający huk. Początkowo nie wiedział, czy to przypadkiem nie sen, ale zaraz potem, już absolutnie na jawie, usłyszał wyraźne szemranie płynącej wody. Wskoczył z łóżka. (Było to, można powiedzieć, szóste piętro strachu, stopień, do którego Anton L. jeszcze nie przywykł.) W pokoju nie było tak zimno jak w poprzednich dniach, ani nawet tak jak wczoraj wieczór. (Jak się później okazało, to właśnie było wyjaśnienie: w nocy wszystko zaczęło tajać.) Anton L. spał w ubraniu. Od pamiętnego czerwcowego dnia szaleństwo toaletowe równie mało dawało o sobie znać, co obrzęki splotu słonecznego. Bielizna Antona L. nabrała takiej barwy i takiego miłego (jemu oczywiście) zapachu, o jakim dawniej, przez wzgląd na bliźnich, nie mogło być nawet mowy. A mimo to, pod koniec września Anton L. musiał się rozstać ze swoją ukochaną bielizną, czy raczej ona rozstała się z nim. Pewnego dnia

poczuł w spodniach jakąś dziwną poduszkowatość. Były to zsunięte w jedno miejsce szczątki jego bielizny. Ze sklepu z odzieżą męską na roku Anakreon-Strasse i Hadrian-Strasse wziął sobie nowy komplet, nieco cieplejszy ze względu na zbliżającą się zimą. Miły zapach wkrótce powrócił.

Anton L. spał w ubraniu, z tym że bez butów i bez deerstal* kera. Kiedy usłyszał huk wyskoczył z łóżka, była głęboka noc i całkowita ciemność. Anton L. zapalił latarkę, która zawsze stała przy łóżku, i rozejrzał się po pokoju. Niczego nie zauważył. Wybiegł na korytarz. Również tam początkowo nic nie zauważył. Szmranie wody ustało. Anton L. wrócił do pokoju, wciągnął buty, nasadził na głowę deerstalkera i wziął strzelbę. Potem znowu wyszedł na korytarz. Pod apartamentem nr 20 („jego” apartament miał numer 21) spostrzegł, że oba skrzydła drzwi krzywo wiszą w zawiasach. Pchnął je i ostrożnie wszedł do środka. Znalazł się na dworze. Pionowo przez frontową ścianę ciągnęło się pęknięcie, szerokie na pół metra. Podłoga od drzwi aż do ściany była pęknięta. Wszędzie poniewierały się kawałki cegieł. Anton L. poświęcił na sufit. Sufit także był rozerwany.

Anton L. szybko zbiegł na dół i obejrzał budynek od ulicy. Było jednak zbyt ciemno, żeby coś stwierdzić. (Niebo zakrywały chmury, wraz z cieplejszą w stosunku do poprzedniej masą powietrza przyszedł deszcz.) Można było zobaczyć tylko tyle, że pod hotelem leżą odłamki cegieł i muru. Rano, kiedy Anton L. wrócił do hotelu, żeby pozabierać różne rzeczy, zobaczył, że cały budynek, od dachu do pierwszego piętra, jest różpęknięty. Na dole rysa miała pół metra szerokości, na górze pod samym dachem znacznie więcej. Dach nad pęknięciem zupełnie się zawalił. Na drugim, trzecim i czwartym piętrze fasada była już lekko wybrzuszona na zewnątrz.

Już poprzednio, kiedy Anton L. rozważał, czyby nie zabezpieczyć jakoś budynku hotelu (zabicie deskami zniszczonych okien i temu podobne), i w końcu zarzucił ten pomysł jako niewykonalny, przyszło mu do głowy, że mógłby się jeszcze raz przeprowadzić. Przez tych kilka tygodni, jakie minęły od września, wiele dni spędził w rezydencji kurfirsta. Rezydencja, budowla widać solidniejsza od hotelu „Trzech Króli”, dotychczas jeszcze nie ucierpiała. Nie tylko jednak z tego powodu, ale również aby zademonstrować swoje nieograniczone władanie nad całym miastem (całym światem?), Anton L. brał pod uwagę możliwość przeprowadzki do reprezentacyjnych komnat księcia. Po weducie Canaletta jego spojrzenie coraz bardziej przyciągał w tym po- wrześniowym okresie bardzo ładny obrazek rodzajowy pędzla Fransa Halsy oraz temat starożytny (naga kobieta z panterą) Guido Reniego. Kiedy transportował do hotelu ten drugi obraz, odczuwalnie większy od Canaletta i Fransa Halsy, spizowy kurfirst powiedział:

— Czemu nie przeniesie się pan od razu do mojej rezydencji? Oszczędziłby pan sobie taskania tych obrazów.

— Nie mam nic innego do roboty, Wasza Książęca Mość.

— W końcu po co ma się pan zadźwigać na śmierć.

— Poza tym w hotelu jest kuchnia, no i zapasy żywności. Sonia ma swój pokój...

— Tak tylko zaproponowałem. ifóĘSk Zresztą, przyzwyczailem się do tego hotelu.

— Ja w każdym razie przeniósłbym się do rezydencji.

— Zastanowię się, Wasza Książęca Mość.

I rzeczywiście, Anton L. stałe powracał do tej myśli, zwłaszcza od kiedy w hotelu zrobiło się tak nieprzytulnie. Zastanawiał się jednak również, czy nie byłoby to trochę bezsensowne — w każdym razie przed zimą — przenosić się z jednego dużego budynku do drugiego, jeszcze większego. Zwlekał z decyzją, aż w nocy z 18 na 19 listopada podjęło ją za niego pęknięcie.

Wrócił do hotelu, przez chwilę uważnie nasłuchiwał, czy nie ma jakich trzasków i osypywania się gruzu. Panowała cisza. Zabrał z salonu amunicję i chciał też zabrać Sonię (kuchnia była nieuszkodzona), ale gdzie się schowała. Anton L. nie mógł jej znaleźć w dużej, pełnej zakamarków kuchni.

Resztę owej nocy Anton L. przespał wprawdzie w wielkim łożu kurfirsta, ale zaraz następnego dnia zaczął urządzać się w bardziej odpowiednich pomieszczeniach. Otóż w ogrodzie rezydencji było małe jezioro (teraz całe zarosło trzciną), pośrodku którego, w cieniu wielkiej rezydencji, stał miniaturowy pałacyk, a raczej pawilon. Był nieco starszy niż główna, klasycystyczna część rezydencji. Kaprys pewnej księżniczki z XVIII w. znalazł w pałacyku swój architektoniczny wyraz w formie uroczej chiń-

szczyzny. Wszystko sprawiało wrażenie miniaturki, jak z domku dla lalek (a przy tym wcale nie było takie małe, z pewnością większe niż jakikolwiek dom jednorodzinny pod miastem): mały salon pełen chińskich waz, mała salka lustrzana, małe kręcone schodki na pierwsze piętro, a tam wyłożony drewnem pokój sypialny z małym balkonikiem, wychodzącym na jezioro. Rzeźbione w drewnie, połączone ozdoby w chińskim stylu zapępiały ściany wokół łoża z baldachimem. Sypialnia była sześciokątna, ponieważ sześciokątny był cały pałacyk, a górne piętro składało się z tego jednego pokoju. Za rzeźbioną boazerią były szafy, cztery w czterech ścianach, w piątej ścianie było miejsce na kręcone schodki, a w szóstej (za łożkiem), znajdowały się drzwi prowadzące na płaski dach, gdzie z małej sześciokątnej platformki otoczonej balustradą z kutego żelaza można było spoglądać na jezioro i park. W ornament utworzony przez kute żelazo wplecione były nawet inicjały Antona L. (po prostu owa księżniczka nazywała się Antonia Ludovica).

Najważniejsze było to, że cały pawilon można było ogrzać pałac w kominku na parterze.

Pawilon-pałacyk świętej pamięci księżniczki A. L. stanowił nieskomplikowane, dające się ogrzać miejsce zamieszkania i wszystko wskazywało na to, że jego utrzymanie nie będzie ponad siły pojedynczego, w sprawach praktycznych niezbyt raczej zręcznego człowieka. Jedyna wada, to brak kuchni. Starą, zabytkową kuchnię, którą dawniej pokazywano zwiedzającym ze względu na cenne kafle z Delft, była za to w rezydencji.

Spizowy kurfirst także doradził przenosiny do chińskiego pałacyku.

Anton L. działał metodycznie. Pałacyk miał tylko jedne drzwi, stare, rzeźbione drzwi dębowe, ale zaopatrzone w nowoczesny zamek. Anton L. mógł je oczywiście wyważyć sprawdzoną metodą, ale nie chciał tego robić. Bądź co bądź drzwi miały się przecie zamykać. Tam, gdzie jest zamek, musi być i klucz. Rezydencja była także muzeum. Z tego też powodu w nowszej części znajdowała się portiernia oraz spore pomieszczenie, gdzie sprzedawano bilety wstępu, prospekty muzeum i pocztówki z dziełami sztuki. Tam też znalazł kilka pęków kluczy i wysortował z nich te, które w oczywisty sposób nie mogły pasować. Zo stało mu około czterdziestu płaskich kluczy, które kolejno wypróbował. Jedenasty okazał się właściwy.

Pałacyk był w środku zakurzony i pełen pajęczyn. Anton L. spodziewał się tego, więc od razu przyniósł ze sobą szczotkę, wiadro i szmatę, które znalazł w pakamerze za portiernią. Około południa wszystko było w miarę sprzątnięte. Anton L. wrócił do hotelu i sprowadził po kolei oba „swoje” samochody, podjeżdżając nimi — co było dawniej surowo wzbronione — aż pod sam pałacyk. Za każdym obrotem przewoził część swojego dobytku. (Była to najbardziej pracowita przeprowadzka w jego życiu; wydawał się sobie panem Kiihlmannem, tym sknerą.) Przewiół tyle, ile się dało, porąbanego inwentarza hotelu; swoją broń i zapasy amunicji, Canaletta, Fransa Halsa i Guido Reniego, stertę gazet, ładunek konserw, które jednak zmagazynował nie w pałacyku, ale w kuchni rezydencji. (Jeszcze tego samego dnia gotował tam w książących miedzianych naczyniach soczewicę ze słoniną firmy Bassermann, a wcześniej zupę zółwiową firmy Campbell. W hotelu „Trzech Króli” wszystko było od najlepszych.) No i oczywiście zabrał ze sobą Sonię. Ponieważ kuchnia zdążyła się wyziębnić, Sonia zeszywniała i Anton L. mógł ją wyciągnąć spod kredensu. Soni przypadła salka lustrzana. (Później Anton L. umieścił w tym pokoju skrzynkę, ale i tak legwan nadal zanieczyszczał parkiety, a do tego dziwnym trafem także i lustra do pewnej wysokości. Wkrótce pokój zaczął cuchnąć, ale dzięki własnej zdecydowanej woni Anton L. nawet tego nie zauważył.) Pod wieczór przenosiny były mniej więcej zakończone. W ciągu następnych dni pojawiła się już tylko konieczność, czy raczej potrzeba, kilku dalszych przewozów, w rodzaju przetransportowania całego samochodu pralinek i czekolad z trzeciego sklepu ze słodyczami, który Anton L. zamierzał wyjść do czysta. Słodycze umieścił w trzech z czterech szaf ściennych w pokoju na górze (przy okazji odkrył drzwi na platformę widokową), do czwartej szafy włożył dokumenty i listy Solimana Ludwiga oraz wszystko inne, co dotyczyło KSIĄŻKI.

Kominek funkcjonował doskonale. W mgnieniu Oka w pałacyku zrobiło się ciepło, tyle tylko, że szło bardzo dużo drzewa. Transport mebli starczał ledwo na trzy dni. Oczywiście Anton L. nie palił mebli pałacyku. Po opał chodził do wielkich gmachów

instytucji przy Luitpold-Allee, rąbał na miejscu i dowoził do pałacyku ręcznym wózkiem (oszczędzał benzynę). Rąbał lady i regały, stoły, krzesła, skrzydła drzwi, boazerie, parkiety, schody, słowem, to, co drewniane. Po kolei spalił (wszystko w budynkach przy Luitpold-Allee nr 1, 3, 5 i 7, graniczących z pałacowym ogrodem): bank, niezwykle elegancki sklep z konfekcją damską (próba spalenia konfekcji okazała się chybiona, wszystkie rzeczy tylko się tliły), sklep z antykami, jeszcze jeden bank, sklep z dywanami (niezbyt wydajny, mało półtek, dywany też nie chciały się palić), sklep z futrami, superekskluzywny sklep z wyrobami z wielbłądziej wełny, damski salon fryzjerski (niezbyt wydajny, prawie samo szkło i plastik), kino oraz filię restauracji „Wienerwald”. Kino i „Wienerwald” starczyły na długo, ze względu na dużą ilość składanych drewnianych krzeseł oraz fakt, że dwa piętra restauracji były wyłożone drewnem. W kinie — ot, taki kaprys — Anton L. zostawił jedno krzesło pośrodku sali. Od czasu do czasu siadał na tym krześle i patrzył na ekran. W wielkim, pustym pomieszczeniu był duży pogłos. Kiedy po następnych powodziach, późną wiosną następnego roku, woda na stałe zalała piwnice domów przy Luitpold-Allee od 1 do 7, pojawiło się mnóstwo szczurów. Przebiegając w ciemnościach obok krzesła Antona L. robiły nieprzyjemny hałas, więc Anton L. spalił i to krzesło.

Pod koniec okresu grzewczego Anton L. natrafił na galerię sztuki nowoczesnej, mieszczącą się na drugim piętrze domu nr 7. W chwili katastrofy eksponowano tam dzieła rzeźbiarza o nazwisku Gustaw Hiibbe. (Nazwisko można było znaleźć na dole na wyblakłym już nieco plakacie.) Gustaw Hubbe tworzył w drewnie i trudnił się głównie drobnymi formami. Anton L. prawie nie musiał ich rąbać. Raz wpadła mu w ręce sterta prospektów z wystawy, gdzie było zdjęcie jednej z rzeźb — już spalonej — oraz artysty, zupełnie sympatycznego młodego człowieka o perkatym nosie i ogromnych uszach. Resztę zakrywała broda. Anton L. zabrał stertę tych prospektów i spalił wszystkie, z wyjątkiem jednego, który przymocował sobie pinezką na ścianie sypialni. Rzeźby stanowiły obrobione korzenie. Wszystkie miały lekko czerwonawą barwę i odznaczały się jakąś, nieokreśloną i trudno uchwytną nieprzyzwoitością. Któregoś razu Anton L. miał jakiś nieprzyzwoity sen związany z jedną z takich rzeźb.

(Sny tego rodzaju zdarzały się już coraz rzadziej.) Sen był raczej przerażający niż dający zaspokojenie.

Za każdym razem — jako zabezpieczenie na wypadek choroby czy innych tego typu okoliczności — Anton L. przywoził nieco więcej opału, niż potrzebował na dany dzień. Drewno, którego nie zdążył spalić, układał na dworze pod ścianą pałacyku. Część składował w księżęcej kuchni.

Wypraw do kolejnych koncentrycznych kręgów Anton L. zaniechał przejściowo jeszcze .we wrześniu. Ważny był jeden wypad radialny — a raczej dwa wypadki po tym samym promieniu. Wykonał je Anton L. pod koniec września jeszcze z hotelu, przy użyciu samochodu. Powodem była eksplozja i pożary na skraju miasta po drugiej stronie rzeki. Anton L. odważył się na ekspedycję dopiero wówczas, kiedy po kilku deszczowych dniach zniknęła luna. Wyjechał o świcie Anakreon-Strasse, przejechał most i dalej podążał wzdłuż wysokich brzegów. O wiele szybciej niż się tego spodziewał — nie jechał nawet dziesięć minut — dotarł do obszaru zniszczenia. Czuć było zapach mokrego popiołu. Ulicę okalały fasady wypalonych domów. Gdziekolwiek widać było zawałone budynki. Ulica była zasypana kupami gruzu i belkami, wkrótce nie można było dalej przejechać. Wszędzie piętrzyły się sterty popiołu. Anton L. musiał zawrócić. Próbował dostać się innymi ulicami w kierunku, gdzie jego zdaniem było źródło pożaru, ale wszędzie spotykał to samo. W trakcie tych usiłowań dotarł na południowe krańce miasta. Przy okazji natrafił na szeroką ulicę wylotową, prowadzącą do autostrady. Widać było, że ogień, zanim ugasiły go deszcze, nie zdołał jej przeskoczyć. Domy po lewej stronie były wypalone i częściowo się zawaliły, te po prawej były nietknięte. Anton L. dojechał tą ulicą prawie do granic miasta. Ominął wjazd na autostradę i wrócił mniejszymi uliczkami willowego przedmieścia. W ogrodach willi i domków jednorodzinnych zielsko sięgało już wyżej człowieka. Przez ogrodzenia przelewały się cierniste zarośla. W pewnym miejscu na wąskiej uliczce, gdzie po obu stronach były ogrody, w poprzek jezdni — palając czerwienią jesiennych barw — ciągnął się gąszcz roślin, zupełnie jak w dżungli. Anton L. próbował przejechać rozpędem, ale samochód ugrzązł w płataninie gałęzi. Musiał więc i tutaj zawrócić, to znaczy wy

jechać tyłem z uliczki i skręcić w następną, która nie była jeszcze zarośnięta.

Około południa zrobił sobie odpoczynek. Przezornie zabrał ze sobą prowiant: paczkę sucharków, dwie tabliczki czekolady i butelkę szampana. Wysiadł z samochodu. Ponieważ padało, schronił się pod wiatą przystanku tramwajowego. Za wiatą ciągnął się długi mur z czerwonej cegły. Anton L. zjadł sucharki, otworzył z hukiem butelkę i wypił szampana, a potem zaczął zajadać czekoladę spoglądając przy tym na czerwony mur. Był to mur cmentarza. Na tym właśnie cmentarzu pochowano panią Rozę L. Roza L. była matką Antona L.

Anton L. był jedynym dzieckiem swoich rodziców. Nie mogło być zresztą inaczej, jeśli to, co mu powiedziała matka, było prawdą. Podobno bowiem Albert L., ojciec Antona L., nakłonił panią Rozę do małżeństwa bezustannym płaczem, groźbami samobójstwa i tak dalej. Po latach takich prześladowań, kiedy Albert L. nie cofał się już nawet przed stosowaniem podstępów, intryg i przemocy, by odstraszyć innych kandydatów do jej ręki, zgodziła się wyjść za niego za męża, ale pod jednym warunkiem: że pozwole jej zachować cnotę. Albert L. przyrzekł jej to, ale już w czasie nocy poślubnej (Roza L. opowiedziała to swojemu synowi, gdy ten miał może 12 lub 13 lat) zachował się jak ostatni furiat. Miotał się nago po pokoju, obnosząc swoją szokującą męskość, na przemian wrzeszczał i błagał, i zalewał się łzami; ostrzeżenia matki Antona L. i przypomnianie o przyrzeczeniu uszanowania jej cnoty nie poskutkowały. Albert L. zdarł z niej koszulę nocną, ale przezornie miała pod spodem wełnianą bieliznę, tak że koniec końców udało jej się zachować dziewictwo nie tylko tej nocy, ale przez całe cztery lata. Musiała być przebiegła jak lis. Ale raz na cztery lata zagapi się i lis. Było to w roku 1931. Roza L. zapomniała zamknąć na klucz drzwi od łazienki. Albert L. chciał coś stamtąd wziąć, niespodziewanie wszedł do środka, ona krzyknęła, nie miała pod ręką nic takiego, czym mogłaby się zasłonić, ręcznik kąpielowy wisiał na drzwiach. W oczach Alberta L. od razu błysnęło szaleństwo. Błyskawicznie rozpiął spodnie, z których od razu wystrzeliła jego szokująca męskość. Następnie — nie zważając na Ubranie — rzucił się na nią. W kilka sekund później straciła cnotę.

Matka opowiadała, że nigdy w życiu nie czuła się tak zdeprymowana, jak wtedy w wannie. Widok Alberta L., chowającego w mokre spodnie swoją wcale już nie tak szokującą męskość, wzbudził w niej obrzydzenie, ubranie Alberta L. wchłonęło tyle wody, że w wannie nic prawie nie zostało, i Roza L. zaczęła marznąć. Od tej chwili gardziła Albertem L. Jedynym jej pocieszeniem było to, że już wkrótce potem, na podstawie książki „Kobieta jako lekarz domowy”, przyjaciółka uświadomiła jej, że jest w błogosławionym stanie. W dziewięć miesięcy później urodził się Anton L. Aby popsuć ojcu wszelką radość z nowo narodzonego syna, ochrzciła go imieniem „Anton”. Ojciec podobno koniecznie chciał, żeby syn nazywał się tak jak on: „Albert”. Dla niepoznaki wyraziła zgodę.

(Chrzest odbył się dopiero wtedy, kiedy matka wstała z połogu.) W całą sprawę była wtajemniczona matka chrzestna, właśnie ta przyjaciółka od „Kobiety jako lekarza”. Wszyscy udali się do kościoła. Kiedy ksiądz zapytał o imię dziecka, matka chrzestna powiedziała: „Anton”. Ojciec dość głośno, to znaczy dość głośno jak na fakt, że działo się to w kościele, zawołał: Albert, Albert! Wtedy podobno matka Antona L., zachowując przytomność umysłu, powiedziała: Tak, Albert to imię ojca. Ksiądz powiedział: Spokój! i ochrzcił dziecko „Anton”. Wtedy już nic nie można było poradzić. Notabene „Anton” to było imię ostatniego z kandydatów do ręki pani Rozy, którego Albert L. wypłoszył w szczególnie podły sposób.

W domu ojciec znów zaczął szaleć, ale dziecko miało już na imię Anton i nie było rady. Ojciec zachowywał się jak wariat, prawie tak samo jak w noc poślubną, tyle że nie demonstrował swojej szokującej mękości, tylko niebezpiecznie poczerwieniał na twarzy. Posunął się podobno nawet do rękoczynów chwytając matkę swego dziecka dosyć mocno za lewe ucho, ale ona podniosła taki krzyk, że na klatkę schodową, a nawet na podwórko wylegli sąsiedzi, krzyczała na cały głos, nawet kiedy Albert L. już ją puścił. Dopiero kiedy zaczął błagać, wrócić żebrać o przebaczenie i w końcu padł przed nią na kolana, przestała krzyczeć.

Oczywiście nie mogła do mężczyzny, który tak błaga na kolanach, odczuwać czegoś innego prócz pogardy. Jej przyjaciółka,

matka chrzestna Antona L., zapewniła ją, że w takiej sytuacji ona również czułaby tylko pogardę.

Niemniej jednak w ciągu następných lat Albert L. podobno nie zaprzestał prób zbliżenia. W takich wypadkach Roza L. natychmiast podnosiła krzyk i to pomagało. Jak twierdziła, do żadnych dalszych aktów pohańbienia jej cnoty nie doszło.

Zdaniem matki Antona L. cała szubrawość jego ojca wyszła na jaw z chwilą wybuchu wojny domowej w Hiszpanii. Mimo że dotychczas Albert L. zawsze tylko narzekał na Hitlera, natychmiast zgłosił się do legionu „Condor”, prawdopodobnie dla szykownego munduru i w nadziei na łatwe do zatajenia, rozpustne przygody. W obliczu takiego ubóstwa umysłowego zarówno matka Antona L., jak i jego chrzestna mogły czuć do niego tylko jeszcze większą pogardę. Przyjaciółka matki sporządziła krótki donos dla gestapo, który matka później wysłała, żeby udaremić staremu bałwanowi, jak go nazywała (miał już ponad pięćdziesiątkę), pogoń za przygodami. Jak przypuszczała, list nie dotarł jednak od razu — we właściwe ręce, bo dwie niedoświadczone kobiety, ona i jej przyjaciółka, nie znały dokładnego adresu. W końcu nie mogła przecież zapytać Alberta L. No i ojciec Antona L. rzeczywiście pojechał do Hiszpanii. Wrócił nawet z jakimś orderem.

W tym czasie list dotarł już widocznie we właściwe miejsce, ponieważ któregoś dnia Albert L. dostał wezwanie. Po powrocie powiedział podobno, jak opowiadała matka Antona L., że jak dopadnie tego, kto na niego doniósł, to mu skręci kark. Prawdopodobnie, jak sądziła, miał czelność pokazać na gestapo swój order, mimo że nadal lekteważąco wyrażał się o Fiihrerze. W związku z tym urzędnik gestapo, który sam może nie miał żadnego orderu, nie mógł mu pewnie nic zrobić. Powiedziała też, że z tym skręceniem karku to była czcza pogrożka, ponieważ dla pewności wysłała donos anonimowo.

Kiedy potem przyszła prawdziwa wojna, w roku 1939, Albert L. od razu rzucił wszystko i zaraz pierwszego dnia zgłosił się na ochotnika. Przez całą wojnę nie uznał podobno za stosowne napisać do domu ani jednego listu. Na urlop też nie przyjeżdżał, a raczej przyjechał raz, ale akurat wtedy, kiedy matka Antona L. wyjechała z synem i przyjaciółką do matki tej ostat

niej. Matka przyjaciółki mieszkała w małej miejscowości w górach, w St. Meeri. Roza L. od lat w tym samym okresie wyjeżdżała do matki swojej przyjaciółki do St. Meew, więc ojciec doskonale o tym wiedział. Prawdopodobnie nawet tak wszystko urządził, żeby pójść na urlop dokładnie w tym czasie. Matka Antona L. mówiła, że nie chce nawet wiedzieć, co on tam wyprawiał w tym mieszkaniu pod jej nieobecność.

Kiedy naloty stały się coraz gorsze, Roza L. całkiem przeniosła się do St. Meeri, gdzie przyjaciółka odstąpiła jej w domu swojej matki dwa pokoje. Anton L. miał wtedy jedenaście lat. Wkrótce potem przyszła wiadomość, że ojciec dostał się do niewoli. Czasy były coraz cięższe, ale właśnie w tych latach, kiedy nikt nie wiedział, co go czeka, i kiedy wielu ludzi kurczowo trzymało się spraw, o których później woleli zapomnieć, Roza L. przeżywała okres prosperity, chodząc od domu do domu i wróżąc przyszłość z kart. Odwiedzała tylko stałych klientów, ponieważ o całym procederze nie mogła dowiedzieć się policja.

Pani Roza L. wraz z przyjaciółką i jej matką urządziły też seanse spirytystyczne, których regularnym gościem był pan Smećkał, nauczyciel religii Antona L. Działo się to już po wojnie. Seanse spirytystyczne też odbywały się potajemnie. W owym czasie w St. Meeri przebywało z różnych powodów wiele wysoko postawionych osobistości. Niektóre z nich nie były tak gołe, za jakie chciały uchodzić, i zdarzało się, że zostawiały jakąś złotą monetę na spirytystycznym stoliku, zbitym bez użycia gwoździ. Katecheta Smećkał nic nie płacił, wręcz przeciwnie, pani Roza L. wraz z przyjaciółką prześcigały się w rozpieszczaniu duchownej osoby omletami z marmoladą (te lubił najbardziej, w owym czasie był to zresztą rarytas). Jaja na omlety pani Roza L. nabywała u chłopów za te właśnie złote monety. Później zaczęli też przychodzić oficerowie jednej z obcych armii — przyjaciółka Rozy L. mówiła po angielsku, była absolwentką liceum — i płacili papierosami. Papierosy były mniej więcej tak samo cenne, jak złote monety.

• Kiedy ojciec Antona L. wrócił z niewoli — było to latem roku 1947 — Anton był właśnie na obozie wędrownym ze skautami. Anton L. nawet się z nim nie zobaczył, bo kiedy wrócił, ojca już nie było. Matka poinformowała go, że ojciec od razu pokazał się

z jak najgorszej strony. Ledwie przeszedł przez próg, natychmiast rzucił się na tort śmietankowy, stojący na stole. Zanim matka Antona L. i ciotka Hilda (jej przyjaciółka) zdołały wyrwać mu tort, Albert L. pochłoniął już ogromny kawał, a przecież tort był przeznaczony dla katechety Smeckala, którego oczekiwano wieczorem.

— I co było potem? — spytał Anton L.

-r— Resztę tortu, Bogu dzięki było tego więcej niż trzy czwarte, pokroiliśmy na porcje, jak w ciastkarni, pan katecheta nic nie zauważył.

— Chodzi mi o ojca.

Matka odpowiedziała, że sobie poszedł.

Anton L. dowiedział się później, że tego dnia ojciec czekał przez jakiś czas pod jego szkołą. Woźny powiedział mu o tym jesienią, po rozpoczęciu roku szkolnego. Powiedział, że wyszedł zapytać, na co ten pan czeka. Ojciec odpowiedział, że na Antona L. Woźny zwrócił mu uwagę, że teraz są wakacje, i zdziwił się, że on, jako ojciec, o tym nie wie. Potem ojciec Antona L. zapytał podobno, czy Anton L. dobrze się uczy. Woźny odpowiedział, że niestety nie wie, bo jest tu tylko woźnym.

Mniej więcej w rok później zniknęła matka. Wydarzenie to poprzedziło widoczne napięcie, a następnie otwarta, choć starannie tłumiona wrogość między Rozą L. a ciotką Hildą. Będąc sam na sam z Antonem L., matka skarżyła się na jej „niewdzięczność” i mówiła, że „wyhodowała żmiję na własnej piersi”. Ktoś widocznie doniósł policji o nielegalnym wróżbiarskim procederze Róży L. Policja nie spieszyła się zbytnio. Kiedy zjawili się policjanci, Róży L. już nie było. W tym samym czasie zniknął też katecheta Smeckal.

W kilka dni później ojciec zabrał Antona L. do siebie, do miasta. Kiedyś potem Anton L. spytał raz ojca, skąd wiedział, że matka zniknęła.

— Dostałem telegram od ciotki Hildy — usłyszał w odpowiedzi.

— Ciotka Hilda miała twój adres?

— Był na wszystkich listach, które pisałem.

— Pisałeś listy do matki?

— Nie — odpowiedział Albert L. — nie do niej, tylko do ciebie.

— Aha — skwitował Anton L.

Anton L. miał wówczas szesnaście lat. Mieszkając z ojcem przez następne lata w ich dawnym mieszkaniu w mieście, miał czasem ochotę zapytać go, ile jest prawdy w tym, co mu naopowiadała matka. Ale w tym wieku człowiek jest zbyt wstydlivy, żeby rozmawiać o takich rzeczach.

Ojciec zmarł, kiedy Anton L. był na pierwszym semestrze ekonomii. Zawczasu wykupił specjalną polisę ubezpieczeniową, z której nadal opłacano by studia jego syna, ale na przeszkodzie stanęła wkrótce dziwna niechęć Antona do ekonomii i do studiowania w ogóle oraz pierwszy cykl alkoholiczny.

Prawie dziesięć lat później Anton L., pracujący już wówczas w biurze podróży SANTIANSER, otrzymał pismo z okręgowego szpitala dla umysłowo chorych, wzywające go do pokrycia kosztów pogrzebu zmarłej w tym szpitalu Rozy L. Anton L. kupił wieniec i pojechał na pogrzeb. Poza nim nie było nikogo, tylko znudzony młody duchowny i czterech grabarzy. Wobec minimalnej liczby żałobników duchowny zrezygnował z oracji, odmówił jedynie wymagane w obrzędzie modlitwy i błogosławieństwa, i zanim sobie poszedł, wymamrotał do Antona L. coś jak „serdeczne wyrazy współczucia”. Każdy z grabarzy dostał dwie marki napiwku, w związku z czym oni także zapewnili Antona L. o swoim współczuciu.

Nigdy więcej nie przyszedł na ten grób.

Deszcz się wzmógł. Anton L. zakończył posiłek. Butelkę po szampanie i resztę odpadków zostawił na przystanku. (Tyle, co ja nabrudzę — powiedział kiedyś później w dyskusji z zającym Jacobem — przyroda jeszcze jakoś zniesie. Niech pan popatrzy na rzekę. Jest kryształowo czysta. Naprawdę pan uważa, że to coś zaszkodzi, jak wyrzucę parę talerzy przez okno?) Wyszedł spod wiaty, postawił kołnierz kurtki (brzydka, ale grubo ocieplana kurtka w brązowo-zieloną kratę ze sklepu myśliwskiego, skąd brał amunicję) i poszedł wzdłuż cmentarnego muru w stronę bramy. Brama, ogromna krata z kutego żelaza, była zamknięta. (Godziny otwarcia: maj — październik 8.00—17.00, listopad — kwiecień 9.00—16.00). O ile Anton L. mógł się zorientować patrząc przez kratę, cmentarz był szczególnie bujnie zarośnięty. Nagrobki prawie zupełnie ginęły w chaszczach. Nie opłacało się

przełazić przez bramę ani jej wyłamywać, ponieważ nie sposób byłoby przedrzeć się przez tę gęstwinę. Poza tym Anton L. nie pamiętał już, gdzie znajdował się grób. Czyżby zmarli aż tak użyźnili ziemię? A może to dlatego, że cmentarz od samego początku był gęsto obsadzony wszelką możliwą roślinnością? Z gęstwy poderwała się olbrzymia chmara wron, ptaki przegrupowały się w powietrzu i opadły z powrotem. Deszcz wzmógł się jeszcze bardziej. Od zachodniej strony nieba nadciągał mdławożółty wał chmur. Anton L. wrócił do samochodu i wolno ruszył ulicą prowadzącą do rzeki.

Znajdował się w pobliżu Faniska-Strasse. Z tej wysokości widać już było wieżę kaplicy szpitala klarysek, stojącego naprzeciwko urzędu skarbowego — jego urzędu. Anton L. nie miał wcześniej takiego zamiaru, ale skoro był już tak blisko, skręcił w niewielką uliczkę prowadzącą prosto pod wiadome drzwi na tyłach gmachu, które wtedy, 26 czerwca, były zamknięte.

Anton L. zatrzymał samochód tuż pod drzwiami. — A co by było, gdyby drzwi okazały się otwarte? — Anton L. wzdygnął się na tę myśl. Gęste i ciężkie krople deszczu bębniły o dach i szyby samochodu. Gdyby drzwi były teraz otwarte, oznaczałoby to, że oprócz niego, Antona L., jest tu ktoś jeszcze. Siad Pię- taszka. Anton L. nie potrafił określić uczuć, jakie budziła w nim ta myśl.

Przed wszystkim zależy, czy byłby to mężczyzna, czy kobieta. Jeśli kobieta, to stałoby się jasne, dlaczego z katastrofy ocalał właśnie on, o ile byłaby to kobieta młoda, zdolna do rodzenia dzieci. Wówczas on, Anton L., i ta kobieta stanowiliby nowy początek. Z tym że, jeśli wskazane byłoby dalsze rozmnażanie się, dzieci, przynajmniej te z pierwszego pokolenia, byłyby zmuszone do kazirodztwa. (Jest to problem, nad którym Biblia przesłizguje się wstydliwie, podczas gdy teologowie, zwłaszcza katolicy, trzymają się teorii pochodzenia rodzaju ludzkiego od jednej pary ludzi, ze względu na tradycję grzechu pierworodnego, która z kolei stanowi przesłankę boskiego zbawienia przez męczeństwo Jezusa Chrystusa. Swego czasu katecheta Smećkal nie potrafił udzielić odpowiedzi na tego rodzaju pytanie Antona L. i tylko strasznie się rozgniewał. Jako pokutę Anton L. musiał nauczyć się na pamięć trzech pieśni maryjnych, w tym jed

nej nie krótszej niż 14 zwrotek. Incydent dość istotnie przyczynił się do wyobcowania Antona L. z Kościoła katolickiego, co w końcu doprowadziło do całkowitego wewnętrznego zerwania z nim, kiedy po pierwszym okresie alkoholizmem Antonem L. owładnęła mania buddyzmu. Mania ta nie utrzymała się długo, nawrót nigdy nie nastąpił. Wewnętrzne zerwanie z Kościołem katolickim było już jednak nieodwracalne, jakkolwiek w rozumieniu kościelnego prawa podatkowego Anton L. nadal pozostał członkiem tego Kościoła. Dlaczego? Może powinien porozmawiać o tym z kurfirstem, którego stryj był w końcu arcybiskupem.)

Jeśli jednak tym kimś, kto być może otworzył te tylne drzwi, byłby mężczyzna, należałoby podzielić świat. Właściwie nieuniknione okazałoby się ustalenie stosunku podrzędności i zwierzchnictwa. W gruncie rzeczy istnieją tylko trzy liczby (podobno liczą w ten sposób pewne plemiona australijskie): jeden-dwa- - wiele. Jeden = sam; dwa = nie sam; trzy = cztery, pięć, sześć, nieskończenie wiele. Skok od zera do jedynki, to, by tak rzec, akt stworzenia; skok od jednego do dwóch jest przekroczeniem przepaści między byciem a możliwością; skok od dwóch do trzech jest przejściem od jakości do ilości. Po trzech nie ma się już jak zatrzymać, trzy to tyle samo co wiele. Aby zapobiec jakiegokolwiek, niewykluczone, że beznadziejnej, walce, Anton L. postanowił natychmiast się podporządkować.

Ale małe tylne drzwi były zamknięte. Anton L. wyważył je łomem. Szedł dobrze znanymi, ale dusznymi teraz i cuchnącymi zgnilizną korytarzami. Prawdopodobnie w piwnicach aż po stropy stała woda z powodzi. Gniły tam przypuszczalnie akta archiwów. Okna w budynku były całe. Ta dzielnica, leżąca pod osłoną wzgórza, z którego zjeżdżał Anton L., nie ucierpiała od eksplozji. Anton L. wszedł na drugie piętro. Otwierając drzwi z klatki schodowej na korytarz, rozerwał gęstą sieć pajęczyn. Klucz do swojego pokoju Anton L. miał jeszcze przy sobie razem z całym pękiem innych kluczy. Otworzył drzwi. Oba biurka pokrywała gruba warstwa kurzu. W pojemniku na akta opatrzonym napisem „Sprawy wychodzące” leżały również pokryte grubo kurzem akta, nad którymi Anton L. pracował po południu 25 czerwca. Rano 26 czerwca zabrały je goniec urzędu. Goniec miał wysoki wózek na akta z licznymi przegródkami, który

toczył korytarzem od drzwi do drzwi. Brał z wózka odpowiednie akta, zanosił do pokoju, wkładał do stojącego na biurku koszy, ka z napisem „Sprawy przychodzące”, a z analogicznego koszyka z napisem „Sprawy wychodzące” zabierał akta już opracowane.

— Niech pan patrzy — powiedział do Antona L. starszy urzędnik Osterberg podczas kursu wdrożeniowego — akta muszą przejść ze „Spraw przychodzących” do „Spraw wychodzących”. To jest właśnie administracja.

Poczucie sukcesu pojawia się u pilnego urzędnika wówczas, gdy spraw wychodzących, które zabierze goniec, jest więcej niż spraw przychodzących, które przynosi. Jeśli spraw przychodzących jest mimo wszystko więcej, urzędnikowi nie robi to różnicy. Jeżeli ilość spraw przychodzących coraz bardziej przewyższa ilość spraw wychodzących, wtedy mówi się, że urzędnik jest przeciążony.

Goniec przychodził dwa razy dziennie: rano około wpół do dziewiątej i po południu około drugiej. Rano infopmowdł — prywatnie, bo nie należało to do jego obowiązków służbowych — co będzie w południe w kantynie. Na początku miesiąca — to było z kolei zadanie urzędowe — inkasował pieniądze od pracowników i wydawał bloczki do kantyny.

To, że u Antona L. koszyk „Sprawy przychodzące” był pusty, nie oznaczało Wcale, że uporał się już ze wszystkimi aktami. Była jeszcze szafa, gdzie Anton L. przechowywał trudniejsze sprawy, których opracowanie ciągle od siebie odsuwał. Pan Osterberg powiedział mu w czasie kursu także i to: Niech pan sobie nie zakłada półki „nieczystego sumienia”. Sprawy są rodzaju żeńskiego, im starsze, tym bardziej nieprzyjemne. Ale Anton L., jak każdy, z wyjątkiem kilku pracusiów, miał swoją półkę „nieczystego sumienia”. Anton L. otworzył szafę. W środku nie było tak dużo kurzu. Na samym spodzie leżały akta firmy „Smetana”. W grudniu Anton L. popełnił zasadniczy błąd w opracowaniu tych akt. W wyniku zażalenia teczka powędrowała do szefa. Sprawa była tak skomplikowana, że szef nie od razu się zorientował, kto ponosi winę za błąd, ale o mały włos by się tego dowiedział. W styczniu, w pierwszych dniach po święcie Trzech Króli, kiedy znowu zaczęła się normalna praca, akta

wróciły do Antona L. z karteczką szefa: „proszę się nat. zgł.”

Anton L. poszedł z teczką na górę, ale na szczęście szefa akurat nie było. Anton L. zabrał więc akta z powrotem i położył je na sam spód szafy. Szefowi mógł z czystym sumieniem powiedzieć: przecież zgłosiłem się natychmiast. Ale szef na razie zapomniał. Gdyby Anton L. natychmiast sporządził wtedy dyspozycję uzupełniającą — musiałaby ona być niezwykle skomplikowana — to przynajmniej na zewnątrz, czyli w stosunku do firmy „Smetana”, wszystko dałoby się wyprostować. Anton L. odsunął to od siebie.

W marcu sprawa ta ciążyła już na duszy Antona L. jak młyński kamień. W kwietniu szef przysłał oficjalną dyspozycję dotyczącą firmy „Smetana”, wniosku do akt i raportu na piśmie. Na szczęście szef omyłkowo podał inny numer sprawy. Anton L. wysłał zatem na górę te drugie akta, których numer widniał w dyspozycji, wraz z odpowiednim raportem. Musiało to spowodować pewne zamieszanie i niewykluczone, że sprawa wylądowała z kolei na półce „nieczystego sumienia” szefa. Nie zmieniło to faktu, że w lipcu, a najpóźniej w sierpniu, wraz z nowym zgłoszeniem podatkowym sprawa musiałaby wypłynąć ponownie. Antona L. czekały solidne nieprzyjemności. Wielokrotnie już zupełnie poważnie się zastanawiał, czy nie wynieść tych akt potajemnie i nie zniszczyć. Nie był jednak pewny, czy jego kolega z pokoju przypadkiem nie wiedział, że akta były w szafie. (Kolega miał w niej także swoje kamienie młyńskie, ale żaden nie był aż taki wielki.) Raz, w głupim przypiływie szczerości Anton L. poskarżył mu się nawet: Żeby tak te akta „Smetany” diabli wzięli...

— Żeby tak te akta „Smetany” diabli wzięli. — Anton L. trzymał w ręku akta, duży gruby plik ściśnięty specjalnym paskiem z klamrą. — Czyżby tak drobna przyczyna — obiektywnie patrząc tak nic nie znacząca przyczyna — miała być wyjaśnieniem katastrofy z nocy z 25 na 26 czerwca? Nie wierzę — pomyślał Anton L.

Otworzył okno, odpiął klamrę paska przytrzymującego akta i wysypał papiery na ulicę. Deszcz ustał. Stronice dokumentów sfruwały trzepocząc na ziemię, zatrzymując się na bujnych krzewach porastających wąski trawnik przed budynkiem. Większość spadła na mokry chodnik.

Kiedy, ruszając w drogę powrotną, Anton L., skręciwszy za róg, przejechał wzdłuż frontowej ściany gmachu urzędu, z niejakim zadowoleniem najeżdżał kołami na rozsypane dokumenty, których strzępy wlatywały w górę za samochodem.

Pokrywa chmur na zachodzie pękła. Drzewa nad rzeką płonęły jesiennymi barwami. Wysokie drzewo, stojące tuż przy moście, miało kolor krwi. Jakby chcąc stworzyć kontynuację barwy tego majestatycznego kolosa, chmury na zachodniej stronie nieba nabrały barwy złocistej, potem pomarańczowej i wreszcie oblały się krwistą czerwienią. Spomiędzy rozdartej powłoki chmur jak wiązka oszczepów wystrzeliły z ukosa w stronę wież miasta złote promienie słońca, sprawiając, że dachy rozblęły jakby dalekim wspomnieniem obrazu Canaletta.

XVI. KURFIRST ZAWINIĘTY W BLACHĘ

W drugiej połowie sierpnia Anton L. ponownie udał się do mieszkania Solimana Ludwiga. Nie przebywał tam długo. Szukał czegoś konkretnego i wydawało mu się — jak widać słusznie — iż wie, gdzie tego szukać.

„Drogi Przyjacielu — brzmiał tamten list, napisany przez Candtlera i przekazany przez Eschenloha — tym razem się nie mylę, to, czego szukamy, istnieje. Być może już jutro do tego dotrę. Proszę mi szybko zwrócić... — Anton L. odczytał tu słowo „kortg”. Teraz wiedział, że chodziło o „kartę”. — Proszę mi szybko zwrócić kartę, nie później niż do 10.30. Pozdrowienia, Pański C(andtler).”

Z korespondencji Ludwiga Anton L. wiedział, że pan Candtler przeczesywał bibliotekę, której dyrektorem był niejaki dr Gebesser, przyjaciel Candtlera. Na kilka tygodni przed katastrofą Candtler wpadł na trop dzieła średniowiecznego medyka o nazwisku Ah-Mery (lub Ach-Mehri). Dzieło opatrzone było nic nie mówiącym, względnie, jak kto woli, ambitnym tytułem „De mundo”. ów Ah-Mery był szkockim krzyżowcem, który w czasie bitwy pod Hittin, która oznaczała straszliwy koniec pierwszego królestwa Jerozolimy, dostał się do niewoli sułtana Saladyna, następnie pozostał w Egipcie, stając się uczniem słynnego lekarza i filozofa el-Ismina. Później powrócił do Europy i osiadł w Wenecji*. Jego dzieło nie zachowało się w oryginale, ale przetrwał komentarz do niego, napisany przez Giovanniego Battistę Nani. Nani który zmarł w roku 1678, był autorem półoficjalnej historii państwa weneckiego. Miał wgląd we wszystkie, nawet niedostępne dla innych, źródła. Miał także dostęp do rękopisu Ah-Mery'ego, który to rękopis — będąc dziełem heretyka — przechowywano w tajnym archiwum w Pałacu Dożów i który, wraz z innymi dziełami, jak na przykład Złotą księgą weneckiej arystokracji, został spalony po zdobyciu Wenecji przez Napoleona. (Już choćby za to ten korsykański kurdupeł zasługuje na męki piekielne, jakich nie wymyśliłby nawet Dante.) Rękopis Ah-Mery'ego nie był źródłem przydatnym przy pisaniu historii Wenecji, ale widocznie wywarł on na Nani tak silne wrażenie, że ów napisał wspomniany komentarz. Komentarz ten ukazał się drukiem w Amsterdamie w roku 1704 u anonimowego wydawcy.

W bibliotece prowadzonej przez dr Gebessera znalazł Candtler bardzo powierzchowną, pochodzącą z 1895 roku pracę belgijskiego historyka-obskuranta o nazwisku Claudius Lactans Graf von Hompesch, gdzie w jednym z rozdziałów pomieszczono cytaty z komentarza Naniego do rękopisu Ah-Mery'ego. Książka Hompescha nosiła tytuł: „Biblia prawdziwa”. Była powierzchowna i niesolidnie napisana, ale wystarczająco atrakcyjna dla Solimana Ludwiga i jego przyjaciół, ponieważ wyraźnie była w niej mowa o księdze, zawierającej tajemnicę świata, której istnienie zakładali. Jak na złość w książce Hompescha (Simon List posunął się do tego, że nazwał ją nawet raz haniebnym gniotem) po pierwsze, cytaty z Naniego podano tak niedokładnie, że nie sposób było odróżnić komentarza Naniego od cytowanych przezeń zdań z rękopisu Ah-Mery'ego, po drugie, nie było wzmianki o tym, jak i gdzie odnalazł Hompesch komentarz Naniego, ów anonimowy druk z 1704 roku.

Dzięki staraniom dr Gebessera w dość krótkim nawet czasie udało się jednak ustalić, że zachowały się jeszcze trzy egzemplarze wydania z 1704 roku: jeden w bibliotece im. Sałtykowa-

Szczedrini w Leningradzie, jeden w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie oraz jeden w British Museum. British Museum zgodziło się wykonać fotokopię książki dla dr Gebessera.

Reszty Anton L. mógł się tylko domyślać: prawdopodobnie Candtler dowiedział się 25 czerwca, że fotokopie — przypuszczalnie spora paczka — właśnie nadeszły. Żeby je odebrać, musiał mieć swoją kartę biblioteczną (mimo że dyrektor Gebesser był jego przyjacielem? Czyżby był akurat na urlopie?), którą z jakichś tam powodów miał przy sobie Soliman Ludwig. Anton L. musiał odnaleźć tę kartę, żeby się dowiedzieć, o którą bibliotekę chodzi.

— Candtler musiał zakładać, że Ludwig ma tę kartę przy sobie, bo inaczej nie byłoby sensu wsuwać wiadomości pod drzwi już po zamknięciu sklepu — rozważał Anton L. — Candtler liczył się z tym, że „nie później niż do 10.30” Ludwig nie będzie musiał wracać się do domu po kartę biblioteczną. Zresztą nie byłoby to chyba w godzinach pracy możliwe. W takim razie wystarczy poszukać w jego portfelu.

Tam też ją znalazł, kartę biblioteczną na nazwisko Horst Candtler, ważną na dział starodruków Biblioteki Głównej, podpisaną przez dr Gebessera.

Anton L. włożył kartę z powrotem do kieszeni śp. Solimana Ludwiga. Biblioteka Główna znajdowała się w połowie drogi pomiędzy mieszkaniem Ludwiga i hotelem, niedaleko od miejsca, gdzie niedawno Anton L. napotoczył się na stado krów. Anton L. nie był w tej bibliotece już od wielu lat/ale znalazł ją mniej więcej, ponieważ w okresie, kiedy pracował w wydawnictwie, od czasu do czasu tam bywał.

W sprawdzony sposób — za pomocą łomu — dostał się do wielkiego klasycystycznego gmachu. Tablica informacyjna przy wejściu głosiła, że dział starodruków znajduje się na drugim piętrze. Tam Anton L. musiał trochę poszperać; już prawie myślał, że może paczka jest gdzie indziej, powiedzmy w dziale „Wydawanie książek” albo „Wypożyczalnia międzybiblieczna”, ale końcu znalazł paczkę, kartonowe pudło, na biurku w gabinecie dyrektora Gebessera. Na pudle leżała karteczka „Dla pana Candtlera. Odbierze osobiście. 22.6.” Obok leżał rachunek. Pan Candtler musiałby zapłacić 120 marek.

Anton L. usiadł w fotelu dyrektora Gebessera i otworzył pudło. W środku był duży stos fotokopii. Pierwsza przedstawiała bogato zdobioną stronę tytułową. Dane autora dopisano ręcznie: G. B. Nani, Venice, do tego adnotacja biblioteki, długi numer i pieczęć British Museum. A potem szok: książka — właściwie Anton L. mógł się tego domyślić wcześniej — była pisana po łacinie.

W gimnazjum Anton L. miał łacinę. W ogóle nie był dobrym uczniem, ale z łaciny był szczególnie słaby. Przez wszystkie późniejsze lata w najmniejszym nawet stopniu nie korzystał ze znajomości tego języka. Włożył stronę z powrotem do pudła i poszedł. Ale już następnego dnia wrócił i zabrał się do pracy. Przypomniał sobie, że w czytelnicy na pierwszym piętrze stoją leksykony. Przyniósł sobie stamtąd — musiał obracać dwa razy — siedem tomów in folio Thesaurusa Linguae Latinae, a stwierdziwszy, że dzieło to jest na jego potrzeby zbyt szczegółowe, a w dodatku doprowadzono je tylko do litery M, przyniósł sobie podręczny słownik łacińsko-niemiecki Langenscheidta. Pamiętał, że tłumaczenie należy zaczynać od czasownika. Pomocna była mu też gramatyka łacińska Voita/Zinsmeistra, gdzie w aneksie podano wykaz wszystkich używanych czasowników nieregularnych.

Było to jakby rozszyfrowywanie kodu. Trudności malały systematycznie wraz z postępem pracy. Anton L. pracował codziennie godzinę lub dwie w wygodnym biurze dr Gebessera. Początkowo tłumaczył pisemnie, to znaczy wystukiwał tekst przekładu na maszynie do pisania dr. Gebessera, stojącej na małym stoliku obok biurka. Po jakichś trzydziestu stronach zrezygnował z tego i wypisywał między wierszami oryginału tylko, co bardziej skomplikowane zdania, których rozgryzienie sprawiało mu większe trudności. W ten sposób szło mu coraz szybciej. Pod koniec sierpnia Anton L. mógł już z czystym sumieniem nazwać swoją pracę nad łacińskim tekstem Giovanniego Battisty Naniego czytaniem. Lektura okazała się raczej nudnawa. Messer Nani plątał się w nieskończonych spekulacjach natury filozoficznej i teologicznej, przerywanych umoralniającymi kazaniem, w których najwyraźniej chodziło o to, by nie pozostawić najmniejszych wątpliwości, iż autor w sposób niezłomny i trwały stoi na gruncie wiary rzymskokatolickiej, ponieważ pozostałe fragmen

ty tekstu niezbyt za tym przemawiały. Nani był chyba raczej jansenistą, o ile jego zainteresowania w ogóle nie wykraczały poza ramy wiary chrześcijańskiej.

O Ah-Merim (Almirusie, jak nazywał go Nani) komentarz mówił niezbyt • jasno. W drugiej księdze — tekst był tu nieco bardziej interesujący — Nani opowiadał dzieje Ah-Meriego, ale tak, że i tutaj od razu było widać, że chodziło głównie o to, by oczyścić go z podejrzeń o odszczepieństwo od wiary chrześcijańskiej oraz herezję. Nani twierdził, że Ah-Meri zmarł jako przeor jakiegoś klasztoru. Było to wyraźnie wyssane z palca, ponieważ z jednej strony Nani nie podał, o jaki klasztor miałyby chodzić, z drugiej zaś twierdził, jakoby miał wgląd w dokumenty „owego klasztoru”.

Najważniejsze okazały się ostatnie cztery stroniczki.

— Gdybym o tym wiedział — stwierdził w myślach Anton L. — nie czytałbym tych pierwszych 236.

Ostatnie cztery stroniczki pisane były po staroniemiecku, wydrukowane zupełnie inną czcionką i prawdopodobnie dołączone tylko do zasadniczego dzieła Naniego, który raczej na pewno nie był autorem tego dodatku.

Tekst zamieszczony na czterech stroniczkach brzmiał:

W czas karnawału Anno Domini MDCC... przybył młody Xiążę Philipp Moritz, pan na B*** do Wenecji. Młody Xiążę był drugim synem Kurfiršta ria K*** i przeznaczon do stanu duchownego. Takż biskupstwa Monasteru i Paderbornu vacat miały i na owez stolce biskupie Xiążę miał być wyniesion, jako też na pozycję coadjutore stryja swego Kurfiršta na K***. Xiążę nie był jeszcze otrzymał „święceń kapłańskich, ale też więtszy smak poczuwał do wszelakich świeckich spraw i rzeczy. Naonczas miał lat około dwadzieścia. Towarzyszył mu ochmistrz, graf Jacobus von Zweif- fel, który był już w służbie ojca Xięcia i dzielił z nim jednako świetne wyprawy wojenne przeciw Turkom, jak i nieszczęsne fata na wygnaniu poza granicami kraju.

W Wenecji na czas karnawału cały lud, tak wysoki jak nizki, zwykł przywdziewać maski. Ochmistrz Xięcia nie widział potrzeby zbraniać tego Xięcia, takowe postęпки uważał za figle niewinne, do których młodzi ludzie zawsze pociąg mieli. Aby nie zostawiać Xięcia samego, musiał graf von Zweiffel sam per fas et nefas przywdziać maskę. Ale młody Xiążę niepowszednio esty- mował sobie zwyczaj pospółstwa ruszania w tany na placach, gdzie przygrywała muzyka cudna tak, że nawet na biesiadach w domach Xiążęcych gdzie indziej usłyszeć się nie da, chociaż na pomienionych placach muzykowali tylko zwykli gondoliere i pif- ferari, a nawet żebracy. Pod koniec carneuale młody Xiążę popadł w taki szał taneczny, że jego ochmistrzowi, ledwie wyszedł z domu, quasi tchu w płucach brakło. Takż rzecz Xiążę, iż car- nevale dni kilka jeszcze tylko trwać będzie i że nawet senatores i patricii incognito z tłumem tancerzy się mieszają, by zaznać rozrywki. I poszedł Xiążę sam.

Kiedy kilka dni tak przeminęło, ochmistrzowemu oku nie mogła ujść zmiana, jaka w Xięciu zaszła. Chociaż ochmistrz z powodu wilgoci, jaka w Wenecji panuje przez uńelgą liczbę canales, na wpół złożon był do łoża podegrą, przekonać zdołał młodego Xięcia i rzekł mu: Jestem człowiek stary i wiem, co się młodemu przy- darzyć może, zwłaszcza kiedy tak tańczy zamaskowany. Powiedz tedy.

Xiążę był mocno skonfundowany, lecz na usilne namowy ochmistrza przyznał się, że tańczył z jakąś młodą niewiastą, która zdała mu się prawie aniołem.

Westchnął ochmistrz graf von Zweiffel bardziej jeszcze niż od podegry i rzekł: Od razu mogłem się domyślać, i co my powiemy Jego Xiążęcej Mości, Waszemu Panu Ojcu; jeśli to będzie nierówna amoure? Zwłaszcza kiedy jesteście, Panie, przeznaczeni do stanu duchownego!

Niech diabli porwą stan duchowny i biskupie stolce w Mona- sterze i Paderbornie, rzecz młody Xiążę, jeśli im się to na coś przyda. Ja chcę choć wiedzieć, jakie jest jej imię. - Ochmistrz pomyślał sobie; Jeśli mu tego od razu zabronię, szaleństwo ogarnie go jeszcze toiętsze. Wstał tedy sapiąc z łoża boleści, przybrał maskę i rzecz do Xięcia: Niech Wam Panie Bóg wybaczy, że taki dręczony podegrą starzec przez Wasz szał amo- rowy maskę przywdziać musi lubo jak owys młody lekkoduch i błazna z siebie robi. I udali się obaj na poszukiwanie niewiasty, która zbałamuconemu księciu zdała się aniołem. Nie mogli jej jednak odnaleźć, przede wszystkim dlatego, że w ostatnie dni car- nevale cizba na ulicach i placach Wenecji jest bar2o wielga, wszę

dzie dokazuje mnogość błaznów i kuglarzy, a na canali pływa tam i z powrotem i do sta gondoles, zaczym Xiążę co chwila wołał: To ona,! aleć to nie była ona.

W pierwszy dzień postu, kiedy błazeństwo i masquerada zniknęły z ulic, rzekł Xiążę: Teraz już jej nigdy nie odnajdę. Nie wiem nawet, jakie jest jej imię. I popadł w niemoc wielką. Ochmistrz wzdychał od podegry, a Xiążę już wkrótce jeszcze bardziej ze swej choroby, tak że w czas krótki potem ochmistrz musiał zapomnieć o wzdychaniu i napisał 'do łaskawego Kurfista do M***, że syn jego boleścią, wielką złożon.

Xiążę Pan posłał weksel do jednego Żyda w Wenecyi, jako też list napisać kazał, żeby do chorego syna najlepszych medyków weneckich sprowadzić, jako że Wenecyja słynną z medyków prześwientnych była, i w liście jeszcze nadzieję wyraził, że Xiążę nie zapadł na wiadomą chorobę, która zwfykła nękać cavaliers.

Ochmistrz, jako przekazano, do łoża boleści najprzedniejszych medyków sprowadził, ale Xiążę do ściany twarz obrócił i wzdychał i słabł coraz bardziej. Medycy dawaj puszczać mu krew, robić lewatywy, aplikować maści i najróżniejsze arcana, ale nic nie pomagało.

Na koniec przybył dwunastego dnia marca jeden medyk, który o chorobie Xięcia usłyszał, a nazywał się ów medyk Hormizdas i był Ormianinem. Miał ze sobą mieszek skórzany i powieada: Słyszałem o nieznaney chorobie Xięcia, aleć nie jest to wcale chorobą nieznaną, bo to, co mam tu, w tym skórzanym mieszkku, to właśnie ta choroba i jednako lekarstwo na nią, jeśli tylko pan ochmistrz gotowość okaże sto dwadzieścia cekinów wypłacić. Ochmistrz włosy z głowy drzeć począł i rzekł: Takowe arcana, czy w skórzanym mieszkku czy w innym do cna weksel złożony u Zyda pochłoną, zatem zobaczyć chcę, co jest w mieszkku. Ormiański Hormizdas odpowiedział mu na to: Nie będzie wpierw zapłaty, nie pokażę, co w nim.

A stało się tak, że drzwi były otwarte i złożon niemocą Xię- żę usłyszał dysputacyą i wnet zakrzyknie: Daj mu zaraz cekiny. A że było to pierwszy raz od dni wielu, że Xiążę poza stękanem i skargą żałośliwą dźwięk z siebie jakowys inny wydał, uwierzył ochmistrz wraz w cudowną moc tego arcani, co go Ormianin miał w mieszkku, i wyliczył mu sto dwadzieścia cekinów. Po czym medyk ormiański poszedł do Xięcia i wyjął z mieszkka mały medalion w kształt orzecha złożony i pokazał Xięciu, a ten zertuał się i zakrzyknął: Ona to jest! Wziął jej wizerunek i do serca przycisnął, jako też całować swemi usty począł i skakać tam i sam, aż całkiem słabość go opadła, boć wiele dni nic nie pożywał. Kiedy na powrót w łożu leżał, rzekł: Jeślić nie jest wola Wasza, bym żywota dokonał, tedy wiedźcie mię do Niej. Ale słabość jego była zbyt, wielga i Ormianin przyrzeczenie złożył następnego dnia do niego przybyć i kazał, żeby Xiążę zupełną wzmocniającą z zielonego szczypiorku pożył.

Aleć jeszcze tego samego dnia wyzionął ducha Xiążę. Ochmistrz przygotował jeszcze funeralia i posłał żalony list do Kurfirsta. Poczym szykował się już wracać bez Xięcia do M***, kiedy na godzinę przed wyjezdem zjawił siężnów Ormianin.

Ochmistrz rzecze do niego w te słowa: Wasze arcanum nic nie pomogło, panie medyku, takoz i zupa z zielonego szczypiorku.

Wiem, że Xiążę nie żyje, odparł Ormianin. Ale pewna dama, której imienia zdradzić nie mogę, przysyła to, i podał ochmi- strzouH kasetkę wielkości wypaloney cegły, w lniane płótno zaszytą i pieczęcią opatrzoną. Dama jest ostatnią z rodu, niechże pan ochmistrz nic nie pyta, bo dama jest w klastorze, gdzie już pozostać zamiaru je.

Pomyślał tedy ochmistrz, że nie może to być oszustwo, skoro za skrzyneczkę nic w zamian nie żada i wziął ją ze sobą. W drodze przełamał pieczęć, odwinął płótno i w kasetce znalazł precudną książkę z pustymi stronicami. Ale że była w nadzwyczajnej piękności oprawie, wydał ją wraz z innym dobytkiem młodego Xięcia Jaśnie Wielmożnemu Kurfirstowi, który razem z małżonką szczerze go oplakali. Książka sama oprawna była w wielkiej delikatności błękitną skórę ze złotymi i czerwonymi gwiazdami, a na grzbiecie miała złotego węża, który się rozdziela i figurę przedstawia jako to cyfra ósm.

W żadnej z encyklopedii stojących w czytelni Biblioteki Narodowej Anton L. nie znalazł wzmianki o księciu, nazywającym się Philipp Moritz. Z Almanachu gotajskiego, którego odczytanie jest sztuką samą w sobie, skorzystać nie potrafił. Za to w „Tablicach genealogicznych do historii państw europejskich, tom I" Ysenburga-Loringhovea znalazł księcia.

Dzień śmierci się z
naHBMHm

^zgadzał — 12 marca, rok był 1719 — zgadza, ła się też informacja, że książę był drugim synem Kurfirsta Anton L. stwierdził także, iż książę był stryjcem spiżowego kurfirsta stojącego przed rezydencją plecami do nadwornej wytwórni świec, w której pracował Soliman Ludwig.

Co jednak stało się z książką? Stary kurfirst oplakujący syna przypuszczalnie jej nie wyrzucił. Na pewno włączył ją do swojej biblioteki albo ustawił w gabinecie osobliwości, tak że najprawdopodobniej przetrwała, przekazywana kolejnym spadkobiercom, aż do dnia, kiedy zniesiono monarchię. A co potem? Skarby sztuki pozostały w rezydencji, podobnie klejnoty. Prawdopodobnie nikt już nie wiedział, co stało się z książką.

W tej sytuacji w pierwszych dniach października Anton L. postanowił szukać w rezydencji. Znalazł bibliotekę, ale książki nie było.

Kiedy w kilka dni po eksplozji Anton L. udał się w stronę rezydencji, zobaczył, że spiżowy kurfirst jest zawinięty, mianowicie zawinięty w dach, który niby blaszany żagiel szybował niedawno Anakreon-Strasse. Dach natrafił po drodze na pomnik, zatrzymał się na nim i zagiął.

— Jak Wasza Książęca Mość wygląda! — zdumiał się Anton L.

— Głupie gadanie — odparł kurfirst — lepiej niech mnie pan odwinie.

—r Trudno będzie — stwierdził Anton L. — to przecież kompletny blaszany dach.

— Nie pozwoli pan chyba, żeby kurfirst był zawinięty w blachę, skoro już kradnie mu pan obrazy.

— No, nie wiem, czy tu można mówić o kradzieży.

— A jakżeby inaczej, panie L. Nawet jeśli został pan na świecie sam, to wcale nie znaczy, że wszystko jest zaraz pana.

— To bardzo cienkie zagadnienie prawne. A tak w ogóle, to skąd pan wie, jak się nazywam? — spytał Anton L.

— Też mi sztuka — odrzekł kurfirst głosem tłumionym przez blachę — skoro żyje tylko jeden człowiek i nazywa się L., to pan musi nazywać się L.

— Tylko ja żyję? — zapytał Anton L.

— W każdym razie nikogo innego dotąd nie zauważyłem — odpowiedział kurfirst.

Anton L. zabrał się do rozginania blaszanego dachu, co było pracą nader ciężką. Niewiele zdziałał.

— Nie da rady — powiedział.

— Bo źle pan to robi. Niech pan podjedzie samochodem, przyczepi z tyłu linę...

— Znakomity pomysł — stwierdził Anton L. i wrócił do hotelu. Po chwili był już samochód i lina.

— Lina jest o wiele za cienka i do tego za krótka — powiedział kurfirst przytłumionym głosem.

— Skąd pan wie? Jak pan to widzi, skoro jest pan zawinięty?

— Ależ z pana głupiec. Przecież widzę to, co widzą pańskie oczy. A może pan myśli, że ja mówię naprawdę?

— Właśnie chciałem o to zapytać... — powiedział Anton L.

— Nie ma żadnych pytań. A ta lina, którą pan przywiózł, to nie lina, tylko zwykły sznurek. Przecież są te urwane druty z trakcji elektrycznej. Czemu pan tego nie weźmie?

Podmuch eksplozji istotnie zerwał kilkadziesiąt metrów przewodów linii tramwajowej i zrolował je w całkiem staranny zwój. Anton L. rozpostował drut i odciął długi kawał. (Z tego powodu musiał po raz drugi wrócić do hotelu, gdzie w podręcznym warsztacie wśród różnych narzędzi leżały też wielkie nożyce do cięcia drutu.)

— Nie tak — powiedział kurfirst, kiedy Anton L. zaczął mocować drut do haka od przyczepy w samochodzie. — Przecież kiedy to żelastwo się ze mnie zsunie, rąbnie pana z tyłu w samochód. Musi pan zrobić wyciąg. Niech pan przełoży drut przez jedną z kolumn teatru i ciągnie w przeciwnym kierunku. Kolumna wytrzyma.

Anton L. posłuchał.

— A teraz niech pan zrobi w dachu dwie dziury, żeby przeciągnąć drut. Potem musi pan...

— ...musi musi... — przedrzeźniał Anton L., ale cicho.

Kurfirst więcej się nie odezwał.

— Pewnie się obraził — pomyślał Anton L.

Operacja zajęła mu dobrą godzinę. Trzykrotnie nie wytrzymał niezdamny węzeł zawiązany na drucie. Okazał się dostatecz

nie mocny dopiero po obwiązaniu dodatkowym kawałkiem drutu. Anton L. nacisnął pedał gazu, dach ześliznął się z blaszanym łomotem, samochód skoczył naprzód, dach z hukiem uderzył o kolumny i legł na schodach teatru. Za to kurfirst był wolny. Tylko spada mu się zgięła.

Anton L. wysiadł z samochodu.

— Mógłby pan chociaż powiedzieć dziękuję — zauważył cierpko.

— Dziękuję — powiedział kurfirst.

XVII. HORMIZDAS II

W listopadzie, już po pierwszych opadach śniegu, na parę dni zrobiło się znowu ładnie. Drzewa były już niemal doszczętnie pozbawione listowia, tylko gdzieniegdzie na głównych gałęziach trzymał się jakiś uparty liść, błyszczący teraz w zimnym blasku listopadowego słońca niby klejnot. Powietrze było suche, ziemia zamarznęta i pokryta leciutką, białą i skrzypiącą warstwą szronu. W miejscach zacienionych — nawet w ciągu dnia. Ponieważ nie było wiatru, tam, gdzie dochodziło słońce, jeszcze raz zrobiło się ciepło jak pod koniec lata.

Kiedy minęły już dwa takie dni — Anton L. rąbał na dworze drzewo w samej koszuli — a i trzeci zapowiadał się podobnie, Anton L. udał się w największą i ostatnią już wyprawę, ostatni radialny wypad w poprzek od dawna zarzuconych koncentrycznych kręgów. Tego dnia w ogóle nie rąbał drzewa. Do srebrnej książęcej miski, z której jadała Sonia, wsypał cały słoik wiśni konserwowych, dla siebie zapakował dwie butelki szampana, paczkę sucharków, słoik korniszonów, udko zająca, którego ustrzelił dwa dni temu i upiekł, oraz cztery pudełka czekoladek i ruszył w drogę. Znow, pojechał w kierunku wschodnim Fanis-ka-Strasse, omijając tereny, które, jak wiedział, spustoszyła eksplozja. Podążał aleją prowadzącą do autostrady. Pod domami leżały sterty gnijących liści, głównie w kątach i zakamarkach, gdzie zagnał je jesienny wiatr wiejący w poprzednim tygodniu. Ze szczególnie okazałej sterty liści u stóp wysokiego muru wysypało się stadko myszy i przemknęło na drugą stronę ulicy. Nie

daleko od tego miejsca siedział lis. Kiedy Anton L. przejeżdżał obok, lis skrył się za drzewem.

Domy ustąpiły w tył, do samej jezdni podeszły pola. W oddali zarysowała się ciemna wstęga lasu. Wyblakłe, ale idealnie błękitne niebo wysklepiało się nad tym późnojesiennym obrazem. Z łąków, które nigdy już nie zostaną zżęte, wzleciały w powietrze stada wron. Na autostradzie Anton L. jechał omal za szybko. W tunelu pod jednym z rozjazdów, kilka kilometrów od miasta, zebrała się woda, tworząc dosłownie małe jezioro. Kiedy Anton L., widząc mknącą w jego stronę tafelkę wody, przestraszony zaczął hamować, samochód wpadł w poślizg, okręcił się kilkakrotnie i zatrzymał już czterema kołami w wodzie. Parę kaczek gęgając wpłynęło do mrocznej, wypełnionej wodą grotu.

Silnik zgasł. Anton L. opuścił szybę. Woda pachniała stęchlizną, na jej powierzchni leniwie unosiły się kolorowe, oleiste smugi, pływały liście. Anton L. ochłonawszy nieco z przestachu, próbował zapuścić silnik. Udało się, silnik zaskoczył. Ostrożnie wyjechał tyłem z wody, zawrócił i pojechał z powrotem. (— Autostradą pod prąd — pomyślał sobie — i żaden policjant mi nie zabroni!)

jechał teraz powoli. Po kilkuset metrach obok autostrady pojawiła się równoległa polna droga. W miejscu, gdzie nie było barierki, Anton L. powoli zjechał samochodem po łagodnym stoku. Droga prowadziła do wsi. Postawił samochód na placu pod kościołem. Pod murem cmentarza stał pomnik poległych: anioł, trzymający wieniec laurowy, podnosi umierającego żołnierza, któremu wypadł z dłoni karabin. Na wypolerowanej tablicy z czarnego kamienia złote litery układały się w napis: „Poległym naszej gminy”; między „poległymi” a „naszej” żelazny krzyż, pod spodem data „1914—1918” i około dwudziestu nazwisk. Z drugiej strony umieszczono drugą czarną tablicę z datą „1939—1945”. Ponieważ tablice musiały być symetryczne, tutaj nazwiska trzeba było wyryć drobniej. Było ich ponad czterdzieści. Zarówno na jednej, jak i na drugiej tablicy zadziwiająco wielu poległych nosiło nazwisko „Mausberger”. Obok każdego nazwiska widniał stopień wojskowy.

Mausberger Georg, szer., 4.IV.1917, Arras

Mausberger Heinr., st. szer., 28.XI.1917, Cambrai.

Na drugiej tablicy: również Mausberger Georg, piech., 6.VIII 1943. Orzeł; Mausberger Gunther, pdof., 31.VIII. 1942, El-Alam- ein. Anton L. pamiętał nazwy tych miejscowości. Wystarczająco często je wymieniano, wtedy. „Pdof” znaczyło podoficer. Anton L. przebiegł wzrokiem wszystkie nazwiska. Był wśród nich jeden podporucznik: Rossrucker Ludwig, 1945, zag. na wsch. — wyższej szarży nie było. Anton L. zwrócił uwagę na coś podobnego już dawniej, kiedy w Austrii poszedł z ojcem na cmentarz poległych. Ojciec szukał wtedy grobu przyjaciela, który zginął na wojnie. Szli wzdłuż nie kończących się rzędów odczytując nazwiska. Rzadko kiedy był wśród nich jakiś porucznik albo kapitan.

— A gdzie leżą generałowie? — spytał ojca Anton L. Ojciec zaśmiał się, a potem powiedział: — Generałowie mają nieco inny stosunek do śmierci na polu chwały.

Było południe. Po lewej i prawej stronie pomnika stało kilka drewnianych ławeczek. Zielsko rozpleniło się także tutaj pod murem za ławkami i na skwerku okalającym pomnik. Teraz było już bezsilne, wyblakłe i żółtkłe. Drzewa potraciły wszystkie liście. Poprzez gałęzie świeciło na ławki słońce. Anton L. wziął z samochodu prowiant i usiadł na jednej z ławek. Leżące wszędzie wokoło sterty liści wydzielaly cierpki, korzenny zapach, prawie jakby dymu. Anton L. odgryzł kawałek zajęczego udka, zakąsił sucharkiem. Stwierdziwszy, że to trochę za suche, otworzył szampana. Huk wystrzelającego korka wdarł się w eiszę niby żywy, nieznan czarny ptak, którego wielkie skrzydła na moment przesłoniły ten późnojesienny dzień. Dopiero ten huk uświadomił Antonowi L. tak naprawdę, jak przejmująca panuje wokół cisza.

Po skończonym posiłku Anton L. przespacerował się trochę po okolicy. (Broń wziął ze sobą, mimo że nie oddalił się od samochodu więcej niż na 200 metrów.) Umyślnie powłóczył nogami brodząc w grubej ściółce zeschniętego listowia. Przez małe okienka zająrzył do wnętrza miejscowej gospody. Krzesła stały odwrócone na blatach stolików. Gospoda była już zamknięta. Wtedy. Gruba warstwa kurzu pokrywała parapety w środku, okna zaciągnięte były pajęczynami. Anton h. rozejrzył się po podwórku. Brama była otwarta. Na łańcuchu wisiał szkielet psa. Do stodoły smyr- gnęły szczury. Anton L. wrócił do samochodu. Włożył strzelbę do środka i wyjął pudełko czekoladek. Przywykł do takiego deseru, popijał go resztką szampana. Kiedy wsunął do ust czwartą czekoladę („Trufla z nadzieniem orzechowym”) i zgniótł ją zębami trzonowymi lewej strony, od głowy po czubki palców stóp przeszył go ostry ból. Gwałtownie rozwarł usta, nie śmiał dalej żuć, odlepił rozgryzioną czekoladkę od zębów i rzucił ją na ziemię. Ból zelżał, utracił ostrość, stał się niemal błogi w porównaniu z pierwszym przeszywającym ukłuciem, rozplynał się, roz- szedł. Jak najostrożniej Anton L. zamknął usta. zagryzł zęby, najpierw delikatnie, potem mocniej — nic się nie działo. Nabrał głęboko powietrza i zorientował się, że przez kilka sekund nie oddychał. Jeszcze raz zagryzł zęby, a nawet zaczął uderzać nimi o siebie — nadal nic. Bogu dzięki. Anton L. przyłapał się na ' myśli: Ciekawe, co na to powie kurfirst? Powoli wsunął w usta nową czekoladkę, żuł ją wyłącznie prawą stroną, unikając lewej — żadnego bólu.

Przez cmentarny mur przewieszał się gąszcz pożółkłych pokrzyw. Musiały być wyższe od człowieka. Anton L. zjadł szóstą czekoladkę, ale nadal unikał żucia lewą stroną.

Na огоłoconych z liści drzewach wisiały wszędzie czarne kłębki czy poduszeczki — ptasie gniazda. Dobiegł go pierwszy obcy dźwięk od chwili, kiedy przebywał w tej wsi: jambiczne kwakanie jakiejś kaczki, najpierw głośne, później coraz szybsze, cichnące. Prawdopodobnie był tam gdzieś wioskowy staw. Anton L. zjadł siódmą i ósmą czekoladkę. Daleka kaczka kwaknęła jeszcze raz, potem znowu i zaległa cisza. Pudełko czekoladek było prawie puste.

Naprzeciw kościoła stała plebania. Nigdzie nie było napisane, że ten budynek to plebania, ale tylko plebanie odznaczają się takim dostojnie-solidnym, gładkim i, by tak rzec, bezpłciowym stylem, który pozwala natychmiast odróżnić je od innych wiejskich domów. W gruncie rzeczy na wsi są tylko trzy typy właściwych domów: chata chłopska, gospoda i plebania. Cała reszta to późniejsze dodatki.

— A co by było -r- pomyślał Anton L. — gdyby z plebanii wyszedł teraz pleban? Powiedzmy, że nie słyszał, jak podjechałem że spał. Jakie byłyby jego pierwsze słowa? Sytuacja niemal przykra. W każdym razie on na pewno od razu złapałby za broń.

Bzdura — pomyślał. — A może nie taka znowu bzdura? Może pleban też ma strzelbę? Na pewno ma. Powiedziałby pewnie: „Witam!” albo: „A pan co tu robi?” A może to on powinien się przedstawić pierwszy? „Nazywam się Anton L.” Wtedy pleban powie: „A ja jestem...” — przy tej okazji Antonowi L. przyszła do głowy dawna myśl — Wtedy oczywiście papieżem byłby bez wątpienia ten pleban.

Anton L. zjadł ostatnią (dwudziestą trzecią) czekoladkę. Podniósł się i podszedł do plebanii. Okna na parterze były okrato- wane. Także tutaj na parapetach od wewnątrz leżała gruba na palec warstwa kurzu. Anton L. zastukał w szybę. W tym momencie skrzyknęły jakieś drzwi. Po plecach Antona L. przebiegły ciarki. Poczł się tak, jakby ktoś stojący z tyłu chwycił go niewidzialnymi szponami za ramiona. Drzwi w pokoju, do którego zaglądał, otworzyły się z wolna ze skrzypleniem. Wyjrzał zza nich kot. Szpony na ramionach Antona L. rozluźniły chwyt, ale echa dreszczy przebiegły mu po krzyżu w górę aż do karku. Kot wszedł do pokoju, spoglądał w okno z ogonem płasko przy ziemi, gotów w każdej chwili do ucieczki. Zwierzę było dobrze odżywione. Albo miało jakieś sekretne wyjście, albo myszy tak się rozmnożyły, że miało dosyć pożywienia. Kot wycofał się z pokoju. Na wypadek, gdyby nie . miał jednak drogi na dwór, a zabrakło myszy, Anton L. zbił kolbą szybę, sięgnął ręką do środka i otworzył okno od wewnątrz. Kot się już jednak nie pokazał.

Kiedyś na pewno zauważy — pomyślał Anton L. Pojechał dalej wąską polną drogą. Wkrótce otoczył ją mroczny las świerkowy, potem znów ustąpił. Ukazała się następna wioska. Anton L. przejechał przez nią nie zatrzymując się. Znów drogę otoczył las, gałęzie drzew zeszyły się w górze. Okolica zrobiła się pagórkowata. Kiedy las ponownie się odsunął, na wzgórzu ukazała się duża wieś, do której prowadziła droga.

Był jeszcze jasny dzień, ale słońce chyliło się już w stronę lasu na zachodzie. Drzewa rzucały długie, ostre cienie na barwne, nie koszone łąki. Antona L. z wpina zaczęło ogarniać uczucie niepewności. Czyżby dlatego, że nadchodził wieczór? Nie miał wielkiej ochoty tu nocować. Człby się tu nieswojo, a nawet, co ciekawsze, czułby się tu samotny.

We wsi na wzgórzu wąska polna droga wychodziła na znacznie szerszą szosę. Na skrzyżowaniu stały żółte drogowskazy. W lewo szosa wiodła dalej na południe w stronę gór, w prawo z powrotem do miasta — „74 km”. Anton L. wzdrygnął się. Nie — benzyny miał pod dostatkiem, pełne kanistry w bagażniku. Ale gdyby tak coś stało się z samochodem? Może nigdy już nie udałoby mu się wrócić do miasta? Dodał gazu, ale zaraz przypomniał sobie tunel na autostradzie, takie niespodzianki mogą czyhać wszędzie, i zwolnił. Przejechał kilka miejscowości. Liczył kilometry na podstawie żółtych drogowskazów: „61 km”, „58 km”, wreszcie już tylko „24 km”, potem nie wiadomo czemu „25 km”, chociaż zdążył przejechać jakieś 2 kilometry.

— Pomyłka na drogowskazie — pomyślał — i tak bez znaczenia.

W jednym miejscu szosę przebiegło stadko dziwnych ptaków. Były to bardzo chude, szarobiałe kury, które wyskoczyły skulone z wyciągniętymi szyjami z pola kukurydzy x i pobiegły do rowu zarośniętego olszyną.

— Tak naprawdę kury tak właśnie wyglądają — pomyślał Anton L.

Kiedy Anton L. wjechał w pierwsze domy podmiejskich dzielnic, słońce-już zaszło. Raz zmylił drogę, ponieważ nie znał tej części miasta. Raz musiał zrobić objazd, bo ulicę zabarykadowały przewrócone rusztowania. Kiedy dotarł do domu, była noc.

— Więc jednak ja jestem papieżem — pomyślał Anton L. Napalił w kominku swojego pałacyku (Sonia zjadła tylko trochę wiśni. W ogóle niewiele jadła, od kiedy się ochłodziło. Czy legwany zapadają w sen zimowy?). Prawie zawsze, choć rzadko kiedy, długo, Anton L. czytał jeszcze leżąc w łóżku. Toteż zapalił dużą świecę, na szachowym stoliku postawił nową butelkę szampana i rżnięty puchar z pałacowego muzeum, służący mu do picia, i sącząc szampana zjadł resztki zająca, dwa korniszony oraz następne pudełko czekoladek. Dzisiaj sięgnął po przewodnik po Rzymie wydany przez Reclam Verlag — „Włochy. Tom V, — który swego czasu, mieszkając jeszcze w hotelu, przyniósł sobie z księgarni, ponieważ zawierał listę papieży.

„Jan XXIII, Angelo Giuseppe Roncalli... od 1958” był ostatnim papieżem na liście. Aha. Książka pochodziła z roku 1962. Potem

był jeszcze Paweł VI, Giyanni Battista Montini. Kiedy umarł Jan XXIII? W 1963 albo 1964, chyba raczej w 1963. Anton L. przypomniał sobie: musiało to być w roku 1963, kiedy robił drugie podejście do studiów. Wziął ołówek, skreślił przy Janie XXIII „... od 1958” i napisał powyżej „1958—1963”. Pod spodem wpisał Pawła VI z datami „1963—19...”. Litery były trochę za duże i następny wpis ledwie się zmieścił, wychodził aż na sam brzeg

stronicy: „..... Anton L. od 19...”. Ale jakie tu wybrać imię?

Paweł VII? ; Jan XXIV? Pius XIII? Benedykt XVI?

— Benedykta wszyscy szczypta. Nie, Benedykt to nieładne imię. — Anton L. przeglądał listę, cofając się w minione stulecia: Leon XIV? Grzegorz XVII? Klemens XV?

Klemens spodobał się Antonowi L. Odłożył go na bok, do rozważenia. Potem byli: Innocenty XIV. Raczej śmieszne imię. Aleksander IX.

Też niezłe. Przechodzi do następnej tury. Urban IX.

Modelka na kursie aktu, na który uczęszczał kiedyś Anton L. w czasie studiów, miała na nazwisko Urban. Była dosyć urodziwa. Kurs zaczął się w październiku (musiało to być w 1970 albo 1971 roku, Anton L. pracował wtedy w biurze podróży SANTI- HANSER), w listopadzie zrobiło się zimno. Kurs odbywał się w pracowni rysunku w starym budynku uczelni. Panna Urban marzła okropnie i nawet będąc całkiem rozebrana miała na szyi chustę. Sala była słabo ogrzewana, więc oprócz kaloryferów znajdował się w niej żelazny piecyk, ustawiony przy podejściu, na którym pozowała modelka. Panna Urban często przerywała „pozę” i podrzucała do piecyka. Dawało to — przynajmniej w odczuciu Antona L. — osobliwy efekt: dopóki panna Urban stała na podium, patrzył na nią wyłącznie jak na model. Rysowanie aktu nie jest sprawą łatwą. Kiedy jednak podrzucała do piecyka, pękała szklana ściana seksualnej neutralności i panna Urban stawała się nagą dziewczyną (pomijając okutaną chustą szyję), na oczach- wszystkich podkładającą drzewo do pieca. Podniecało to Antona L. dotkliwie. Po zajęciach — panna Urban była już wówczas ubrana — próbował nawiązać z nią rozmowę, ale bezowocnie. Po pannę Urban zawsze przychodził pewien młody człowiek.

Z powodu tego wspomnienia Anton L. uznał imię Urban za — przynajmniej dla papieża — nieodpowiednie, a nawet wręcz nieprzyzwoite.

Sykstus VI.

To także śmieszne imię.

Marceli III?

Hadrian VII?

Te imiona też mu się nie spodobaly.

Kalikst IV?

Jeszcze mniej.

Mikołaj VI?

• Ujdzie. A więc Klemens, Aleksander albo Mikołaj. Może znajdzie się jakieś jeszcze bardziej odpowiednie.

Imię następnego, a właściwie poprzedzającego Mikołaja, papieża, wydrukowane było kursywą: Feliks (V) 1439—1449. Porównanie dat przy Eugeniuszu IV, Gabriele Condulmero 1431—1477 oraz Mikołaju V, Tommaso Parentucelli 1447—1455, wskazywało, że zaznaczony kursywą Feliks jest jakiś podejrzany, może to jakiś papież uboczny, który w dodatku czymś się naraził, skoro numer ujeli mu w nawias. *

Anton L. szybciej przebiegał wzrokiem stulecia. Benedyktów, Klemensów, Grzegorzów co niemiara. Przy Celestynie V była gwiazdka, a na dole strony przypis: „Jedyny papież, który z własnej woli złożył urząd”.

— Trzeba to uhonorować — pomyślał Anton L. i wciągnął na listę kandydatów Celestyna VI.

Potem pojawiły się ciekawe i niespotykane imiona: Lando, Formozus (z dopiskiem: „Korsykanin?”; panował w latach 891— 896), Anastazy (kolejny „kursywny”), Syzyniusz, Konon, Agaton,

Deusdedit, Pelagiusz, Sylwester, Dioskuros (znów jakiś podejrzany, ale tylko przez rok uprawiał swoje nieczne kursywne praktyki: 530) i nagle zdumienie:

„Hormizdas (z Frosinone), 514—523”

— Frosinone... A więc jestem papieżem Hormizdasem II — niski numer wydał się Antonowi L. nie taką znów wielką nie- skromnością. Wrócił do przejrzanych stronic i uzupełnił: Hormizdas II, Anton L. od 19...

— Stop — wrócił ponownie do wcześniejszej strony i dopisał pierwszemu Hormizdasowi rzymską jedynekę.

Pudełko czekoladek było puste. Papież Hormizdas II wziął świecę, postawił ją na nocnej szafce, rozsznurował buty, położył się do łóżka i zdmuchnął świecę. Postanowił od jutra myć zęby. W nocy Jego Świątobliwość czuł lekkie pobołewanie zębów po lewej stronie na dole, ale nie był pewien, czy ten ból to aby nie zwykle nieprzyjemne wspomnienie nawiedzające go przez sen. Poza tym papież Hormizdas II snił o pannie Urban. Sen był nader wyraźny i nie sposób go było pogodzić z zasadami celibatu.

XVIII. RACHUBA CZASU W/G SAREN

Zima była wyjątkowo łagodna. Pomijając kilkakrotne zamiecie śnieżne pod koniec października, a więc jeszcze jesienią, prawie do końca lutego nie padał śnieg. Pomijając też fakt, że z powodu wiadomego incydentu w pierwszym tygodniu po katastrofie Anton L. nigdy nie mógł dokładnie ustalić, jaki był aktualnie dzień, to i tak nie myślał ani o świętach Bożego Narodzenia, ani o Sylwestrze. Dopiero któregoś dnia w lutym, kiedy spadł śnieg, przyszło mu do głowy:

— Mamy już nowy rok... Jacy „my”? — Anton L. stropił się, a potem powiedział do siebie — Kurfirst, zając i ja.

Dawno już nie był z wizytą u kurfirsta, mimo że pomnik stał niecałe dwieście kroków od pałacyku. Anton L. prawie w ogóle nie ruszał się z domu. Drewno na opał, to znaczy meble, przynosił z najbliższej położonych domów, czekoladki i słodycze z nowego sklepu (obok filii banku, którą już wcześniej porąbał na opał), a do tego od czasu do czasu ustrzelił sobie coś na pieczeń. Zarzucił jedzenie konserw, od kiedy stwierdził, że coraz więcej trafia się zepsutych. Bywało już i tak, że musiał otworzyć sześć puszek, żeby znaleźć jedną nadającą się do zjedzenia. (Notabene Sonia jadła nawet zepsute konserwy.) Początkowo, było to jeszcze wtedy, gdy mieszkał w hotelu, Anton L. polował tylko na drobniejszą zwierzynę, głównie ptactwo: bazanty, kur opatwy i przepiórki, później od czasu do czasu zdarzał się zając. Anton L. nauczył się oprawiać zwierzynę. W każdym razie z pieczeniem było coraz trudniej, ponieważ brakowało tłuszczu. Masło, margaryna i inne tłuszcze, które znajdował w rojących się od myszy, szczurów i wszelkiego robactwa supermarketach, były zjełczałe. Tylko oliwa w puszkach i butelkach trzymała się nieco dłużej. Ale nietrudno było przewidzieć, że i te zapasy, choć się wprawdzie nie wyczerpią, to jednak ulegną zepsuciu. Zimą, to znaczy kiedy nastąpiła prawdziwa zima, po opadach śniegu w lutym, Anton L. ustrzelił sarnę. Ze swojego stanowiska na dachu pałacyku mógł obserwować zwierzynę w parku. Przychodziły tam sarny, dziki, a nawet jelenie i obgryzały korę z drzew. Jednej z owych nocy, kiedy Antona L. zbudziły jakieś odgłosy, zobaczył ciekawy widok. Zwykle sen miał głęboki i mocny, prawie taki jak Sonia. Ale tamtej nocy się obudził: usłyszał przeciągłe, szarpiące nerwy wycie. Wylazł z łóżka i spojrzął przez okno. Była śnieżna noc, świecił jeszcze księżyc. Nagie drzewa rzucały na śnieg siatkę cieni. Przemykały przez nie niewyraźne kształty, wszystkie w tym samym kierunku. Nagle jeden z kształtów zatrzymał się na moment, rozbłysły ślepią. Nie było wątpliwości; wilki.

— Nie mam nic przeciwko temu, byle tylko nie zrobiły krzywdy Jacobowi — pomyślał Anton. — Za dużo zwierzaków kręci mi się po parku.

Kiedy wstawał dzień, wilki zniknęły, za dnia Anton L. nigdy nie widział wilka. Zając Jacob był oczywiście za sprytny, żeby wilki mogły go złapać.

O tym, że zając nazywa się Jacob, Anton L. dowiedział się od niego samego.

— Nazywam się Jacob — powiedział zając — przez „c”.

Anton L. stał na małym balkoniku przylegającym do sypialni

i patrzył na dół, na park. Wtedy przykicał ten zajac, stanął słupka i rozpoczął konwersację na tematy ogólne, o pogodzie, co tam słyhać i tak dalej.

— To przecież niemożliwe — powiedział Anton L. — ani nie śnię, ani nie zwariowałem, więc niemożliwe, żeby pan mówił. A może jednak zwariowałem?

— Oczywiście, że nie zwariowałeś — odpowiedział zajac. — Sprawa ma całkiem naturalne wyjaśnienie. Czy nie widzisz, że mówię tylko to, co myślisz albo możesz pomyśleć ty? Z kurfirs- tem jest tak samo.

— A więc pan nie mówi tak naprawdę?

— Oczywiście, że nie naprawdę. Kto to słyszał, żeby zajac mówił albo pomnik...

—... czy legwan — wtrącił Anton L.

— Właśnie, albo legwan — zgodził się zajac — Słyszysz we mnie siebie samego. To znane od dawna zjawisko psychologiczne. Podrzucić ci parę faktów?

•— Ma pan na myśli, że czasem słyszymy głosy...

— Czytałeś przecież o żeglarzu samotniku Chichesterze, który całe tygodnie przebywał samotnie na morzu.

— Słyszał głosy wodnych wirów.

— No widzisz, sam o tym wiesz. Nie mogę ci powiedzieć nic ponad to, co sam wiesz, choć czasem ta wiedza tkwi w najbardziej zapomnianej bruzdzie twojego mózgu. Chichester to trzeźwy Brytyjczyk, mimo to rozmawiał z wodnymi wirami. Czytałeś też kiedyś o zasypanych górnikach, którzy słyszeli głosy, a nawet widzieli jakieś zjawy.

— Jakie są przyczyny tego fenomenu?

— Nie wiem, bo ty też nie wiesz i nigdy nie wiedziałeś.

— Ciekawi mnie jedna sprawa, czy jest pan jednym z tych zajęcy, które wypuściłem z klatek w hotelu?

— Kiedy to było?

— Zeszłego lata.

— Dla nas, zajęcy, to dwa pokolenia temu.

— Aha, w takim razie niewykluczone, że pochodzi pan od kóregoś z nich?

— My, zajęce, nie uprawiamy genealogii.

Anton L. roześmiał się.

Oczywiście, że pan nie może wiedzieć, bo ja też tego nie wiem — powiedział.

— Zupełnie możliwe.

— Jedno mnie tylko zastanawia — wyznał Anton L. — powiedział pan, że nazywa się pan Jacob...

— Możesz spokojnie mówić mi ty.

— Dobrze, więc twierdzisz, że nazywasz się Jacob. Jak to wytłumaczyć. Skąd ja miałbym o tym wiedzieć?

— No też! Twój pradziadek nazywał się Jacob, Jacob L., dziadek twojego ojca od strony ojca.

— Ach, rzeczywiście. Więc jednak zajęce uprawiają genealogię-

— Tylko ludzką.

W następstwie tego Anton L. postanowił nie strzelać więcej do zajęcy. Poza tym wygodniejsze i bardziej wydajne było polowanie na sarny, zwłaszcza od momentu, kiedy raz dokładniej rozejrzał się po książęcej kuchni i odkrył instrument, który znał jedynie ze słyszenia, albo co najwyżej z filmów historycznych, mianowicie rożen. Przystudiował jego mechanizm, potem nadział odartą ze skóry i wypatroszoną sarnę, rozpałił ogień, używając drogich sprzętów banku, i wolno obracał mięsiwo piekące się we własnym tłuszczu. Miejscami się przypaliło, ale w zasadzie dawało się zjeść. Anton L. od dawna nie miał żadnych wymagań kulinarnych. Przestał też wydziwiać z talerzami i sztuczkami. Wziął nóż myśliwski i odkroił kawałek mięsa — nadal było krwiste. Wobec tego lewą ręką dalej obracał rożen, a prawą trzymał w ogniu nadziany na nóż kawałek. Długo czasu do czasu odgryzał trochę. Z czasem przyzwyczyił się do smaku krwistego mięsa. Po każdym kęsie popijał z butelki. Na szczęście szampan w butelkach nie jełczał. Kiedy się najadł do syta, przestał obracać rożen i przysypał żar popiołem. Sonia też jadła pieczoną sarninę, trzeba było ją tylko drobniutko posiekać.

Taka sarna starczała mniej więcej na tydzień albo półtora, przy czym należy dodać, że Anton L. zawsze zjadał tylko co lepsze i łatwiej dostępne kawałki. Pod koniec tygodnia mięso robiło się twarde i smakowało prawie wyłącznie spalenizną.

— Kto wie, może to dobre na trawienie — pomyślał Anton L.

(Być może należałoby tu poruszyć pewien problem, nad którym

zastanawia się już pewnie ten czy ów czytelnik. Dopóki Anton L. mieszkał w hotelu, nie było problemu, woda leciała z kranu, a więc funkcjonowała też kanalizacja. Apartament śp. pana Pfeivestla miał oczywiście własną toaletę. Księżniczka mieszkająca w pałacyku nie dysponowała czymś takim. W XVIII wieku inaczej przecież podchodzono do tych spraw. Za to w dużym pałacu, rezydencji kurfirsta, były już toalety, oczywiście dodatki dwudziestego — i .ostatniego zarazem — wieku. Najbliżej pałacyku położona toaleta znajdowała się za kasą i portiernią w muzealnej części skarbcza. Ale nawet ta toaleta była za daleko jak na nocne, poranne, czy w ogóle nagłe potrzeby. W takich wypadkach Anton L. — podobnie jak pewnie swego czasu księżniczka — korzystał z porcelanowego naczynia przechowywanego w sekretnej skrytce w boazerii obok łóżka. To wstydlive naczynie, to jeszcze nie wszystko.

— O tym też nie uczą w szkole — pomyślał sobie Anton L. — W XVIII wieku ludzie nie byli wcale tacy głupi.

Sekretna skrytka zawierała także coś w rodzaju emaliowanego lejka, od którego odchodziła rura, prowadząca w dół za pałacyk. Dopóki była zima i leżał śnieg, Anton L. zawsze narzucał go łopata na to miejsce. To wystarczyło. Za to wiosną, a już najbardziej w lecie, miejsce to zaczynało wydzielać zapach, który spowijał cały pałacyk. Antonowi L. nie robiłoby to różnicy, dawno już uodpornił się na wszelkie przykre wonie (także skrytka z lejkiem śmierdziała podobnie), ale pojawiły się potworne ilości much. To również Antonowi L. nie przeszkadzało — a jeszcze mniej obudzonej po zimie Soni, która lubiła je zjadać — ale kiedy raz ziewnął sobie przy otwartym oknie i niechcący połknął przy okazji sporą garść tych owadów, postanowił jakoś temu zaradzić. Notabene kurfirst, kiedy Anton złożył mu inauguracyjną wiosenną wizytację, poskarżył się na smród, jaki od niego zalatywał. Kurfirst poradził Antonowi L. wykopanie szamba oraz wlewanie od czasu do czasu wiadra wody do lejka w sekretnej skrytce.

Anton L. wykopał zatem pod ścianą pałacyku dół, dokładnie w miejscu, gdzie kończyła się idąca z góry rura. Od czasu do czasu nabierał parę łopat wykopanej uprzednio ziemi i wsypywał z powrotem do dołu. Już wczesnym latem roślinność pieniała się g tym miejscu szczególnie bujnie.)

W hotelu Anton L. prowadził na tapecie dziennik. W . pierwszym okresie mieszkania w pałacyku nadal jeszcze liczył dni: codziennie robił jedno nacięcie w boazerii swojej sypialni, ale bardzo szybko wszystko mu się pomieszało. Nie pamiętał, czy zrobił już poprzedniego dnia nacięcie, czy zapomniał. Dał sobie spokój. Sama z siebie wyłoniła się inna rachuba czasu, mianowicie według saren.

W czasie kiedy Anton L. zjadał siódmą sarnę — a więc mniej więcej pod koniec lutego lub w początkach marca — któreś nocy ponownie coś go obudziło. Przez cały poprzedni dzień padał śnieg; jeszcze kiedy przed położeniem się spać wyjrzał przez okno, z nieba leciały majestatyczne, grube płaty. Wokół panowała cisza. Kiedy Anton L. się obudził — natychmiast zresztą przyszła mu do głowy ta myśl — również panowała cisza, ale innego rodzaju. Była to cisza, którą poprzedził jakiś hałas. Czy hałas nie zdołał obudzić Antona L.? Czyżby zbudziła go dopiero ta dziwna cisza, jaka potem zaległa? Przez kilka minut leżał w łóżku, dopiero potem usiadł i zaczął nasłuchiwać. Nic nie słyszał. Wyszedł z łóżka i wyjrzał przez okno. Śnieg przestał padać, było osobliwie jasno. Anton L. przypomniał sobie tę bladą poświatę, którą, jak mu się zdawało, widział w półśnie rok temu tamtej nocy z 25 na 26 czerwca. Zszedł na dół. Również Sonia nie spała i, jak prawie zawsze, siedziała na trójkątnej konsolce. Anton L. wrócił na górę, wciągnął na nogi buty i wśliznął się w swoją watomaną myśliwską kurtkę. Potem wyszedł na platformę na dachu.

Niebo było czerwonożółte. Na horyzoncie widać było cztery jęzory jakby płomieni: jed^h za rezydencją kurfirsta od strony^{po-}łudniowej (widać było tylko sam koniuszek), jeden za ciągiem budynków oddzielających pałacowy ogród od Luitpold-Allee po stronie zachodniej, jeden za budynkami dla dworaków, zamykającymi pałacowy ogród od północy, i ostatni za wysokimi, nagimi drzewami, okrytymi grubą warstwą śniegu, które rosły na wschód od jeziora. Jęzory były poprzecinane poziomymi smugami, jakby sunęły przez nie cienkie obłoczki. W pierwszej chwili Anton L. pomyślał o zorzy polarnej. Jęzory nie migotały, świecąc czerwonożółtym blaskiem, stały nieruchomo na niebie, ale Po kilku minutach Anton L. spostrzegł, że jednak się poruszają.

Poznał to obserwując południowy jezor, który po jakimś czasie całkiem zniknął za wyniosłą, czarną sylwetą rezydencji. Wszystkie cztery języki zmniejszyły swoją wysokość, ale za to stawały się szersze. Odnosiło się niemal wrażenie, jakby to świetlne zjawisko wzięło swój początek od jakiegoś zagadkowego incydentu, jaki rozegrał się dokładnie nad miastem i którego skutki właśnie cofały się za horyzont.

Było bardzo jasno. Puszysty, świeżo spadły śnieg jarzył się czerwonożłoto, odbijając blask języków stojących na niebie. Na gzyskach rezydencji, na licznych ozdobnych frontonach okien, na ryzalitach i kartuszach leżał śnieg. Również on jarzył się czerwonożłotym blaskiem. Fasada wyglądała jak ozdobiona krwawymi girlandami.

— Teraz wszystko stanie się jeszcze raz, teraz zginę i ja — pomyślał Anton L. — wtedy nie będzie już nikogo. Od tamtej chwili minął rok. Czy to już było rok temu? Nie, rok jeszcze nie minął.

Nie słychać było żadnego dźwięku, nadal panowała cisza.

Jezory wciąż opadały rozszerzając się na cały horyzont, ich wypustki powoli zbliżały się do siebie. Anton widział to dokładnie w miejscu, gdzie jezor wschodni miał się zetknąć z północnym (budynek w innych miejscach były za wysokie): jezory stały się niespokojne, z czerwonożłotych przybladły w mdławo żółtawe, lizały się nawzajem. W chwili kiedy się ze sobą zetknęły, zerwał się wicher. Jeszcze przedtem wyskoczył koń. Musiał przez cały czas stać tuż pod pałacykiem, tak że Anton L. go nie zauważył. Był to wielki, jasnej maści koń. Pogalopował brzegiem jeziora, wzniesając tumany śniegu, i zniknął w ciemnościach zalegających pod drzewami oraz w śnieżnej zamieci, ponieważ wichura poderwała drobiny śniegu aż na wysokość dachów i zmiotła girlandy z fasady rezydencji. Wichura rozszalała się z rykiem tysięcy trąb. Jej impet uderzył Antona L. jak deska, tak była gęsta i cielesna. Zmiotłaby go niechybnie z platformy, gdyby była tylko jedna, ale to były cztery wichury. Cztery deski uderzyły Antona L. z czterech stron naraz. Przez moment miał uczucie, że go zmiażdżą. Niezdarnie wycofał się aż do barierki z kutego żelaza z inicjałami „A.L.” i chwycił się jej kurczowo.

Jak następny, olbrzymi, ale tym razem czarny rumak, wystrzeliła w niebo na wschodzie ściana chmur, nawet jak stado rumaków, skłębionymi falami sięgały coraz wyżej. Kiedy zniknęły jezory blasku, niebo zrobiło się ciemne, prawie czarne. Chmury, które się teraz pojawiły, były jeszcze czarniejsze, odcinały się na tle nieba. Błyskawica rozdarła ciemności, w sekundę potem huknął grzmot. Zupełnie tak jakby to jego trafił piorun, Anton L. poczuł w lewej połowie twarzy szorstki ból, który smagnął go z góry do dołu i utkwiał po lewej stronie szyi, pozostawiając piekący ślad od skroni. Lewym okiem L. widział tylko krwawe płomienie, na lewe ucho w ogóle nie słyszał.

Dalsze błyskawice i grzmoty następowały jedne po drugich. Każdy z nich pozostawiał na twarzy Anton L. szramę bólu, jakby ktoś przeciągał mu w tym miejscu rozżarzonym łańcuchem. Anton L. zasłonił ręką lewe oko, dotarł jakoś do klapy w dachu, otworzył ją i zszedł na dół. Zdjął myśliwską kurtkę i buty i położył się z powrotem do łóżka. Ból zaostrzył się, świdrował po lewej stronie szczęki. Pojawił się nagle, jakby pękł wrzód, a potem rozszalał się na dobre. To ząb, ten sam co wtedy, przy pomniku poległych. Tej nocy nie było już mowy o śnie. Anton L. nie potrafiłby też powiedzieć, kiedy skończył się wicher i zimowa burza.

Rano panowało lodowate zimno. Jeziorko zamarzło. Jeszcze nim weszło słońce, okutany szalem Anton L. pospieszył do apteki na Luitpold-Allee. Jako były hipochondryk znał występujące w sprzedaży środki przeciwbólowe. Kolbą strzelby rozbił szklane drzwi, nogami rozgiął kraty. Buszował po wszystkich półkach. Zażył cztery aspiryny, cztery tabletki togalu, cztery proszki z krzyżykiem, cztery thomapyryny i cztery kapsułki melabonu. Myśliwską torbę wypchał zapasem tabletek. (W aptecce na podeście stało wielkie akwarium. W zgniłej wodzie moczyły się rybnie szkielety.) Kiedy Anton L. wyszedł na ulicę, zrobiło mu się dziwnie. Zaczął utykać na lewą nogę. Poczul gorąco w żołądku, na czoło wystąpił mu zimny pot. Jeszcze zanim dotarł do pałacowego ogrodu, zwymiotował. Dowłókl się jakoś do pałacyku i wlażł z powrotem do łóżka. Bóle złagodniały. Kiedy — po długim, jak miał wrażenie, czasie — Anton L. znów się ocknął, ból zniknął, tylko w żołądku mu bulgotało. Ale to tylko z głodu.

Anton L. wstał, osłabiony, na chwiejnych nogach zszedł na dół, powłókł się do książęcej kuchni. Było już jasno, dzień był po. chmurny. Na ścieżkach leżała gruba warstwa śniegu. Nie był już zamrznięty.

W kuchni na rożnie tkwiła siódma sarna. Anton L. był zbyt głodny, żeby rozpałać ogień. Wyjął myśliwski nóż, odkroił sobie kawał na wpół surowego mięsa, posolił i zjadł. Zrobiło mu się lepiej. Zjadł jeszcze jeden kawał mięsa, potem jeszcze jeden. Wzmocniwszy się, wrócił do pałacyku. Pod drzwiami siedział za- jąc.

— No jak, też to widziałeś? — spytał Anton L.

— Oczywiście — odpowiedział zając — trudno było nie widzieć.

— Co to mogło być?

— Tak sobie myślę, że może zorza polarna.

— Widziałeś kiedyś zorzę polarną? Znaczą przedtem.

— Nie, nigdy — odpowiedział zając. — Ale tak ją sobie wyobrażam.

— Przecież ona była nie tylko na północy, ale i na południu, na wschodzie i na zachodzie.

Jak już mówiłem, trudno było tego nie zauważyć.

— A więc jednak nie zorza polarna?

— Też się już nad tym zastanawiałem — przyznał zając.

— I co ci przyszło do głowy?

— Różne rzeczy.

— Może to po prostu tylko zimowa burza?

— Burze są w zimie rzadkością.

— Dlatego robią takie upiorne wrażenie. Prawdopodobnie wszystko dałoby się w sposób naturalny wyjaśnić.

— Prawdopodobnie tak.

— Na początku się bałem, Myślałem, że teraz kolej na mnie.

— Tyle zachodu dla jednego człowieka?

— Pomyślałem, że nie skąpią nakładów, bo w końcu jestem, było nie było, ostatni.

— Nie wydaje mi się — wyraził swą wątpliwość zając — Wszystko to ma na pewno zupełnie proste i naturalne wytłumaczenie.

— Zupełnie proste...?

— Oczywiście dla kogoś, kto to rozumie, powiedzmy dla jakiegoś meteorologa czy kogoś innego.

— Hm — skwitował Anton L. — Konia też widziałeś?

— Widziałem wszystko, co widziałeś ty.

Anton L. obszedł pałacyk dookoła. Zając pokicał za nim. Siady podków były już rozmyte, ale jeszcze wyraźnie dostrzegalne.

— Nie śniło ci się — powiedział zając.

— No właśnie — stwierdził Anton L. przyglądając się śladom. — To był prawdziwy koń. W takim razie może i cała reszta też, znaczą, może cała reszta też ma jakieś zupełnie naturalne wytłumaczenie.

— Cały czas przecież mówię.

•Anton L. wrócił pod drzwi pałacyku. Zając razem z nim.

— Wejdiesz?

— Nie, dziękuję — odpowiedział zając.

— No to w takim razie uważaj, żeby cię nie zdybały wilki.

Zając roześmiał się i pokicał w swoją stronę.

XIX. CZERWONA STRZAŁKA NA GLOBUSIE

Tego roku prawdziwa wiosna przyszła późno. Wprawdzie gdzieś w okolicach dziesiątej czy jedenastej sarny, licząc sposobem Antona L., a zatem mniej więcej na przełomie marca i kwietnia było kilka ładnych i ciepłych dni, ale potem znów się ochłodziło i spadł śnieg. Dopiero około czternastej sarny chłód ostatecznie ustąpił, Wiosna dosłownie wybuchła; tak jakby zbyt długo trzymały ją w zamknięciu, gdzie burzyła się fermentując i wreszcie nabrała mocy większej od swego zamknięcia, zamiotła wicherami cały kraj i w ciągu niewielu dni wszystko pokryło się świeżą zielenią, a pąki na drzewach pękały niemal słyszalnie. Jak spuszczone ze smyczy wystrzeliły wokół pałacyku Antona L. trawy i zielska. Z trudem przyszłoby poznać, gdzie jeszcze zeszłego roku były żwirowe alejki. Wiosenna powódź dokonała reszty. Wprawdzie wody rzeki nie dotarły na teren rezydencji i pałacowego ogrodu, ale jezioro w parku również wystąpiło z brzegów. Przez kilka dni woda omywała pnie

drzew, których skupiska wystawały nad powierzchnią niby wysepki. Rozlane wody jeziora nie wyglądały groźnie czy niebezpiecznie, tylko raczej malowniczo. Kiedy powróciły na swoje miejsce, została po nich cienka warstewka mułu, która podzialała widocznie jak nawóz, bo wszędzie tam, gdzie dotarła woda, zarówno trawa, jak i inne rośliny rosły dwa razy szybciej niż gdzie indziej. Wody jeziora zalały też sklepy i pomieszczenia w domach przy Luitpold-Allee. Bank i sklep z antykami, które zużył na podpałkę Anton L., miały tylne wyjścia od strony pałacowego ogrodu. Ponieważ Anton L. porąbał także drzwi i futryny, woda bez przeszkód dostała się do pomieszczeń na parterze, tam też oczywiście pozostał muł. Przed tylnym wejściem banku rosły kolczaste krzewy. Anton L. podeptał je butami i zajrzał do hali kasowej. Prawdopodobnie żyzny muł i wielkie okna zmieniły to pomieszczenie w cieplarnię. Z każdej szczeliny parkietu (Anton L. nie zdążył go spalić) wyłaziły zielone pędy, w niektórych miejscach z taką siłą, że aż wysadzały klepki.

Obydwa samochody, które Anton L. przyprowadził tu z hotelu — duże wozy zdematerializowanego pana Pfeivestla i państwa Cuypers — stały początkowo pod pałacykiem nad jednej z widocznych jeszcze wtedy zwirowanych alejek. Od czasu tamtej wyprawy późną jesienią Anton L. nie korzystał z żadnego z nich. Kiedy przyszły śniegi, odstawił samochody nieco dalej, pod daszek w pobliżu tylnego wyjścia banku. Mimo to zostały przysypane, co jednak mu nie przeszkadzało. Potem podmyła je woda z jeziora i zarosły zielskiem. To również nie przeszkadzało Antonowi L. Miał nadzieję, że w razie gdyby potrzebował któregoś z nich, jakoś uda mu się je oswobodzić. Jednak nie sposób było nie dostrzec, że w różnych miejscach karoserii pojawiła się rdza. Na razie Anton L. nie zamierzał robić żadnych wypraw samochodem, między innymi ze względu na „dudnienie”.

Pierwsze „dudnienie” dało się słyszeć w czasie powodzi. Anton L. myślał, że to burza, ale to nie była burza. Dudnienie występowało albo pojedynczo, albo narastającymi i cichnącymi seriami. Wkrótce Anton L. wiedział już, co to znaczy. Po powodzi nie było takiej godziny, w dzień czy w nocy, żeby nie „dudniło”.

Kiedy wystąpiło z brzegów jeziora, woda zatopiła nie tylko część parku wokół pałacyku, ale także niżej położoną alejkę łączącą park z rezydencją, a którą Anton L. musiał przemierzyć udając się do książęcej kuchni na pieczeń z rożna. Na obszarze wokół strumyka woda sięgała ledwie po kostki, ale w niżej położonej alejce była bardzo głęboka. Anton L. mógł zatem brodzić trochę po parku, jeśli zaszła taka potrzeba (miał długie buty), ale od kuchni był odcięty. Musiał zostawić siedemnastą sarnę na rożnie i przedwcześnie ustrzelić osiemnastą. Była to zarazem pierwsza sarna, którą Anton L. jadł na surowo. (Zgromadzony pod pałacykiem zapas drzewa też oczywiście zamókł, ale zrobiło się tak ciepło, że Anton L. wcale nie musiał palić.)

Podczas wylewu jeziora Anton L. nie opuszczał najbliższego otoczenia pałacyku, tak jak podczas największych śniegów. Mimo to udało mu się zaobserwować także tę drugą, niebezpieczną powódź, mianowicie wylew rzeki. Ponieważ drzewa nie miały jeszcze za dużo liści, z platformy na dachu pałacyku można było ponad trochę niższą od reszty przybudówką rezydencji obserwować dwie nieco niżej leżące ulice Messezius- oraz Fabius- -Strasse, widoczne w przerwie między domami. Obie odchodziły od Anekreon-Strasse; ta dalsza, Fabius-Strasse, prowadziła między innymi obok hotelu „Trzech Króli”. (Anton L. widział też przez lornetkę narożnik hotelu). Przez wiele dni na obu ulicach pieniały się wody przyboru: brunatna, czasem zielona, bulgocąca, wzburzona i rwąca breja, miejscami strzelająca w górę w zetknięciu z występami w fasadach domów. Spienione nurty niosły ulicami powalone drzewa, ścierwa zwierząt, jakieś belki. Łomotały toczony kamienie. Potem przyszło pierwsze „dudnienie”.

Tak jak łagodny* wylew wód jeziora pozostawił po sobie muł, tak wezbrane wody rzeki — to również widział Anton L. ze swojego punktu obserwacyjnego — pozostawiły żwir, kamienie, śmieci i piach. Anton L. zauważył, że jeden z domów przy Messezius- -Strasse stoi krzywo. Mieszkając w hotelu, często obok niego przechodził. Jeśli się nie mylił, czytał gdzieś, że w tym budynku mieści się Muzeum Geologiczne oraz konsulát peruwiański. Budynek stał krzywo przez cztery dni. Piątego dnia, akurat w momencie, kiedy Anton L. obserwował go przez lornetkę, i dachu zaczęły spadać dachówki, najpierw kilka, potem coraz więcej.

Jeszcze zanim spadły ostatnie dachówki, odchyliła się i runęła na ziemię fasada budynku — wszystko w ciągu paru sekund. Przez moment widać było pokoje w tym budynku, który nie przechylał się już do przodu, tylko raczej jakby okręcał wokół własnej osi. Stoły, krzesła i szafy spadały odrobinę szybciej niż wałący się dom, który zmienił się w kupę wzbijających tumany pyłu cegieł i rozlał się po ulicy z głośnym „dudnieniem”. Miejsce, gdzie zwałił się budynek, na godzinę spowiła chmura pyłu.

To właśnie było „dudnienie”. Dochodziło głównie od strony spokojnej teraz znowu rzeki. Prawdopodobnie piwnice na tamtych obszarach były silniej zalane, a fundamenty podmyte. Mróz mógł też wcześniej naruszyć niektóre mury. „Dudnienie” potęgowało się niekiedy w „grzechot”, jakby padał cały rząd ogromnych kostek domina. Dodajmy, że już latem sterta cegieł po byłym Muzeum Geologicznym oraz konsulacie peruwiańskim zarosła zielskiem.

Tak więc Anton L. starał się nie opuszczać niewielkiego obszaru wokół nie tylko solidniej zbudowanej, ale też wyżej położonej rezydencji, aby niechcący nie zostać zasypanym przez jakiś wałący się budynek. Oczywiście w samochodzie wcale nie byłby bezpieczniejszy, pomijając już to, że ulice dotknięte powodzią najprawdopodobniej były nieprzejezdne.

Cokół, na którym stał kurfirst, również zarośnięty był zielskiem, a naprzeciwko, na dachu teatru, tam gdzie wskazywał szpadą kurfirst, rósł gęszcz roślin, których rok temu jeszcze nie było. Sam kurfirst nic się nie zmienił/

— Znalazł pan książkę? — spytał.

— Książkę? — zdziwił się Anton L. — Ach, Książkę. Znalazłem książkę, tyle że Książki nie znalazłem.

— To też jest jakaś odpowiedź -¹— stwierdził kurfirst!

— To znaczy znalazłem księgę o Książce, księgę, w której występuje Książka, ale samej Książki nie znalazłem. Nie opowiadałem panu o tym?

— Nie — powiedział kurfirst.

Anton L. zrelacjonował pokrótce całą historię, podając tylko to, co, jak sądził, może zainteresować kurfirsta.

— Tak, tak — powiedział kurfirst — Philipp Moritz to mój stryj.

— Znał go pan? „

— Niby z jakiej racji? Kiedy przyszedłem na świat, nie żył już od ośmiu lat, zresztą prawie dokładnie co do dnia. Przebąkiwano coś o tej historii.

— Wiedział pan o Książce?

— Nie, o Książce nikt nie przebąkiwał.

— A już miałem nadzieję, że pan może coś o niej wie. Jeśli jej nie sprzedano, powinna być w książkowej bibliotece. Naprawdę nic pan nie wie?

— Ależ z pana głupiec — powiedział kurfirst — przecież nie wiem więcej od pana. Już zając to panu powiedział.

— Czyli że muszę szukać.

— Jeszcze pan nie szukał?

— Szukałem. Zaraz jak tylko przetłumaczyłem tę starą łacińską cegłę, to... szukałem w bibliotece Waszej Książkowej Mości, o, tam — Anton L. wskazał kciukiem za siebie.

— I nic?

— Nic. Ale... sam nie wiem, bo nawet gdybym znalazł tę Książkę, to przecież ona jest pusta, ma same puste strony.

— Wtedy miała puste strony — powiedział kurfirst. — Wcale nie jest powiedziane, że przez ten czas nie pojawiło się jakieś pismo.

— Tak pan myśli?

— Czy pan nic nie widzi, Adamie L.?

— Dlaczego mówi pan do mnie Adamie?

— Pardon - Antonie L. Czy pan nic "nie widzi? Przecież to zupełnie tak, jakby do globusa przyklejono wielką czerwoną strzałkę, a jak się dobrze przyjrzeć, to widać, że jej koniec wskazuje właśnie na pana.

Naprawdę pan uważa, że to przypadek, że tylko pan pozostał po zagadkowym ulotnieniu się całej ludzkości? Ze grupa świątłych osób, z których żadna nawet pana nie znała...

— Niezupełnie, Candtler znał mnie przelotnie.

— No widzi pan, co za zbieg okoliczności! Zatem że grupa, z której znał pan jedną osobę, nie wiedząc, jak wielka kryje się za nią tajemnica, że ta grupa świątłych ludzi ostatni rok swego istnienia z ogromnym nakładem wysiłków pożytkuje na to, by utorować panu drogę do Książki; że dokładnie na dzień przed

katastrofą dopięte zostaje ostatnie, czy raczej, przedostatnie ogniwo łańcucha prowadzącego do Książki; albo innymi słowy: że katastrofa odwlekała się aż do momentu* kiedy paczka z fotokopiami, bez których nie ruszyłby pan z miejsca, dotarła do Biblioteki Narodowej? Naprawdę uważa pan, że to wszystko przypadek? Nawet to, że informacja, która naprowadziła pana na ślad, znalazła się w wytwórni świec, a nie w szkole nauki jazdy albo Iw zakładzie fryzjerskim, w kawiarni czy w sklepie z odzieżą | dziecięcą... były tysiące możliwości wsunięcia kateczki pod drzwi sklepów, do których pan nigdy by nie zajrzał. Ale świece są panu potrzebne!

— Czyli że Soliman Ludwig, to znaczy to, że Soliman Ludwig pracował w wytwórni świec, było częścią planu...

— Częścią czerwonej strzałki naklejonej na globusie i wskazującej na pana. Nawet więcej: czy nie wspominał pan, że właścicielem wytwórni był jakiś kuzyn Sołimana Ludwiga?

■— Wspominałem.

— Jest to nadworna wytwórnia świec, firma, która zapewne od pokoleń pozostaje w rękach jednej rodziny. A zatem plan sięga jeszcze głębiej, aż do praojca Sołimana Ludwiga, pierwszego^ właściciela wytwórni świec, a kto wie, czy nie dalej. Książka jest gdzieś tutaj, to oczywiste. Musi tu gdzieś być, bo inaczej wszystko byłoby jedną wielką bzdurą.

— Pytanie tylko, gdzie?

— Gdzieś w pobliżu, nie wiem tego dokładnie, ale tak przypuszczam, na pewno, nie może być inaczej, ona musi być gdzieś blisko pana. Nie czuje pan gdzieś jej obecności? Nie?

— Może gdyby nie ten ciągły ból zęba — powiedział Anton L.

— Za dużo pan je czekoladek.

— Za dużo czekoladek? — zdumiał się Anton L. — Pierwszy raz słyszę, że można jeść za dużo czekoladek.

— A za mało witamin, czy jak to się tam nazywa. Musi pan sobie codziennie robić do sarniny sałatkę z pokrzywy, bo inaczej jeszcze panu wypadną wszystkie zęby.

— Pamiętam, że po wojnie mama czasem robiła sałatkę z pokrzywy. Ale jak ją przyrządzić, żeby nie parzyła ust?

— Drogi przyjacielu — powiedział kurfirst — jestem kurfir- stem a nie kucharzem, ale wydaje mi się, że przestanie parzyć,

jak się ją poda w oleju albo w occie. Może ją pan też udusić, jak szpinak, albo wziąć szczaw, on nie parzy.

— A ból zęba? Przejdź mi od szczawiu?

— Powtarzam ci, przyjacielu, jestem kurfirstem, a w każdym razie pomnikiem kurfirsta, a nie dentystą... Przy słowie „dentysta” ból zęba, który przez ostatnie tygodnie nękał Antona L. prawie codziennie, gwałtownie się odezwał. Znów przeszył ciało Antona L. od czubka głowy po kolana („po czubki palców u nóg” byłoby przesadą, ale po kolana tak) jak szorstka błyskawica. Błyskawica zamknęła szczelinę w rzeczywistości, przez którą dochodził głos kurfirsta z pomnika. Kurfirst zamilkł.

Przy słowie „dentysta” w głowie Antona L. pojawiło się też pewne skojarzenie.

Za pomnikiem kurfirsta znajdowało się zasypane teraz wejście do nadwornej wytwórni świec. Parę metrów obok była brama domu (nie zasypana, jak widział Anton L.), przez którą Anton L. dość często przechodził. Ostatnio, to znaczy przez ten niecały rok, od kiedy był sam, mimo że często ją mijał, nigdy nie przyszło mu do głowy, jak wielkie ta brama miała kiedyś dla niego znaczenie. Było to kilka lat temu. Czyżby pamięć Antona L. broniła się przed tym wspomnieniem? Powód by się znalazł.

Anton L. wyminął niemy teraz pomnik i podszedł do bramy. Wizytówka, miedziana tabliczka z wygrawerowanym napisem, była na swoim dawnym miejscu:

Dr Leon Klintz Dr Barbara Klintz

Stomatolog Wizyty po zgłosz.

Gabinet znajdował się na drugim piętrze, mieszkanie Klintzów na trzecim. W związku z tym przebito strop i zainstalowano kręcone schodki, tak żeby można się było dostać z gabinetu do mieszkania bez konieczności wychodzenia na klatkę schodową.

Anton L. rozbił kolbą drzwi domu i wszedł na drugie piętro.

Anton L. był w gabinecie doktorostwa Klintzów może ze trzy razy w życiu. Jeśli dobrze pamiętał, raz u dr Klintza,*a dwa ra-

Ju jego żony. Znacznie częściej bywał za to na górze w ich aeskaniu. Państwa Klintzów poznał w tzw. Klubie Bundtrocka.

XX. KLUB BUNDTROCKA

[Anton L. dostał się do Klubu Bundtrocka (czy trafił, jak można by to określić patrząc pod innym kątem) dzięki pewnemu splotowi wypadków. Około roku 1970, a więc w czasie gdy przeniósł się z biura podróży KUHLMANN do biura podróży SAN- TIHANSER, spotkał przypadkiem na ulicy Jensa Lieferinga. Anton L. chodził z nim do szkoły. Razem robili maturę! O ile Anton L. nie był szczególnie dobrym uczniem, o tyle Liefering był uczniem szczególnie słabym. Tylko z najwyższym trudem i przy połączonych wysiłkach licznych korepetytorów pokonał poprzeczkę matury, czy raczej został ponad tą poprzeczką przepchnięty. Natychmiast po rozdaniu świadectw — może jest w tym jakaś wewnętrzna prawidłowość.,— zasilili grono tych, którzy mówią: Nie rozmawiam z panem, nie ma pan nawet matury. Jens Liefering był bardzo wysoki i z pewnymi drobnymi zastrzeżeniami mógł uchodzić za okaz męskiej urody według kanonów z początku lat pięćdziesiątych. Po maturze Anton L. widział go co najwyżej dwukrotnie. W rok po rozdaniu świadectw ich klasa spotkała się na wspólnym wieczorku. Wtedy przyszli jeszcze wszyscy. Jens Liefering siedział w tym gronie wielki, przystojny i milczący; widać było po nim wyraźnie, że milczy tylko dlatego, ponieważ w tym kręgu, ponad który w swoim mniemaniu wyrósł, nie opłacało się przechwalać.

Dawny gospodarz klasy, a zarazem klasowy dowcipniś, który zorganizował spotkanie, wpadł na oryginalny pomysł, żeby wywoływać kolegów według listy i w tym porządku sadzać przy stole. W ten sposób Anton L. znalazł się obok Jensa Lieferinga, który był na liście zaraz po nim.

Liefering poinformował go, że studiuje architekturę.

Anton L. spytał, czy to, aby nie nazbyt przepelniony kierunek, bo jak mówią, perspektywa pracy w zawodzie jest później raczej niepewna.

Liefering odpowiedział lakonicznie, że dla siebie widzi znakomite perspektywy. Wystarczy tylko, żeby uprzytomnił swoim przyjaciółom, że ich letnie domy są do dupy. Wtedy je wyburzą i jemu zlecą postawienie nowych.

Zrobiło to na Antonie L. duże wrażenie. On nie miał żadnego przyjaciela z letnim domkiem.

Na drugiej rocznicy matury Jens Liefering wcale się nie zjawił. Wkrótce Anton L. również zaczął unikać tych spotkań.

— O niech mnie, L.! — wykrzyknął Liefering.

— Liefering! — zdziwił się Anton L.

Właściwie nawet teraz — czy może właśnie teraz — po dwudziestu latach niewidzenia się, nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia. Ale tak to już jest, że jeśli człowiek zatrzyma się na ulicy spotkawszy dalekiego znajomego (którego lepiej byłoby minąć z uprzejmym pozdrowieniem), to jest zobowiązany rozmawiać o rzeczach wykraczających poza to, co obie strony mają sobie właściwie do powiedzenia. Zasada obowiązuje także wówczas, gdy ta druga strona doskonale o tym wie. Ledwie dwie na sto tysięcy osób potrafią zdobyć się na słowa w rodzaju: „Pan wybacz, ale wie pan równie dobrze jak ja, że nie mamy sobie nic do powiedzenia. Życzę wszystkiego dobrego”, na co druga strona: „Bardzo mi miło. Właśnie to samo sobie pomyślałem”. A przy tym właśnie takie dwie osoby miałyby sobie pewnie coś do powiedzenia.

Widocznie człowiekowi nie jest przyjemnie przyznać się przed sobą samym, że nie ma nic do powiedzenia napotkanej właśnie osobie, i dlatego jak najbardziej stara się odsunąć od siebie moment klęski. Jeśli w takiej sytuacji nie sposób już znaleźć absolutnie niczego, co można by powiedzieć, wtedy mówi się przeważnie: Może wstąpimy na moment do tej kawiarenki? Przynajmniej coś się już wtedy powiedziało, odsuwając® klęskę o dwie minuty.

»

Kawiarenka, do której udali się Anton L. i Jens Liefering, znajdowała się w tym samym kwartale domów, co wówczas całkowicie oczywiście nie znana Antonowi L. wytwórnia świec (z tym, że przy zupełnie innej ulicy, dwa rogi dalej). Wtedy nagle i zupełnie niespodzianie okazało się, że Anton* L. i Jens Lie-

fering jednak mają sobie coś do powiedzenia. Tak zawiązał się ów splot wypadków.

Jens Liefering poinformował go, że skończył architekturę i pozdawał egzaminy. Anton L. nie mógł sobie odmówić przyjemności zapytania, czy jego przyjaciele zdecydowali się zburzyć swoje letnie domki.

Jens Liefering zareagował z lekką irytacją. Stwierdził, że zwrócił się ku zupełnie innym sprawom, ważniejszym i znacznie szerszym, jak na przykład planowanie przestrzeni miejskiej. W toku rozmowy okazało się, że Jens Liefering jest z tych architektów, co to nigdy w życiu nie zbudowali żadnego domu. Siedział na posadzie radcy ds. budownictwa w jakimś ministerstwie, jednym słowem coś w rodzaju architektonicznego „przestępcy z za biurka”.

Od planowania przestrzeni miejskiej przeszedł Liefering do socjologii, a stamtąd do psychologii, która, jak zaznaczył, od jakiegoś czasu stanowi centralny punkt jego zainteresowań. Anton L. nadstawił uszu. W latach pięćdziesiątych każdy, kto chciał uchodzić za człowieka o żywym umyśle, musiał interesować się psychologią. Anton L. nie przyłączył się do panującej mody. Dopiero na kilka lat przed tym spotkaniem, kiedy psychologia dawno już ustąpiła miejsca modzie na socjologię, Anton L. zajął się psychologią, z tym że absolutnie po laicku, poprzez lekturę popularnonaukowych rozprawek w rodzaju „Ty i twoja dusza” czy „Nieświadomość w twoich własnych rękach”. Naprowadziła go na to jego budząca się podówczas skłonność do jogi.

— No i tak — powiedział Jens Liefering dodając, że należy do pewnego ściśle elitarnego klubu i zapytał, czy Antonowi L. mówi coś nazwisko Bundtrock.

— Nie — odpowiedział Anton L.

Wobec tego Liefering uświadomił go, że krąg ludzi skupionych wokół profesora Bundtrocka, właśnie tzw. Klub Bundtrocka, jest czymś nader wyjątkowym. Spotkania odbywają się co wtorek. Może na nie przyjść każdy, kto chce.

W taki oto sposób Anton L. trafił do „Klubu Bundtrocka”.

Profesor Gunther Bundtrock był oryginałem. Z góry trzeba powiedzieć — Anton L. spostrzegł to znacznie później, właściwie dopiero wtedy, kiedy już wyłączył się z tego kręgu — że profesor Bundtrock nie ponosił odpowiedzialności za umysłową ułomność osób skupionych wokół niego, chyba tylko o tyle, iż z otwartymi ramionami przyjmował do swego kręgu każdego chętnego, ponieważ głosił — niekiedy nawet dość demonstracyjnie — teorię, że cechy negatywne w człowieku to tylko Nic, to Brak czegoś, więc jeśli zanegować to Nic, pozostaną same pozytywy, Dobro, które przecież jest w każdym. Jeśli spojrzeć na problem w ten sposób, mawiał, okaże się, że każdy człowiek jest w gruncie rzeczy dobry.

To, że Bundtrock przyjmował każdego, miało jednak jeszcze jedną, zewnętrzną przyczynę. Otóż profesor Bundtrock prowadził katedrę historii medycyny. Katedrę tę stworzono po wojnie wyłącznie dla niego, aby zadośćuczynić mu jakoś za prześladowania, jakich doznał w czasach hitlerowskich. Ponieważ jednak nie zadbano o to, aby materiał wykładany przez Bundtrocka znalazł się w programie egzaminów studentów medycyny, jego wykłady nigdy nie cieszyły się oszałamiającą frekwencją. Jeszcze gorzej wyglądało to na prowadzonym przez niego seminarium. Profesor Bundtrock czuł się urażony, traktowany niepoważnie i zbuntował się na swój sposób, coraz bardziej odchodząc w wykładach od „historii medycyny”. Tak jak w starej 4zicięcej przestawian- ce literowej ze słowa MAMA przez RAMA, DAMA, DUMA robi się GUMA, tak po kilku latach, zamiast o „historii medycyny” profesor Bundtrock rozprawiał, powiedzmy, na temat: „Zygmunt Freud a sztuki plastyczne” albo o dramatach Wedekinda. Dramaty Wedekinda lubił Bundtrock szczególnie, ponieważ w młodości znał autora osobiście i sam, zanim rozpoczął studia medyczne, był czas jakiś aktorem, co dziś jeszcze pozwalało mu w czasie seminarium prezentować beklowym meiningejskim głosem „Hidal- la albo Być i Mieć”, „Demona ziemi” czy wręcz „Zamek Wetter- stein”.

Stopniowo wieść o tym kuriozum rozeszła się wśród amatorów na uniwersytecie. Niektórzy z tych amatorów, najczęściej osobowości w jakiś sposób skrzywione czy mające skazy, rekrutujący się z różnych wydziałów, a potem nawet spoza uniwersytetu, skupili się wokół profesora, tworząc w ten sposób wspomniany Klub Bundtrocka, który, jak wszystkie tego typu instytucje, miał stały rdzeń, a na obrzeżach fluktuował.

— Jak to, każdy może przyjść? — zapytał Anton L. Jensa Lieferinga.

Na to Jens Liefering zwięźle podał zewnętrzną przyczynę ciepłego stosunku prof. Bundtrocka do ludzi: Cieszy się z każdej osoby, która chce go słuchać.

Kiedy Anton L. poznał profesora Biindtrocka, miał on niemal siedemdziesiąt lat. Był to mężczyzna prawie dwumetrowego wzrostu, gruby jak beczka, ale tylko pośrodku, była to beczka o wątych nóżkach i szczupłych ramionach, na których osadzona była głowa niewątpliwie robiąca wrażenie, chociaż wyglądało to mniej więcej tak, jakby charakteryzator szminkował aktora mającego grać Falstaffa, a przy tym zapatrzył się nieco na podobiznę Ger- harta Hauptmanna.

Niemniej jednak Antonowi L. wydał się imponujący.

Anton L. zdążył jeszcze na ostatnią fazę właściwych seminariów Bundtrocka. Odbywały się one co wtorek w godzinach od piątej do siódmej. Prof. Bundtrock recytował. O siódmej przenosił się wraz z uczestnikami seminarium do jednej z restauracji w śródmieściu (nieдалеко miejsca, gdzie Anton L. został napadnięty przez niedźwiedzia), gdzie od wpół do ósmej mieli zarezerwowaną boczną salkę. Tam Bundtrock gawędził o tym, co wcześniej recytował.

Ponieważ forma wykładów prof. Bundtrocka była nie do zniesienia nawet dla niektórych jego wielbicieli, natomiast późniejsza pogawędka mogła zainteresować, coraz więcej bundtrocko- wych adeptów opuszczało seminarium, zjawiając się od razu na spotkaniu „Pod Zielonym Dębem”. Anton L. również zaliczył właściwe seminarium tylko trzykrotnie. Bundtrock wcale się o to nie gniewał. Negował Brak, toteż kiedy przez jakiś czas na seminarium zjawiał się już tylko niejaki W. A. Schlappner — wręcz zelota, jeśli idzie o uwielbienie dla Bundtrocka — oraz jego przyjaciółka Astrid (siostra Jensa Lieferinga), Bundtrock zarzucił semina i sam też przychodził od razu do lokalu. W. A. Schlappner miał na imię Willi Adolf, ale nie protestował, jeśli ktoś uważał, że Wolfgang Amadeusz.

Niedługo także wieczory w bocznej salce restauracji „Pod Zielonym Dębem” podzielily się na dwie części. Pierwsza część obejmowała pogawędki prof. Bundtrocka o Wedekindzie, o młodym Grtindgensie z lat dwudziestych i tak dalej, druga zaś — rozkwitająca pełnym blaskiem dopiero po wyjściu Bundtrocka około dziesiątej — obracała się wokół zagadnień będących właściwym spoiwem Klubu, mianowicie wokół psychologii. Nie tylko niepisana zasada, ale wręcz tabu mającym moc przykazaniem wszelkich rozmów i w ogóle wszelkiej komunikacji w tym klubie było to, że psychologiczne hipochondrie uczestników zawsze traktowało się poważnie, chociaż nie w tym sensie, żeby interesować się urojonymi (a w niektórych przypadkach może nawet rzeczywistymi) cierpieniami duchowymi drugiej osoby — każdego interesowały tylko jego własne cierpienia — ale dlatego, że poprzez wysłuchanie relacji o nerwowych ułomnościach innych, każdy zyskiwał prawo do mówienia o swoich.

Sam Bundtrock — mówiąc o klubie, nie sposób to pominąć — dziwnym zbiegiem okoliczności nie miał ze swoją duszą żadnych problemów psychologicznych. Anton L. wiele o nim później rozmyślał, kiedy już wyłączył się z kręgu jego oddziaływania, a zwłaszcza kiedy wkrótce potem dowiedział się o jego śmierci. (Anton L., któremu Bundtrock w gruncie rzeczy nadal imponował, poszedł nawet na pogrzeb, ale usłyszawszy skrzekliwy głos W. A. Schlappnera ustawiającego kondukt, zawrócił na pięcie i złożył* kwiaty na grobie dopiero następnego dnia.) Anton L. próbował rozgryźć charakter Bundtrocka. Sformułował nawet jego definicję: wysublimowany wieprzek, ale w duchu opatrzył ją natychmiast znakiem zapytania. Wysublimowany wieprzek? Bundtrock był człowiekiem zmysłowym, typem Falstaffa. Pieprzne dowcipy, smakowite piwo, obfity posiłek i nagie dziewczęta radowały jego w końcu infantylnie serce. Kobiety interesowały go bez przerwy. Ożenił się (oczywiście po kolei) ze wszystkimi osiągalnymi dla siebie doktorantkami i asystentkami; mając już lat ponad sześćdziesiąt, z siódmą i ostatnią, wspólnie z którą wywindował swoją dogłębną ciekawość spraw seksu na wyżyny stylizacji, pisząc z nią historię seksuologii. Ale duchowych problemów taki „wysublimowany wieprzek” (nawet ze znakiem zapytania) nie miewa żadnych. Rozkosznie wylegiwał się w swoim bajorku. Anton L. pomyślał sobie, że może jednak taka właśnie prostacka umysłowość była Bundtrockowi niezbędna, aby mógł tworzyć centralny punkt grupy duchowych inwalidów.

Z cierpieniami duchowymi sprawa jest trudna. W gruncie rzeczy jeśli idzie o duszę, nie ma cierpień urojonych, bo jeśli ktoś wmawia sobie psychozę, to ją przecież ma, właśnie urojenia. Problem jedynie w tym, czy człowiek ma wystarczająco dużo czasu, by o tym pomyśleć. Zasadniczą część ścisłego składu klubu Bundtrocka składała się z ludzi o zwichniętej egzystencji (bo czy Anton L. nie był właśnie taki?), którzy mieli to szczęście — albo pecha — że ktoś inny zapewniał im środki do życia, lub też którzy wykonywali zawód nie pochłaniający im zbyt wiele czasu, który mogli zatem przeznaczyć na zastanawianie się nad sobą, tak jak to było w przypadku architekta-urzędnika Jensa Lieferinga czy dr Ingeborgi Schmill, cielakowatej istoty o wystających przednich zębach. Pani dr Schmill pracowała w dużym biurze adwokackim, ale oprócz tego miała tak zwane potrzeby duchowe. Lubiła rozmawiać z panią Astrid Delius o książkach (których obie nie przeczytały). Niekiedy pani dr Schmill usiłowała być w sposób tyle wzruszający, co nieskuteczny „wystrzałowa”. Z upodobaniem nosiła okręcaną wokół ciała, związaną suknię z imitacji krokodylej skóry, rodzaj turbana na ciało, zaplatając dość ładne, ciemne i ciężkie włosy wokół głowy, co przypuszczalnie miało wyglądać demonicznie.

Dr Dunkelheimer z Brackwede, niski, przyjemny człowieczek, właśnie niedawno ukończył wieloletnie studia na trudnym wydziale teatroznawstwa i uzyskał stanowisko czwartego kierownika literackiego w Operze Państwowej. Posada nie była zbyt absorbująca, ponieważ jego zadanie polegało na dobieraniu zdjęć do programów i noszeniu ich do skopiowania. Dr Dunkelheimer, zupełnie słusznie lubiany przez wszystkich, ponieważ prawie zawsze był miły i uprzejmy, miał pewną niebezpieczną właściwość, mianowicie, jak wielu Niemców z północy, namiętnie kochał mówić. Mówił bardzo pięknie, przy czym nie stawiał zbyt wygórowanych wymagań treści swoich wypowiedzi. Miał niewiarygodne ilości przyjaciół i znajomych i bez przerwy był umówiony na jakieś rozmowy i konsultacje. Ponieważ mówił nie tylko pięknie, ale i długo, wszystkie ustalone terminy brały nieodwołalnie w łeb. Jeśli już siedział gdzieś i mówił, zapominał o Bożym świecie i nierzadko gwałtownie załamując ręce na następne spotkanie, kiedy właściwie powinien być już na trzecim z kolei. I tak roz

kład jego dnia bezustannie przesuwiał się o całe godziny, zwłaszcza że dr Dunkelheimer bez przerwy mniej lub bardziej przypadkowo natykał się w drodze na przyjaciół i znajomych i oczywiście absolutnie nie potrafił oprzeć się pokusie pięknego mówienia. Powoli doszło w ten sposób do przesunięcia nie tylko rozkładu dnia dr Dunkelheimera, ale do przesunięcia o dni i tygodnie całych etapów jego życia. Kiedy Anton L. go poznał, dr Dunkelheimer „późnił się” już o parę miesięcy. W związku z tym przemiły w zasadzie dr Dunkelheimer budził tylko litość i był wiecznie zagoniony. W Klubie Bundtrocka uchodziło to za nader interesujący problem psychologiczny. (Powiedzieć o nim po prostu, że jest niesolidny i niepunktualny, to było dla nich, mówiąc ich własnym żargonem, „ładne podejście”).

Za to tak naprawdę pilni byli państwo Klintz. Ich prywatna praktyka kwitła. Ona, dr Barbara Klintz, jako jedyna ze ścisłego grona Klubu potrafiła patrzeć na poczynania bundtrockowców nawet z pewnym ironicznym dystansem. On, dr Klintz, cierpiał na to, że, jak sam powiedział, obrał niewłaściwy zawód. — Jak człowiek może znaleźć zadowolenie zaglądając w usta innym? — wykrzykiwał czasem. Dr Klintz cierpiał naprawdę. Doszło do tego, że w tajemnicy przed wszystkimi poddał się prawdziwej psychoterapii. Psychoanalityk, do którego się zwrócił, był jednak również bezradny. Po przeanalizowaniu kilku snów pacjenta doszedł do wniosku, że dr Klintz ma głęboką awersję nie tylko do zawodu dentystry, ale w zasadzie do wszystkich innych też. Dr Klintz był bliski rozpacz. Psychoanalityk badał dalej. Po roku odkrył, że jest jeden jedyny zawód, przed którym dusza dr. Klintza się nie wzdraga, mianowicie maszynista kolejowy. Dr Klintz nie potrafił się jednak zdobyć na tak radykalną zmianę.

Theoderich Lindenschmitt (powiedzmy tu od razu: rywal Antona L. w zalotach do pani Klintz) był muzykologiem, żył skromnie z pracy przy redagowaniu leksykonu muzycznego; już trzech promotorów zmarło od chwili, kiedy zaczął pisać pracę doktorską o Rameau, której chyba nigdy nie dokończył.

Astrid Delius była rozwódką gdzieś tak pod czterdziestkę. (— Nikt mi nie wierzy! Zwyczajnie mi nie wierzą — wykrzykiwała radośnie, ilekroć rozmowa schodziła na jej wiek. — Nikt

nie wierzy, że mam czterdzieści lat! — Oczywiście nikt jej nie zaprzeczał.) Ona i jej przyjaciel Schlappner żyli z alimentów, jakie dostawała od byłego męża. Chodziły słuchy, że Schlappner także pisze od lat doktorat. Informacje o jego tematyce oscylowały pomiędzy prawoznawstwem a fizyką. Pani Delius powiedziała kiedyś, że problemy duchowe jej i Schlappnera wykazują tak zdumiewającą zbieżność, że, jak rzadko kiedy, można tu mówić o pełnej harmonii dusz.

Pani Delius była wysoka i chuda, pan Schlappner mały i chudy. Pytanie, czy pani Delius jest ładna, było kwestią indywidualnego gustu. Przy odrobinie wysiłku można było w niej dostrzec pewien posągowo-kościasty powab. Ona sama, jak można było niekiedy dostrzec, uważała się za piękność. O jej przymiotach umysłowych trudno coś powiedzieć, ponieważ w czasie skomplikowanych dyskusji i rozważań ograniczała się jedynie do zagadkowych uśmiechów i szerokiego otwierania oczu. W. A. Schlappner natomiast mówił chętnie i dużo. Nosił mocne szkła, a mimo to, żeby coś przeczytać, musiał sobie przysuwać książkę pod sam nos. Miał wyłysiałe czoło, długie strąkowane włosy i ze względu na prawie całkowity brak nosa zupełnie pustą twarz, której pewien rys nadawały jedynie duże usta o wąskich wargach, rozdziawiające się w czasie mówienia jak u żaby. Żabie usta i bezustannie mrugające oczka sprawiały, że wyglądał na wiecznie urażonego.

— Złośliwa, zdewociała żaba — powiedziała o nim pani Klintz. W pierwszym zetknięciu Schlappner sprawiał na bezstronnych słuchaczach wrażenie człowieka niesłuchanie wykształconego. Rzucił na prawo i lewo uwagami o filozofii. Poniżej Adorna i Wittgensteina nie schodził. Jeśli jednak posłuchało się go częściej, wkrótce wiadomo było, że po prostu wykuł na pamięć odpowiednie hasła z encyklopedii.

W okresie kiedy do Klubu dołączył Anton L., druga część spotkań, ta bez udziału prof. Bundtrocka, odbywała się już nie „Pod Zielonym Dębem”, ale w mieszkaniu Klintzów. To znaczy o dziesiątej, po wyjściu Bundtrocka, towarzystwo przenosiło się do Klintzów. Doceniał to Schlappner, ponieważ nie musiał płacić za piwo dla siebie i Astrid. Nie należy sobie wyobrażać, że w Klubie Bundtrocka uprawia no psychologię tylko teoretycznie, że tylko rozmawiano o problemach duchowych. Zasadniczą składową spotkań były ćwiczenia praktyczne („gra”, jak mówiła dr Klintz), polegające, w uproszczeniu, na tym, że wszyscy obrażali się po kolei nawzajem w zmiennych grupach. Anton L., będący człowiekiem raczej kłótlwym, także polubił te ćwiczenia. Raz na przykład wyszło na jaw, że w młodości Schlappner odczuwał na odległość erotyczne uwielbienie dla aktualnej królowej Anglii i że nadal jeszcze ma całą szufladę zdjęć królowej, powycinanych z kolorowych magazynów. Dr Klintz odmalowała wizję snów młodego Schlappnera: królowa odwiedza nasze miasto, udaje się również na uniwersytet, siedzi tam Schlappner piszący doktorat, wszyscy profesorowie i asystenci nadskakują królowej, tylko Schlappner nadal siedzi z nosem w książkach, aż tu nagle zamach na królową, wszyscy nadskakiwacze, którzy ją otaczali, uciekają, tylko Schlappner rzuca się na zamachowca, ratuje Elisabeth, a ta z wdzięczności natychmiast się w nim zakochuje...

— A przecież wszyscy wiemy, jaki z kolegi Schlappnera tchórz — zakończyła opowiadanie dr Klintz.

Oczywiście Schlappner się obraził i wraz z panią Astrid opuścił mieszkanie Klintzów.

Zasady „gry” zabraniały jednak ostatecznego zerwania, niezależnie, jak głęboko ktoś poczuł się obrażony. Przez następne tygodnie Schlappner w pewnym sensie okrążał grupę, na którą był obrażony, i w wyniku działania siły odśrodkowej, zawartej w „grze”, stopniowo wyciągał na swoją orbitę innych członków grupy, aż do momentu, kiedy jego pozycja stała się statyczna, a krążyli tylko inni. Po krótkim czasie wśród osób będących w danym momencie na peryferiach grupy zaczynała działać siła dośrodkowa i grupa ponownie się scalała. „Gra” mogła się zacząć od początku już z nowym podziałem ról. Jednej tylko granicy przestrzegano zawsze: nie wolno było podawać w wątpliwość duchowych problemów drugiej osoby. Zdanie typu: W gruncie rzeczy jest pan (pani) zupełnie normalny (-na), byłoby czymś niewybaczalnym, wykraczającym poza reguły gry, rozerwałoby więź.

Jedna z gier, rozgrywająca się bezpośrednio na tej granicy, a może nawet nieco poza nią, która pociągnęła za sobą przejściową stagnację klubu (i wyłączenie się Antona L.), miała zwią

zek z grą w innym znaczeniu tego słowa. Pomysł wyszedł od Bundtrocka. Profesor zaproponował wystawienie sztuki teatralnej. Plan przyjęto oczywiście z zachwytem. Zaabsorbował on wszystkich członków grupy, zanim jeszcze doszło do śladowej choćby realizacji praktycznej, a ponadto, ze względu na same nawet przetargi przy podziale ról, dostarczył niezliczonych okazji do nowych „gier”. Z czasem jednak zaczęto traktować • sprawę serio. Profesor Bundtrock zaproponował jedną z pomniejszych i wczesnych komedii Lessinga, zatytułowaną „Młody uczoney”.

ów młody uczoney z komedii Lessinga jest aroganckim szczeniakiem, który uważa się za najmądrzejszego ze wszystkich i na koniec fatalnie wychodzi na tej swojej przemądrzałości.

Trudno było nie dostrzec, że Natura, stwarzając W. A. Schlappnera, popełniła niemal dosłowny plagiat komediowej postaci Lessinga. Zdecydowano, że właśnie Schlappner zagra rolę młodego uczonego.

Początkowo Schlappner czuł się mile połączony, ponieważ dostał najdłuższą rolę. Nadawał się do niej także z tego względu, że wkuwając na pamięć obszerne hasła z encyklopedii nabrał wprawy w uczeniu się tekstów. Ale już w trakcie prób okazało się, że jednak tak bardzo się nie nadaje, ponieważ swoją rolę grał, a powinien po prostu być. Na jakiś tydzień przed premierą pani Klintz powiedziała mu to. Zapłon nastąpił z opóźnieniem. Schlappner nie od razu się obraził. Po próbie pojechał do pani Astrid, która nie była tego dnia obecna. Ponieważ próba skończyła się dosyć późno, tramwaje już nie jeździły i Schlappner musiał skorzystać z taksówki. Tak się złożyło, że dzień przedtem przedsiębiorstwo taksówkowe podwyższyło taryfę. Ponieważ nie można było tak szybko przestawić liczników na nowe ceny, taksówkarze zostali upoważnieni do pobierania opłaty wyższej niż wskazana na taksometrze. Otrzymali naklejki z odpowiednim wyjaśnieniem, które umieścili obok licznika. Tak więc taksówkarz wiozący Schlappnera również zażądał więcej niż wskazywał licznik. Schlappner odmówił zapłacenia nadwyżki. Taksówkarz wskazał mu wyjaśnienie na naklejce.

Schlappner oznajmił, że jest mu to obojętne, i posłużył się argumentacją, która w jego mniemaniu była ściśle prawnicza. Osta

tecznie zmuszony był jednak zapłacić. Tym, co doprowadziło go do białej gorączki, nie było to, że taksówkarz zagroził mu obiciem pyska, ale to, że najwyraźniej nie traktował poważnie znaczenia jego, Schlappnera, jako człowieka i prawnika, które on tak gwałtownie podkreślał.

Schlappner pognął wściekły na górę do pani Astrid i tak właśnie wściekłość na taksówkarza doprowadziła pośrednio do wybuchu bomby, którą podłożyła pani Klintz swoją uwagą: „Wcale nie musi pan grać młodego uczonego. Pan nim j e s t.”

Schlappner złapał za telefon pani Astrid, zadzwonił — w środku nocy — do profesora Bundtrocka i zakomunikował mu, że odmawia dalszej współpracy.

Taki krok na tydzień przed premierą spowodował oczywiście całą masę komplikacji. Byłoby to jeszcze w granicach reguł „gry”. Niezgodne z tymi regułami było prymitywne i perfidne w pojęciu Schlappnera sięgnięcie po środki rodem z prostackiej mieszczańskiej rzeczywistości: bez żadnych ceregieli obsadzono w głównej roli kogo innego, co stało się możliwe, ponieważ parę dni wcześniej do Klubu trafił młody nauczyciel muzyki, który akurat okazał się świetnym aktorem i przejął rolę.

Odbyła się premiera, po której do grupy wkraść się pewien niesmak, nie dlatego, że nie było Schlappnera. i pani Astrid, ale dlatego, że pogwałcenie reguł gry w stosunku do Schlappnera zniszczyło i tak problematyczną spójność grupy. (O tyle więc Schlappner mógł być zadowolony, ponieważ ten efekt sprowadziłby wszystko z powrotem w bezpieczne rejony reguł gry.) Dodatkowym elementem destrukcyjnym był półroczny wyjazd prof Bundtrocka do Japonii, gdzie miał on studiować drzeworyty o tematyce erotycznej. Grupa rozpadła się.

Wprawdzie później zebrała się znowu, ale Anton L. przeoczył ten moment. Nigdy więcej nie był w mieszkaniu państwa Klintzów. Anton L. przeoczył ten moment nie całkiem niechcący. Miało to związek z panią dr Klintz,

Bardzo niedługo po przystąpieniu do Klubu Bundtrocka Anton L. zakochał się w pani Klintz. Oczywiście takie flirtiki także należały do „gry”, tylko że Anton L. niezbyt przestrzegał ustalonych reguł. Pewnego dnia, kiedy dr Klintz gdzieś wyjechał a druga część spotkania klubowego odbywała się u chwilowo sa

motnej pani Klintz, Anton L. zadbał o to, żeby zostać jako ostatni. Nie było to łatwe, ponieważ — jak wspomniano — miał on rywala w osobie pana Lindenschmitta. Wywiązał się ostry pojedynek w przeciąganiu wizyty. Zwyciężył Anton L., ponieważ Lindenschmitt mieszkał daleko na przedmieściu, nie miał samochodu i trochę za mało pieniędzy na taksówkę. Anton L. mieszkał wówczas na tyle blisko Klintzów, że mógł wracać piechotą. Na krótko przed odejściem ostatniego tramwaju Lindenschmitt dał za wygraną i wyniósł się.

Anton L. próbował pocałować panią Klintz. Odparowała atak delikatnie i chłodno, przypominając o regulach „gry”.

— Dla mnie to nie jest gra, Barbaro — powiedział Anton L.

— Wszystko jest grą — ona na to. • — Więc zagrajmy, że gramy.

— Co najwyżej moglibyśmy grać, że gramy granie. Nie, proszę zabrać rękę z mojego kolana.

W tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi. Lindenschmitt spóźnił się na ostatni tramwaj i wrócił. Pani Klintz powiedziała: Ach, to pan, panie Theoderich — i zanim Theoderich zdążył zdjąć płaszcz, dodała: — Anton właśnie miał zamiar wyjść, możecie panowie pójść razem.

Tak więc Lindenschmitt odprowadził Antona L. do domu. Zakochanie Antona L. minęło. Lindenschmitt szedł potem do domu dwie godziny.

Wszystko to działo się jeszcze przed wystawieniem „Młodego uczonego”, w czym Anton L. brał tylko skromny udział (nie miał żadnej roli). Kiedy potem Klub Bundtrocka się rozplątał, Anton L. zauważył, że nie brakuje mu tych wtorkowych spotkań. Skorzystał z okazji i nie poszedł na ponowne spotkanie całej grupy.

XXI. INSTRUMENT Z KULECZKĄ

Kiedy Anton L. pokonał dwa piętra dzielące go od gabinetu Klintzów, ból zęba nie był już tylko zwykłym bólem zęba. Pulsował w całej lewej stronie ciała. Lewym okiem Anton L. widział tylko krwawe kręgi, na lewe ucho ogłuchł zupełnie. Miał wrażenie, że lewa strona jego ciała napuchła i tętni.

Drzwi do gabinetu były otwarte. Anton L. tak był pochłonięty swoim bólem, że nie zwrócił uwagi na ten dziwny bądź co bądź szczegół. Na wprost była poczekalnia. Te trzy razy, kiedy przyjmowali go państwo Klintz, jako „przyjaciel domu” nie musiał czekać. (Również rachunki były raczej przyjacielskie, śmieszna, symboliczna suma; normalnie Klintzowie liczyli sobie dość słono. Ich pacjenci rekrutowali się z warstw zamożniejszych.) Po lewej był gabinet pana Klintza, po prawej jego żony. Również i te drzwi — rzecz już nie taka dziwna, zważywszy, że główne drzwi były zazwyczaj zamknięte — były otwarte na oścież.

Wszędzie grubą warstwą leżał kurz. Pomiędzy wysięgnikiem z wiertarką i wiadomym dentyścym fotelem tortur — podobnie jak w całym pokoju — wisały pajęczyny. Anton L. jednym ruchem ręki zmiotł pajęczyny z fotela i opadł nań ciężko. Wzniósł się tuman kurzu, który omal go nie zadusił. Musiał się poderwać z miejsca; buchnął nowy tuman kurzu. Anton L. otworzył okno. Wychodziło na plac. Anton L. patrzył z góry na plecy kurfirsta.

Anton L. powlókł się z powrotem na fotel. Mimo że siadał już ostrożniej, znowu podniósł się obłok kurzu, ale tym razem znacznie mniejszy.

Czego on tu szukał? Chciał sobie zrobić zabieg, to jasne, wyrwać ząb albo coś podobnego. Bezsensowny pomysł.

Anton L. manipulował pokrętłami w pełni zmechanizowanego fotela. Nagle oparcie opadło w tył, podnózek podniósł się w górę i z fotela zrobiło się niemal łóżko. Anton L. pamiętał o takiej możliwości i nie przestraszył się, ale ból w lewej połowie ciała chlusnął w górę jak gorący płyn, prawie rozerwał mu czaszkę, załamał się na kręgach, runął z powrotem w dół i ognistymi ramionami w kolejnych odgałęzieniach przerzucać się zaczął także na prawą stronę. W ustach po lewej stronie utworzyła się rozżarzona do niemożliwości kostka potwornego bólu, bezustannie wysyłająca falami sygnały szaleństwa. Anton L. szarpaniem przywrócił fotelowi dawny kształt i złapał za wiertarkę.

Bezsensowny pomysł. Maszyna była na prąd a prądu przecież nie ma.

niektóre aparaty dentystyczne mają też napęd mechaniczny? A może to kurfirst?

Anton L. wyprostował się jeszcze bardziej, przysłonił lewe oko, a prawym zlustrował maszynę od góry do dołu. Istotnie, całkiem na dole były pedały. Anton L. nacisnął jeden. U góry trysnęła skądś brunatna, zatechła woda. Nacisnął drugi. Nic. Po naciśnięciu trzeciego zawarczało wiertło obracając się, dopóki Anton L. rytmicznie naciskał na pedały. Ból momentalnie zniknął jak zdmuchnięty. Anton L. zachwiał się przez moment, jakby ktoś zdjął mu z lewej strony jakiś ciężar.

Ale ból tylko się przestraszył, nie został przepędzony. Po dwóch, trzech sekundach powrócił jakby smagnięciem bicia. Gorąca kostka w dolnej szczęce była większa niż przedtem.

Anton L. ponownie uruchomił wiertło. Nic nie pomogło. Ból pozostał.

Anton L. znów przysłonił sobie ręką lewe oko, a prawym rozejrzał się po ruchomym stoliku z narzędziami śp. dr Klintz, przymocowanym do kolumny maszyny. Anton L. pamiętał jeszcze jedno, że pani Klintz lekko opukiwała zęby takim instrumentem z kuleczką na końcu. Był to jeden ze sposobów sprawdzenia, który ząb jest chory. Tak jak i całą resztę, instrument z kuleczką pokrywała skorupa kurzu i pajęczyn. Anton L. przydepnął pedały, który uruchamiał wodę. Przydeptywał go tak długo, aż zaczęła lecieć czysta woda i umył instrument.

Ostrożnie otworzył usta, włożył do nich palec wskazujący i kciuk i odciągnął od zębów skórę policzka. Na tyle, na ile zdołał nie widząc, leciutko opukiwał jeden po drugim zęby na górze, a potem na dole.

Na górze nic go nie bolało. Na dole jak na razie bolały go jednakowo wszystkie zęby, poczynając od siekaczy. Kiedy stuknął w któryś z zębów bardziej z tyłu, w piąty albo szósty, na jego duszę spadł potworny młot, - w jego głowie rozdzwonił się ogromny dzwon, a wszystko w zasięgu jego wzroku zawirowało wokół fotela w potężnej trąbie powietrznej bólu. Sprzęty, okna i drzwi pędziły przez moment wkoło jak na karuzeli, poszczególne elementy przybrały formę barwnych albo czarnych i białych smug. Anton L. wypuścił z rąk instrument z kuleczką.

— A więc to ten — pomyślał Anton L., albo raczej pomyślało się w jakimś nieruchomym centrum tego tornada bólu. Anton L. nie był w tym momencie zdolny do jakiegokolwiek myśli. Upadający instrument wydał brzęczący dźwięk. Brzęk wdarł się jak srebrny elektryczny promień w rozpędzony wir, przecinając go ukosem od lewej do prawej i przesunął jego oś. Anton L. siedział przekrzywiony w fotelu przytrzymując się obiema rękami. Czuł, jak rozpyła wokół pot. Wir zacieśnił się. Wkrótce już tylko mroczna beczka w czerwone pasy wirowała wokół głowy Antona L., który z trudem łapał ustami powietrze. Oś obrotu beczki wróciła do pionu, obroty spowolniały, wreszcie ustały zupełnie. Przez chwilę Anton L. miał przed oczami ciemność, która zaczęła się kruszyć, przepuszczając znowu światło dnia.

Ból pozostał w zębie, stosunkowo niewinny, wręcz śmieszny ból w porównaniu z tym, co było przed momentem.

Anton L. zaczerpnął głęboko powietrza, jednym z płatków ligniny leżących na tacy z narzędziami otarł pot. Z daleka dobiegały dudniące echa bólu, jakby zatrzaskiwał za sobą odległe bramy w podziemnych korytarzach.

— To on — pomyślał Anton L.

Ostrożnie przesunął palcem po zębie. Od zewnątrz nic oczywiście nie można było stwierdzić.

W zasięgu ręki była wiertarka, mająca w razie potrzeby napęd nożny.

— Bzdura — pomyślał Anton L. — kompletnie bzdurny pomysł. Co mam borować? Jak to robić? Pewnie trzeba by wyrwać ząb.

Na stoliku z narzędziami leżały także kleszcze śp. dr Barbary Klintz.

Anton L. wziął do ręki zakurzone kleszcze. W tym momencie od nowa zagrzmiały odległe bramy, znów dały się słyszeć ciężkie kroki czerwonej hordy, zbliżające się szybko z tyłu. Anton L. gwałtownie rzucił kleszcze z powrotem na stolik. Horda odczekała moment, a potem się wycofała.

Oczywiście Anton L. wiedział, że są zastrzyki. Pani Klintz zaaplikowała mu jakiś w czasie wizyty. Ale robienie zastrzyków też wymaga wprawy, i to jakiej. Poza tym, jaki zastrzyk? W gabinecie leżało parę strzykawek, były też różne ampułki. i —• O nie •— pomyślał Anton L.

Zszedł z fotela i wytoczył się chwiejnie z gabinetu.

— No i co? — spytał kurfirst, kiedy Anton L. mijał go przechodząc, czy raczej przekradając się przez plac.

— Nic — odpowiedział Anton L.

— Można się tego było od razu domyślić.

— Tego się nie da zrobić.

— Nawet wprawny dentysta nie potrafiłby sobie sam wyrwać zęba.

— Wprawny dentysta może by i sobie poradził — zaproponował Anton L. Przysiadł na spłaszczonym u góry, okrągłym kamiennym słupku, jakich kilkanaście otaczało pomnik kurfirsta podtrzymując ciężki, nisko zawieszony żelazny łańcuch.

— Może. Bardzo wprawny może i tak — zgodził się kurfirst.

Anton L. postawił nogę na łańcuchu i zaczął nią kołysać.

— Skoro... — zaczął kurfirst.

— Skoro co? — zaciekał się Anton L.

— Skoro Opatrzność czy Bóg, czy co tam jeszcze, wybrały pana, właśnie pana, Adamie L., na tego, który jako jeden jedyny przeżyje katastrofę, to...

— To co? — spytał Anton L.

— ...to ta sama Opatrzność, Bóg czy coś innego jest zobowiązane uwolnić pana od bólu zęba. Inaczej to wszystko nie miałyby sensu.

— Hm — zamyślił się Anton L.

— Byłoby przecież rzeczą całkowicie niezadowolającą, gdyby ta katastrofa, ten koniec ludzkości nie był zarazem jakimś nowym początkiem.

— Też tak sobie pomyślałem.

— Jeśli nie chodziłoby o nowy początek, to nikogo by nie pozostawiono.

— To nie może być przypadek.

— Słusznie potwierdził kurfirst. — W takim razie ktoś musi uwolnić pana od bólu zęba.

— Ta myśl jest niezaprzeczalnie logiczna.

— Zniknął?

— Ból zęba?

— Tak.

— Nie.

— Hm — powiedział kurfirst.

Przez chwilę obaj milczeli. Nadal obecny, choć zamknięty teraz za odległymi bramami ból wypełniał duszę Antona L. prawie sielankowym nastrojem, mimo że, obiektywnie rzecz biorąc, ząb wciąż szalał.

— Znowu powiedział pan na mnie „Adam” — odezwał się Anton L.

— Pardon — rzekł kurfirst.

— Nie, nie, niech będzie Adam. Jestem Adamem.

— Można założyć, w pewnym sensie tak — zgodził się kurfirst.

— Nie tylko w pewnym sensie. Wezmę w posiadanie całą Ziemię.

— Nieźle.

— Wykorzystam nadchodzące lato na podróż do Włoch. Jeśli któryś z tych samochodów jeszcze ruszy, pojedzie tak daleko, jak się da, a resztę drogi przejdę piechotą. Będzie mi pana brakowało. #

— Ależ bynajmniej — zaprzeczył kurfirst. — Akurat we Włoszech stoi tylu moich kolegów.

— Może i racja — zgodził się Anton L. — Nawet nie trzeba się uczyć włoskiego jadąc do Włoch. Językiem światowym jest teraz wszędzie niemiecki.

— A Książka? — spytał kurfirst.

— Może znajdę ją jeszcze przed wyjazdem.

— Nie sądzi pan, że jest gdzieś całkiem blisko?

— Jak pan to rozumie?

— Czy przeszukał pan już dokładnie cały swój pałacyk? Tak naprawdę dokładnie?

— Nie.

t- Ja bym to zrobił.

— Na razie muszę się trochę położyć — powiedział Anton L. — Jestem kompletnie rozbity.

— Wyobrażam sobie.

Ból utrzymywał się jeszcze przez kilka dni. Anton L. miał wrażenie/że jego głowa jest leżącą poziomo gruszką z przeważającym ciężarem po lewej stronie. Nadal zażywał środki przeciwbólowe, ale wciąż najlepszym środkiem, relatywizującym aktual

ny ból, było wspomnienie bólu tamtych kilku sekund po stuknięciu w ząb instrumentem z kuleczką.

Któregoś dnia ból sam zniknął — stało się to w wyniku zdumiewającego rozwoju wypadków, zdumiewającego, ale przecież będącego logiczną konsekwencją całej sytuacji, tak logiczną, że właściwie nie ma potrzeby o niej mówić.

XXII. ŚCIĘTY KAT

Gdyby Anton L., leżąc w łóżku, chociaż jeden jedyny raz sięgnął ręką na lewo, w stronę boazerii swojej sypialni w pałacyku — nawet nie musiałby się w tym celu podnosić z poduszek, wystarczyło wyciągnąć się trochę w lewo — dostałby palcami do małego występu, po pociągnięciu za który można było odsunąć na bok fragment ściennej okładziny. Gdyby Anton L. odkrył już parę miesięcy temu ten występ, który nie był jakoś specjalnie ukryty czy zamaskowany, a stanował raczej nawet rzucający się w oczy uchwyt czy gałkę (jednakże dla pobieżnego spojrzenia był to tylko ogon gryfa; motyw gryfa powtarzał się wielokrotnie w całym rzeźbionym wystroju wnętrza, ale żaden z ptaków nie miał tak wystającego ogona, toteż maskowanie, jeśli miało to być maskowanie, było raczej nawet więcej niż wskazówką), otóż gdyby Anton L. już parę miesięcy temu, gdy tylko się tu wprowadził, poruszył ten uchwyt czy gałkę, zaoszczędziłby sobie wielu poszukiwań. Książka była tu, za boazerią.

Były tam również inne książki, w sumie dwadzieścia lub trzydzieści, o wiele mniej niż mogłaby pomieścić półka w skrytce. Ale pośrodku leżała ONA: oprawna w delikatną skórę tłoczoną w złote i czerwone gwiazdy, a na grzbiecie miała złotego węża, który się rozdziela tworząc kształt cyfry osiem.

Anton L. wyjął książkę z półki i podszedł do okna. Wróciwszy „od dentysty”, względnie od kurfirsta, nie położył się do łóżka, jak pierwotnie zamierzał, ale od razu zabrał się do przeszukiwania całego pałacyku od góry do dołu, a w tym wypadku od dołu do góry, zaczynając od pokoju Soni, dlatego też był już wieczór, kiedy wreszcie znalazł uchwyt czy gałkę w ogonie gryfa.

Ale był to słoneczny, ciepły wieczór. Kończył się jeden z najdłuższych dni w roku. (Czy był to 26 czerwca, rocznica?) Słońce chyliło się ku gęstwinie roślinności porastającej zapadnięte dachy budynków przytykających do pałacowego ogrodu od strony zachodniej i wysyłało łagodne złociste i czerwone promienie, przenikające dawno już znowu przejrzyste i kryształowe powietrze wieczoru nad miastem. Na parkiecie ułożył się misterny cień szczeblinek okna wykrzywionych w delikatny filigran.

W wysokiej trawie pasł się bu łany i utykający na jedną nogę koń, którego Anton L. nigdy jeszcze nie widział w parku.

Anton L. obrócił książkę do światła i otworzył. Ale nie otworzył jej tak, jak otwiera się pierwszą lepszą książkę, by ją przejrzeć, ot, tak bezmyślnie gdzieś w środku. Otworzył okładkę, odwrócił kartę przedtytułową. Nie przestraszył się, kiedy na pustej zrazu karcie tytułowej, gdy tylko dotknęło jej światło słońca, pojawiły się litery. Przeczytał tytuł.

Odwrócił następną stronę, starannie przejechał po niej paznokciem kciuka prawej dłoni, aby się nie zamknęła z powrotem, i powoli przekartkował trzystronicowy spis treści. Następnie zaczął czytać pierwszy rozdział. Traktował on o powstaniu Wszechświata. Cztery przypisy i rozkładana rycina ułatwiały zrozumienie trudnego zagadnienia. Książka była napisana po niemiecku.

Anton L. czytał do momentu, kiedy słońce skryło się za domami od strony zachodniej. Potem zapalił świece, ale ich światło nie powodowało pojawienia się liter na pustych stronach książki. Anton L. odłożył ją więc z powrotem na półkę i zamknął skrytkę.

Było jeszcze za wcześnie, żeby kłaść się spać. Wziął strzelbę, wcisnął na głowę wypłowiałego deerstalkera i zszedł na dół przed pałacyk. Stado ptaków przeleciało nisko nad pałacowym ogrodem. Szemrała już tylko jedna z czterech fontann. Wszystkie zamarzły w zimie i tylko ta jedna nie pękła od mrozu. W pozostałych trzech woda ściekała po szczątkach mis, zamieniając najbliższe otoczenie w grząskie bagnisko. Jedyną czynną fontannę porastały brody i mchy.

Anton L. powoli ruszył w stronę Luitpold-Allee. Kolejne stadko ptaków, nieco mniejszych, prawdopodobnie wróble, świergo

cę sfrunęło głębokim łukiem nad park, następnie wzbilo się wyżej i obsiadło dach pawilonu. (Diana wieńcząca pawilon spadła, leżała teraz z twarzą zarytą w ziemię w poprzek prawie już niewidocznej żwirowej alejki. Kolumny pawilonu do połowy obrosły mchem). Wróble niedługo siedziały na dachu. Jeden z nich (czy są wróble-wodzowie? Trzeba będzie przeczytać w odpowiednim rozdziale książki) poderwał się w górę, zafurkotał- skrzydłami, reszta poszła jego śladem, wróble utworzyły stadko i jak strzała pomknęły prosto przez liście i gałęzie jednego z drzew.

— Ze też żaden nie walnie w nic głową — pomyślał Anton L. Wróble przeleciały przez drzewo jak woda przez sito.

Luitpold-Allee pogrążona była w półmroku.

— Dokąd to? — spytał zając Jacob.

— Ach, ty też tutaj? — zdziwił się Anton L.

— Zaraz się skryję, zanim jeszcze obudzi się to wielkie pokryte sierścią robactwo o długich zębach. Nie wiem, po co toto w ogóle żyje.

— Wszystko ma swój sens.

— Już zaczynasz z tą swoją książką — powiedział zając. — A przeczytałeś dopiero trzy strony.

— Czternaście — poprawił go Anton L.

— Jest coś o mnie?

— Tak daleko jeszcze nie zaszedłem.

— Czy to coś pomoże? — spytał zając.

— Co ma pomóc?

*— No, czy to coś pomoże, że przeczytasz tę książkę?

— Jak to pomoże?

— Po przeczytaniu tej książki będziesz wiedział wszystko — powiedział zając.

— Tak.

— Ale co to pomoże, że będziesz wiedział wszystko. Przedtem, kiedy byli jeszcze inni ludzie, wtedy to tak, wtedy byłbyś kimś, mając tę książkę. A tak nie masz nawet komu opowiedzieć, jakich to mądrości się nałykałeś.

— ...tobie...

— Bzdura. Dobrze wiesz, że wcale nie mówię i nie słucham naprawdę. Już o tym rozmawialiśmy.

— Oczywiście, że nie mam komu wyjaśnić.

— W takim razie to wszystko jest właściwie bez sensu — stwierdził zając.

— Poznanie nigdy nie jest bez sensu — zaprotestował Anton' L.

— Trzeba by się najpierw zastanowić, czy poznanie będące udziałem jednostki, izolowane poznanie, w ogóle jest poznaniem.

— Wiem, że wiem — powiedział Anton L.

— Cholernie wysoko sięgasz — stwierdził zając. — „Wiem, ie wiem”. Gratulacje. Niedługo dojdzie do tego, że powiesz: Jestem, który jestem.

— Có chcesz przez to powiedzieć?

— Niedługo się przekonasz.

— Coś głupio dzisiaj gadasz. Poza tym nie podoba mi się twój ton. To twoje „cholernie wysoko sięgasz” wydaje mi się tu za ostre. .

— Pewnie, pewnie. Nawet nie zauważysz, jak mi powiesz: Nie będę rozmawiał z nikim, kto nie przeczytał Książki.

Anton L. spojrział na zająca zdumiony.

— To co, mam jej nie czytać? Kiedy wszystko na świecie, kto wie, może od samego początku, miało tylko ten jeden cel...?

— Wiem, wiem, na globusie jest przyklejona wielka strzałka, która wskazuje dokładnie na ciebie. Patrzcie: oto Anton L. Tylko kto ma patrzeć?

— Wszystko mi jedno.

' — Wcale nie musisz czytać tej książki. I bez tego jesteś najmądrzejszy. Niekwestionowany geniusz rozumu.

— Więc ty byś jej nie czytał?

Zając zagiął jedno ucho i poruszył nosem.

— Nie twierdziłem aż tak kategorycznie.

— No więc właśnie — powiedział Anton L.

— Chociaż oczywiście byłaby to jakaś możliwość, jedna z możliwości.

— Nie przeczytać Książki?

— Tracimy czas na bezpłodne teorie. Fakty są takie, że jak się ma taką książkę, to po prostu trzeba ją przeczytać, w sytuacji takiej, jak ta. Bez względu na cenę. Ja to rozumiem.

— Każdy koniec jest nowym początkiem.

— Kto tak mówi? — spytał zając.

- Kurfirst.
- Przy całym szacunku dla Jego Książęcej Kurłaskowości: jest to niczym nieuzasadnione twierdzenie, żeby nie powiedzieć gównem prawda.
- Ale w każdym przemijaniu jest załazek...
- Trzymaj się ziemi — uciał zając — po co ta gadka. Jak dla mnie, to to jest wyświechtana panteistyczna brednia. Są końce, w których zawiera się nowy początek, zgoda, ale są też takie, w których się nie zawiera.
- Nie widziałbym wtedy sensu...
- Są rzeczy mające sens i takie, które go nie mają. „Wszystko ma swój sens"! Ech, to kosmiczne patrzyenie na sprawy! Jak coś takiego słyszę, to...
- Czemu się tak złościysz?
- Ludzie sami otumaniają sobie mózgi tym kosmicznym kadzidłem. „Wszystko ma swój sens". Równie dobrze mógłbym powiedzieć: „Nic nie ma sensu".
- Jesteś nieznośnym pesymistą.
- Optymizm jest rozsądkiem głupców. Poza tym nie jestem ani pesymistą, ani optymistą. Jeśli chciałbyś mnie jakoś zaklasyfikować, to jestem pozytywistą. Sam się taki staniesz, jak tylko przeczytasz tę książkę.
- Znowu tracimy czas na teorię. Nieistotne, czy w każdym końcu — nie przerywaj mi proszę — zawiera się ów początek, czy nie. Sam powiedziałeś, że w niektórych tak. A zatem można przyjąć, że we mnie, ostatnim Starym Człowieku, tkwi Nowy Człowiek.
- Wspaniałe kosmiczne myślenie — stwierdził zając.
- Prosiłem, żebyś mi nie przerywał.
- Pardon.
- A więc, że we mnie... co to ja chciałem powiedzieć?
- Skąd mam wiedzieć?
- Zapomniałem, co miało być dalej.
- To, że w ostatnim Starym Człowieku tkwi Nowy Człowiek. We mnie też tkwi Nowy Zając.
- Miałem ułożone w myśli takie ładne zdanie, a teraz mi uciekło, bo mi przerwałeś.
- W takim razie było bardziej ładne niż prawdziwe.
- Krótko mówiąc — ciągnął Anton L. — ja w każdym razie chcę być nowym początkiem.
- A jak to by się miało odbyć, jeśli wolno spytać?
- O co ci chodzi?
- O nic, po prostu pytam, jak to ma wyglądać? Jak chcesz zrobić ten nowy początek? Sparzysz się z krową, czy jak?
- Szczegółów jeszcze nie rozważałem.
- Pewnie. Kto by tam rozważał szczegóły, pławiąc się w dymach kadzideł kosmiczności.
- Nie mam najmniejszego zamiaru się z kimś parzyć, ani z krową ani z kim innym. Może...
- Co „może"?
- Może jestem nieśmiertelny.
- Patrzcie, patrzcie!.
- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Byłoby to najprostsze wyjaśnienie faktu, że zostałem ja, właśnie ja.
- Niby dlatego, że jesteś nieśmiertelny?
- Nie twierdę, że jestem nieśmiertelny...
- Powiedzmy.
- ...twierdę tylko, że istnieje pewna możliwość, że mógłbym być nieśmiertelny. Pewnie poszlaki za tym przemawiają.
- Więc po co w takim razie czytasz tę książkę?
- A co ma jedno do drugiego?
- Będę musiał ująć to nieco obszerniej. Wprawdzie nie jestem człowiekiem, a tylko bezdusznym stworzeniem, ale ja też mam swoje przemyślenia, jeśli idzie o bieg dziejów. O ile dobrze wiem, wy, ludzie, zawsze chcieliście być od wszystkiego zbawieni, to właśnie obiecywały wam religie. Dlatego, że w zasadzie ludzie nie mieli pojęcia o celu i sensie świata, dana im była możliwość wierzyć. Nadążasz za mną?
- Nie chcesz chyba powiedzieć, że nie nadążę za zającem?
- Pytanie tylko, gdzie cię to zaprowadzi. Ale dobrze. Wiara można było poczytać ludziom za zasługę, dzięki której mieli po śmierci prawo do zbawienia. Na przykład do wiecznego życia. Inaczej mówiąc, gdyby Bóg, jeśli istnieje, objawił się, ale w sposób zmysłowo uchwytny, że tak powiem fizyczny, a nie tylko aluzyjnie jak w Nowym Testamencie...
- Jesteś Lepus theol.?

— Teraz mi nie przerywaj. Nowy Testament nie jest objawieniem. Nowy Testament to pomoc w zdobyciu wiary. Nie przekazuje wiedzy. Można go też określić mianem bodźca do wiary. Ale nie o tym chcę mówić. Gdyby Bóg objawił się fizycznie, ludzie by wiedzieli. Wiedzieć nie jest trudno, wiedzieć to żadna zasługa. A wierzyć, to rzecz trudna, o, tak. A ty? Kiedy przeczytasz tę swoją książkę, będziesz wiedział wszystko. Ta książka, nie czytałem jej oczywiście, ale musi tak po prostu być, ta książka jest fizycznym objawieniem Boga. Po jej przeczytaniu nie będziesz już musiał wierzyć, co więcej, nie będziesz nawet mógł wierzyć.

— Wiara miałaby być taką wielką łaską?

— A ponieważ nie będziesz mógł wierzyć, nie będziesz mógł zostać zbawiony.

— Może inne zasługi też się liczą?

— Na przykład jakie?

— No, na przykład to, że znalazłem tę książkę.

— Ha, ha, ha! Znalazł książkę! Sam przecież powiedziałeś, że świat od samego początku zmierzał ku temu, żebyś właśnie ty znalazł tę książkę. Czerwona strzałka na globusie, której koniec wskazuje Antona L.! Ha, ha, ha! I w takich okolicznościach ma być zasługą, że znalazłeś książkę? To już raczej zasługą byłoby, gdybyś jej nie znalazł. Nie, nie, fakt, że odmówiono ci zasługi wiary, przemawia za tym, że z tobą koniec. Koniec ze światem ludzi. Ostatni może wiedzieć.

— A więc moim zadaniem byłoby zwrócić jabłko z drzewa wiadomości?

— Właśnie. Bardzo dobrze. Spalisz tę książkę pod jabłonią. Tam, na tyłach, gdzie odprowadzasz te swoje te, no, fekalia i gdzie wszystko tak pięknie rośnie, bo jest tak dobrze nawożone, w ciągu ostatnich paru tygodni wykiełkowało z ziemi pęd jabłoni. Za parę lat wyrośnie ładne drzewko.

— Z tobą nie można rozmawiać.

— Czemu nie, jeśli się ze mną myśli?

—■ A jeśli w tej książce jest napisane, że Boga nie ma?

— Przecież czytałeś już pierwsze strony, czy tam nie ma nic o...

— Książka ma trzy części po 12 rozdziałów każda. Przejrzałem spis treści. O Bogu traktuje 12 rozdział trzeciej części.

— A co niby miałyby się stać, gdyby nie było Boga?

— Czy zbawienie jest do pomyślenia bez Boga?

— Ach, o to chodzi. Coś w rodzaju demokracji w zaświatach. Dusze same urządzają sobie Żywoć Wieczny. Niezły pomysł. Są jakieś poszlaki?

— Ty ciągle z tymi poszlakami.

— Wybacz, ale robi się ciemno i niezadługo pojawią się te obrzydliwe wilki. Chyba rozumiesz, że bezpieczeństwo mojej cielesnej powłoki jest mi droższe niż zbawienie twojej duszy. Obawiam się jednak, że nie będzie żadnego nowego początku z tobą, chyba że naprawdę sparzysz się z jakąś krową. Dobranoc.

— Jest jeszcze — Anton L. miał w zanadrzu ostatni logiczny argument, którego dotąd nie użył, a który, jego zdaniem, przebijał wszystkie inne. Ale zając już zniknął. Na Luitpold-Allee panowały ciemności.

Anton L. poszedł Luitpold-Allee w stronę Biblioteki Narodowej. Odgłosy nocy od dawna były mu dobrze znane, niezbędną czujność także potrafił już zachować w sposób automatyczny, toteż spokojnie mógł kontynuować rozmyślanie.

Jak to szybko się dzieje, widocznie beton też zawiera jakieś substancje odżywcze. Jeden rok i jedna powódź starczyły, by nawet z betonowych płyt szerokiego chodnika Luitpold-Allee wykiełkowały prymitywne zielone porosty, a nie tylko ze szpar między płytami — tam nie kiełkowała, ale gęstymi kępami rosła trawa i to tak gwałtownie, że niektóre z płyt zostały już uniesione w górę i kiwały się, kiedy na nie nastąpić; następna powódź na pewno porwie je ze sobą — bo właśnie na płytach pieniały się porosty, kształtami gwiazd, kół i promieni wżerające się w kolejne centymetry betonowej powierzchni. Przyroda, dziesiątki lat dręczona asfaltowym gorsetem, przez pierwszy rok z wahaniem tylko ważyła się wyciągać dłoń po kamienne miasto. Teraz, po powodzi, po niezwykłej wiośnie, kiedy nadeszło raczej mokre lato, przyroda zadała cios pięścią.

Ogromny klasycystyczny gmach Biblioteki Narodowej był w zasadzie nienaruszony. Wyrastał na Luitpold-Allee jak ciemna bryła. Na niebie wisiał jasny sierp księżyca. Anton L. miał wrażenie, że również jego blask jest jakby jaśniejszy, może z powodu czystości powietrza. Księżycowy blask igrał na załamaniach

fasady gmachu. Każdy marmurowy występ rzucał na fasadę długie cienie. W niektórych miejscach tynk odpadł, ukazując nagie cegły muru, matowoczerwone na tle jaśniejszego tynku, który teraz w miejscach, gdzie nie odkrywał go cień, mienił się bladą zielenią. Wiele okien nie miało szyb. Z niektórych wyrastało zielsko albo zwisając w dół, albo też prac się w górę po wystęпах muru i szczelinach.

Nieco dalej za biblioteką stał przy Luitpold-Allee kościół św. Serafina, również klasycystyczny. Kościół połączony był z biblioteką galerią o podwójnym szeregu kolumn, za którą leżał ogród. Zarówno galeria, jak i Luitpold Allee były w tym miejscu przerwane. Podczas powodzi musiał tędy płynąć potężny nurt. Kolumnada została zmyta więcej niż w trzech czwartych. Jedynie kilka kolumn stało z samego brzegu przy kościele i 7. drugiej strony przy gmachu biblioteki. Pozostałe leżały potrzaskane na jeziri tworząc rumowisko. Muł, jaki wezbrane wody przyniosły wraz z kamieniami i piaskiem, znacznie wzmógł wegetację roślin. Krzaki porosły wokół spróchniałych pni drzew powalonych przez wodę w ogrodzie za kolumnadą albo przyniesionych z jeszcze dalszej odległości, kikuty kolumn oplatał bluszcz.

Po drugiej stronie ulicy, tam gdzie potężny nurt szukał ujścia, w pograżonym w całkowitym cieniu rzędzie domów widniała wyrwa. Sam kościół jeszcze stał, brakowało tylko fasady, która była jak odcięta. Wnętrze kościoła ziało jak ogromna, niezasklepiona rana. Gdzieniedzie połykiwały tam złożone kostki rzymskich mozaikowych. Ponieważ brakło fasady, grupa posągów na jednym z bocznych ołtarzy stała niemal pod gołym niebem. Padał na nie jasny blask księżyca, nadając marmurowi bladzielonkawą barwę. Gigantyczny kat wznosił miecz, by ściąć głowę modlącemu się biskupowi. Biskup zachował swoją głowę, głowa kata potoczyła się na ziemię.

Przed Biblioteką Narodową — po tej stronie zniszczeń — znajdowały się podwójne schody prowadzące do wejścia. Również one zarosły zielskiem. Cztery kamienne bloki w balustradzie — dwa po jednej i dwa po drugiej stronie — ozdobione były posągami. Anton L. przypomniał sobie, że niegdyś, w czasie odbudowy -biblioteki po wojnie, powstał spór, który z posągów gdzie postawić.

Posągi przedstawiały siedzących myślicieli w starożytnych szatach. (Ponieważ były dłuta dość znanego rzeźbiarza, zdemontowano je wcześniej). W toku sporu nieoczekiwanie wyłonił się następny problem, mianowicie kogo wyobrażają te cztery posągi. Jeśli idzie o trzy spośród nich, to problem ten nigdy nie został ostatecznie rozstrzygnięty. Tylko w przypadku jednego nie było wątpliwości, że artysta chciał przedstawić Platona, ponieważ tutaj — przy innych rzeźbach zapomniał to zrobić, a może zresztą sam dokładnie nie wiedział — nazwisko filozofa zostało wykute greckimi literami z tyłu na postumencie, na którym siedziała postać.

Trzej bezimienni filozofowie stoczyli się po schodach na ziemię wraz z częścią balustrady, zmiecioną prawdopodobnie przez jakąś odnogę potężnego prądu przelewającego się między gmachem biblioteki a kościołem. Dwa posągi (jeden przelamany na pół) leżały u stóp schodów, trzeci potoczył się nieco dalej i leżał gdzieś pod mułem i roślinnością. Tylko Platon pozostał na miejscu, pewnie nie dlatego, że był Platonem, tylko dlatego, że stał najdalej od nurtu.

Anton L. poczuł głód. Przez kilka ostatnich dni bardzo mało jadł z powodu bólu zęba, dzisiaj w ogóle nie miał nic w ustach.

W domu, to znaczy w kuchni kurfirsta, na rożnie tkwiły resztki dwudziestej sarny. Anton L. właśnie zamierzał zawrócić, kiedy w gąszczu u stóp Platona coś zaszeleściło. Tłusty, czarny kogut człapał zaspany w stronę Antona L. Kiedy spostrzegł, że Anton L. chce go złapać, natychmiast otrzeźwiał i frunął w górę, ale nic mu to nie pomogło. Anton L. złapał go gołymi rękami, ukręcił mu łeb i od razu zaczął go jeść. Pióra i kości wypływał.

— Smacznego — powiedział Platon.

— Co? — zdziwił się Anton L. Ponieważ Platon już się nie odezwał, Anton L. jadł dalej.

XXIII. BAŻANT- BEZ KOŚCI

Przez następny okres, kiedy Anton L. zajęty był lekturą Książki, dokonały się pewne zasadnicze zmiany. Tak jak Anton L. mówił zającowi, Książka miała trzy części po 12 rozdziałów każda.

W pierwszych rozdziałach Książka nazywała siebie samą niekiedy Summą summ. Potem zaczęła traktować o innych, znacznie głębszych sprawach.

Anton L. czytał powoli i starannie. Zeszło mu na tym całe lato. Podróż do Włoch, o której wspominał kurfirstowi, nie doszła do skutku. Człowiek — człowiek? — który czyta taką książkę, nie potrzebuje jechać do Włoch, w ogóle nie potrzebuje podróży, jak zaraz zobaczymy.

Książka, mimo iż traktowała o tak trudnych sprawach, była łatwa w czytaniu i przystępnie napisana. Właściwie nie było żadnych trudności z jej zrozumieniem, zwłaszcza w miarę postępu lektury. Wielokrotnie wystąpił u Antona L. znany efekt: przecież od razu powinienem się domyślić, że to jest właśnie tak! czemu na to wcześniej nie wpadłem! na zdrowy rozum nie może być przecież inaczej! Mimo to czytał powoli i starannie. Nie chciał uronić ani słowa.

Wątpliwe, czy Anton L. zauważył te zmiany, o których jeszcze będzie mowa. Anioła oczywiście zauważył, trudno go było nie dostrzec, ale zmiany pomniejsze? Często czytał jakiś rozdział dwa albo trzy razy. Często jednemu zdaniu, a nawet połowce zdania przyglądał się przez cały dzień. Rozsiane w tekście ryciny objaśniające studiował z wielką starannością. Nic zatem dziwnego, że na lekturze mijały mu niepostrzeżenie tygodnie i miesiące, zwłaszcza że w pierwszych tygodniach — do końca dwunastego rozdziału — Anton L. był skrepowany naturalnym rytmem dnia, a więc kolejnymi wschodami i zachodami słońca.

Rozpoczynając lekturę Anton L. nie zaglądał już do książkowej kuchni. Ostatnia, dwudziesta sarna, tkwiła nietknięta na rożnie, stając się ofiarą robaków. Anton L. odczuwał jeszcze głód i pragnienie, ale zdarzyło się pewnego razu, że kiedy otworzył okno, do pokoju wleciał bażant. Bażant sam oskubał się z pierza. Antonowi L. pozostało tylko go zjeść. Pierwszemu bażantowi Anton L. ukręcił jeszcze łeb, przy następnych — było ich w sumie trzy — oszczędził sobie tego trudu. Bażantom najwyraźniej nie robiło to różnicy. Ostatni bażant był bez kości. Wymagania życiowe Antona L. skurczyły się. Po ostatnim bażancie przestał odczuwać głód, tylko od czasu do czasu miał jeszcze pragnienie, które, jak zwykle, gasił szampanem, pół butelki na tydzień, ale i o tym wkrótce zapomniał i wcale mu tego nie brakowało. Stopniowo zanikły też odpowiednie przeciwne potrzeby. Sekretne urządzenie za boazerią nie było mu już niebawem potrzebne.

Wieczorem pewnego dnia późnym latem, mogło to być na samym początku września, Anton L. podszedł do okna po zachodniej stronie pokoju na ostatnim piętrze. Ukończył właśnie czytanie pierwszych dwunastu rozdziałów i spieszo mu było zacząć lekturę drugiej części, czyli rozdziału trzynastego. Ale słońce już zachodziło. Nad zachodnim horyzontem płynęły maleńkie, wąskie i ciemne obłoczki, lekki wietrzyk poruszał dwumetrowej wysokości trawami porastającymi cały park. (Tylko w miejscach, w które ściekała przelewająca się przez potrzaskane misy fontann woda, wystrzelały w górę wielkie, blade rośliny o grubych, kosmatych liściach.) Gąszcz krzewów na dachach domów po zachodniej stronie rzucał na tę miniaturową prerię długie cienie. Słońce nabrało barwy czerwonej.

Już wcześniej Anton L. zauważył, że potrafi rozdzielać spojrzeniem chmury. Teraz wpatrzył się w słońce. Początkowo oślepiło go, tak że przed oczami zatańczyły mu czerwone koła i kręgi, jak w czasie tamtego bólu zęba (który oczywiście już nigdy nie powrócił), ale nie zrezygnował, wpatrzył się energiczniej i słońce poddało się, zmieniło się w łagodną szklaną kulę, powolną słonecznym teraz oczom Antona L., a dokładniej: uniosło się z powrotem nieco wyżej nad horyzontem i pozostało w tej pozycji, dopóki Anton L. nie skończył trzynastego i czternastego rozdziału i go nie zwolnił. Z ulgą, ale bez oburzenia łagodna szklana kula opuściła się za linię horyzontu. Anton L. poszedł spać.

Takie kierowanie słońcem nie było sprawą łatwą. Raz Anton L. zapomniał je zwolnić przed udaniem się na spoczynek. Kiedy się obudził, przyszło mu stwierdzić, że drzewa wokół pałacyku są z jednej strony całkiem osmalone. Troszczenie się o rzeczy, które dawniej działały się same, była dla niego uciążliwe. Ale tylko w okresie przejściowym. W połowie października, kiedy Anton L. zaczął lekturę trzeciej części, czyli dwudziestego piątego rozdziału (każda strona była już oceanem poznania, w który się zanurzał), zjawił się Anioł. Anioł był bardzo duży, miał ptasią głowę, ale pokrytą nie piórami tylko łuską, rodzaju był żeńskiego — nie płci żeńskiej, tyl

ku w kobiecej powłoce — miał na sobie ognistoezerwona szatą z nieokreślonego, promienistego materiału, czegoś pośredniego między puchem a skałą. Kiedy Anioł się poruszał, szata rozchyłała się obnażając kobiece ciało skończonej doskonałości: biała skóra o złotawym odcieniu, piersi pełne tak dumnie i pewnie, że ich patrzące ku górze rubinowe koniuszki wskazywały niemal w dwie różne strony świata, idealnie zarysowany brzuch, ograniczony ornamentem z róż tam, gdzie u kobiet zaczyna się łono. Tego, czy Anioł również takowe posiadał — jeśli tak, to pewnie również skończenie piękne jak cała reszta —* Anton L. nie mógł stwierdzić. Zresztą, nawet się nie starał.

— Jestem Sonia — powiedział Anioł.

— Ach, tak przyjął do wiadomości Anton L.

Sonia przejęła wszelkie uciążliwe obowiązki, wyłaniające się na kolejnych etapach poznania.

Ostatnie zdanie trzeciej części, ostatnie zdanie trzydziestego szóstego rozdziału i zarazem ostatnie zdanie książki brzmiało: Jesteś Bogiem.

XXIV. BÓG NIE MOŻE POWIEDZIEĆ: UNIEWAŻNIAM SIĘ

— To bardzo ładnie z twojej strony, że jeszcze chcesz ze mną rozmawiać, kiedy już zostałeś Bogiem — powiedział zając Jacob — A może powinienem mówić ci przez pan?

— Jeszcze nikt nie mówił do Boga „proszę pana”.

Anton L. siedział pod eleganckim niegdyś sklepem z antykami, którego łatwopalna zawartość oddała mu swego czasu cenne usługi. Kamienna chyba nie całkiem autentyczna — ławeczka o- grodowa w stylu rokokowym nie dała się oczywiście spalić. Wyniósł ją ze sklepu Anioł Sonia, żeby Anton L. mógł sobie usiąść. Anton L. siedział z nogą założoną na nogę. Anioł stanął za jego plecami i rozpostarł purpurowofioletową aureolę.

— Teraz — powiedział Anton L. — kiedy już jestem Bogiem, a raczej kiedy już wiem, że jestem Bogiem, bo przecież byłem nim cały czas, stworzę nową ludzkość.

— Ja bym się najpierw dobrze zastanowił — powiedział zając. — Kiedy? Teraz od razu? — Już się zastanowiłem...

— Wybacz, Boże, że ci przerwę. Nową ludzkość? Czyżby nie można było bez tego? Sporo jeszcze w tobie pozostałości ludzkiego myślenia. Widać, że awansowałeś dopiero niedawno.

— Co masz przeciwko ludziom? Ja nawet ludzi..., to znaczy nie. Nic lubiłem ludzi, a nawet ich nienawidziłem, ale ludzkość kochałem i to gorąco, całym sercem.

— Dlaczego tylko ludzkość?

— Nie rozumiem. | — Przecież ludzkość to dość marny przedmiot dla takiej gorącej miłości. Życie, tak, to bym rozumiał, życie samo w sobie. Kochać ludzkość i zajęczość, nosorożcosć, ptakość, rybość, robakość, mrówkość, pantofelkość, drzewość, trawość, paproćność i mchość, kochać to wszystko, to jeszcze bym jakoś rozumiał. Ale tylko ludzkość? Czy ta zgniła hołota była aż tyle warta?

— Obawiam się, że tego nie zrozumiesz.

— Istotnie — przyznał zając — nie rozumiem tego. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, po co tyle zachodu dla zbawienia tych paru głupców.

— Zapominasz o wielkich czynach ludzkości.

— Wielkie czyny? Tylko do nas strzelali, łobuzy, poza tym co?

— Krótko mówiąc, więcej nie będę dyskutował. Bóg nie dyskutuje. Zdecydowałem, że na nowo stworzę ludzkpść. Akcent leży na słowie „na nowo”!

— Miłej zabawy — powiedział zając.

— Zrobię nowy początek. Jutro, gdy tylko wypuszczę słońce na niebo, zmaterializuję ludzkość.

— Ale zrobią oczy!

— Dokonam tego z pomocą Książki, a więc zaznaczam, własnymi siłami. Mimo że jest tak żałosna, znaczy ludzkość, dam jej szansę, taką, jaką sam otrzymałem, i którą, jak musisz przyznać, wykorzystałem. Przypominam sobie rok 1945. Wówczas część ludzkości znalazła się w podobnej sytuacji. Wiele drogich jej wartości uległo zniszczeniu. Przejściowo, wtedy tylko przejściowo, była nastawiona pokojowo i wydawała się rozsądniejsza. Te

raz zastanie całkowicie zniszczony świat. Jej pokojowe i rozsądne nastawienie będzie trwałe, zwłaszcza że pozbawia ją pewnych właściwości, które okazały się negatywne.

— Nie daj jej broni.

— Nie tylko nie dam jej broni, ale odetnę ją od dostępu do wszelkich sił natury, które mogą być dla niej szkodliwe.

— Bardzo piękne założenie teoretyczne.

— Jak to teoretyczne?

— Coś mi się wydaje, że wymyślasz właśnie towarzystwo wegetariańskie, którego członkowie będą chodzić w wypłatanych własnoręcznie łapciach i zajmować się wyłącznie czytaniem budujących traktatów.

— Tobie już krzywdy nie zrobią.

— Ale ciebie wykiwają, zobaczysz. Już raz wykiwali jednego Boga, który chciał dla nich dobrze.

— To też przemyślałem. Zmaterializuję ludzkość doskonałą. Przeskoczę wszystkie bolesne etapy rozwoju, oszczędzę ludzkości twardej szkoły błędów, które, chcąc nie chcąc, musiałyby popełnić. Wskreszę ostateczną, czystą ludzkość.

— Mogę coś zaproponować?

— Słucham.

— Radziłbym najpierw przyjrzeć się kilku wzorom. Po co sprowadzać wszystkich na raz.

— To nie jest taki zły pomysł.

— Na twoim miejscu — powiedział zając — zamiast jutro z rana rozproszyć po tej pożałowania godnej planecie całą ludzkość, jeszcze dziś wieczór kazałbym przemaszerować przed twoim tronem paru egzemplarzom.

— Dziś wieczór?

— Zawsze możesz się jeszcze potem rozmyślić.

Anton L. obejrzał się niezdecydowany na Anioła Sonię, ale ten trzymał tylko aureolę, a spod jego rozchylonych szat bił blask wspaniałego ciała.

— No więc dobrze — zgodził się Anton L.

Drżenie przeszło przez całą Luitpold-Allee. Budynek, pod którym siedział Anton L., wyrzucił się, fasada pękła, z góry posypał się deszcz cegieł i dachówek, ale Anioł Sonia trzymał nad Antonem L. i zającem aureolę, od której wszystko odskakiwało.

Rozwarła się ziemia. Ze szczeliny ciągnącej się środkiem ulicy wyszedł człowiek o stopach wyrastających prosto z kolan, za to ręce miał tak długie, że wyglądały jak wielkie węże. Plaskał nimi wokół siebie, a potem zatoczył się w stronę szczeliny, bo widocznie był ślepy.

— Stop, zaraz tam wpadnie! — wykrzyknął Anton L.

Człowiek jednak nie wpadł, ponieważ ze szczeliny wyszedł następny i odsunął go na bok. Ten był z kolei przezroczysty, nie miał włosów, za to czaszkę tak dużą jak przy wodogłowi. W czasie pulsował brunatny mózg. Mózg bezustannie wydzieliał jakąś ciecz, która ściekała na dół w głąb ciała i wydalana była przez stopy. Drugi człowiek chwycił jedną z rąk pierwszego i zaczął ją ssać.

Ze szpary wyszedł trzeci. Był wielki i potężny i chodził na włosach, jak gąsienica. Kiedy się odwrócił, można było zobaczyć, że jest płaski jak kartka papieru. Czwarty był karzełkiem, za to członek miał wielkości armaty, trzy razy większy od niego. Z trudnością mógł objąć go rękami, a równowagę utrzymywał przechylając się mocno do tyłu. Kiedy karzełek zobaczył wspa- [niałe ciało Soni, jego członek wyprężył się w górę jak drzewo. Karzełek wyrócił się do przodu, członkiem przecinając na pół papierowego człowieka poruszającego się na włoskach. Człowiek o długich rękach wyczuł, że ktoś go ssie, ale nic nie widział. Zakręcił rękami wokół siebie. Przezroczysty trzymał się uparcie i kręcił się razem z nim.

Piąty osobnik wyszedł ze szpary w ziemi. Miał na szyi tak potężny fałd, że mógł się nim okryć niby płaszczem. Szósty był cały pokryty grzybami, siódmty miał usta-przyssawkę jak pijawka. ósmy nie miał skóry ani kości, a poruszał się w ten sposób, że rozpuszczał się w kałużę, przelewał kawałek dalej i pęczniał z powrotem jak miękki czerwony ser. Ten z ustami pijawki wes- sał go w siebie, po czym pękł. Ze szczątków powstały nowe osobniki.

Następne były kreseczki, jakby powyginane z drutu. Potem ze szpary wyfrunęły cienie podobne do dymu, jedno ciemne, drugie jasne. Zmieszały się ze sobą i zawirowały nad ziemią, długimi pasmami. Potem wyszła czerwona paszcza o białych zębach.

Paszcza wywaliła wielki jak chorągiew ozór, do którego przy-

kleiło się parę cieni. Ze szpary wyłonił się długi biały pędrak z tłuszczu i bezczelnie spoglądał czternastoma parami oczu na całą scenę.

— Chyba...— zaczął Anton L.

— Co chyba? — zapytał zając, który schował się pod kamienną ławkę i patrzył na wszystko spomiędzy nóg Antona L.

— Chyba musiałem zrobić jakiś błąd w obliczeniach.

— Wprost przeciwnie. Nie zrobiłeś żadnego błędu. Po prostu nie' miałeś konkretnego pojęcia o rezultacie twojej kosmicznej multiplikacji.

Anton L. skinął na Anioła. Anioł rozpostarł drugą aureolę i zarzucił ją na potworki wylazące ze szpary w ziemi. Aureola zwinęła się w kulę, zamykając wszystkie w swoim wnętrzu i skurczyła się do rozmiarów słoja na złote rybki, w którym w zmniejszonej skali i jeszcze wyraźniej, bo jak pod lupą, rozgrywały się te wicia, przepychania, parzenia i wysysania. Anioł podał kulę Antonowi L., który postawił ją sobie na wyciągniętej płasko dłoni i obserwował. Zając wyszedł spod kamiennej ławki.

—• Prawie ci współczuję. Nawet ja sobie nie wyobrażałem, że to takie okropne.

Anton L. nic się nie' odezwał. Popatrzył na Anioła, ale ten znów trzymał tylko aureolę patrząc nieco w bok. Jego spojrzenie biegło po stycznej do głowy Antona L. Anton L. wstał i wrzucił kulę w szczelinę.

— I co teraz? — spytał zając.

— Czy Bóg może unieważnić samego siebie?

— Nie wydaje mi się — odpowiedział zając.

— Mnie właściwie też — stwierdził Anton L. — Bóg nie może powiedzieć: unieważniam się. Co by się stało, gdyby Bóg powiedział:

Unieważniam się.

Nadeszła pierwsza chłodna noc. Kiedy następnego dnia wzeszło słońce, na drzewach pojawiły się pierwsze liście o jesiennych barwach.

Silny wstrząs obruszył fundament pomnika. Ciężki spizowy po sąg kurfirsta przechylił się na bok i spadł na ziemię. Przełamał się w dwóch miejscach,, w pasie oraz w szyi. Tak więc nogi wraz z biodrami leżały w pobliżu strzaskanego cokołu, a tułów nieco dalej. Szpada była wbita w ziemię. Głowa potoczyła się jeszcze dalej. Kurfirst spoglądał w górę na czyste jesienne niebo, po którym ciągnęły stada szpaków odlatujących na południe.